ODKRYWCA®

SKARBY • HISTORIA

NR 05 (220) MAJ 2017

CENA 14,70 ZŁ (W TYM VAT 5%)
NAKŁAD 12 100

TAJEMNICA SZTOLNI AUSTRALIJCZYKA:

ODWIERT W POSZUKIWANIU CIĄGU DALSZEGO...

> HISTORIA 12 APOSTOŁÓW „ZE SZCZEREGO ZŁOTA ULANYCH”

> ODKRYCIE SKRZYŃ NAZISTOWSKIEGO PODZIEMIA: KAPITAN REUTER ZEZNAJE

> ZAGADKOWA TUŁACZKA LOTNICZYCH EKSPONATÓW

> UNIKATOWE KADRY ZAMKU KSIĄŻ

www.odkrywca.pl

Indeks 37010X ISSN 1505-6104
05
9 771505 610056

NOWOŚĆ

MXSPORT

white's
· QUALITY SINCE 1950 ·

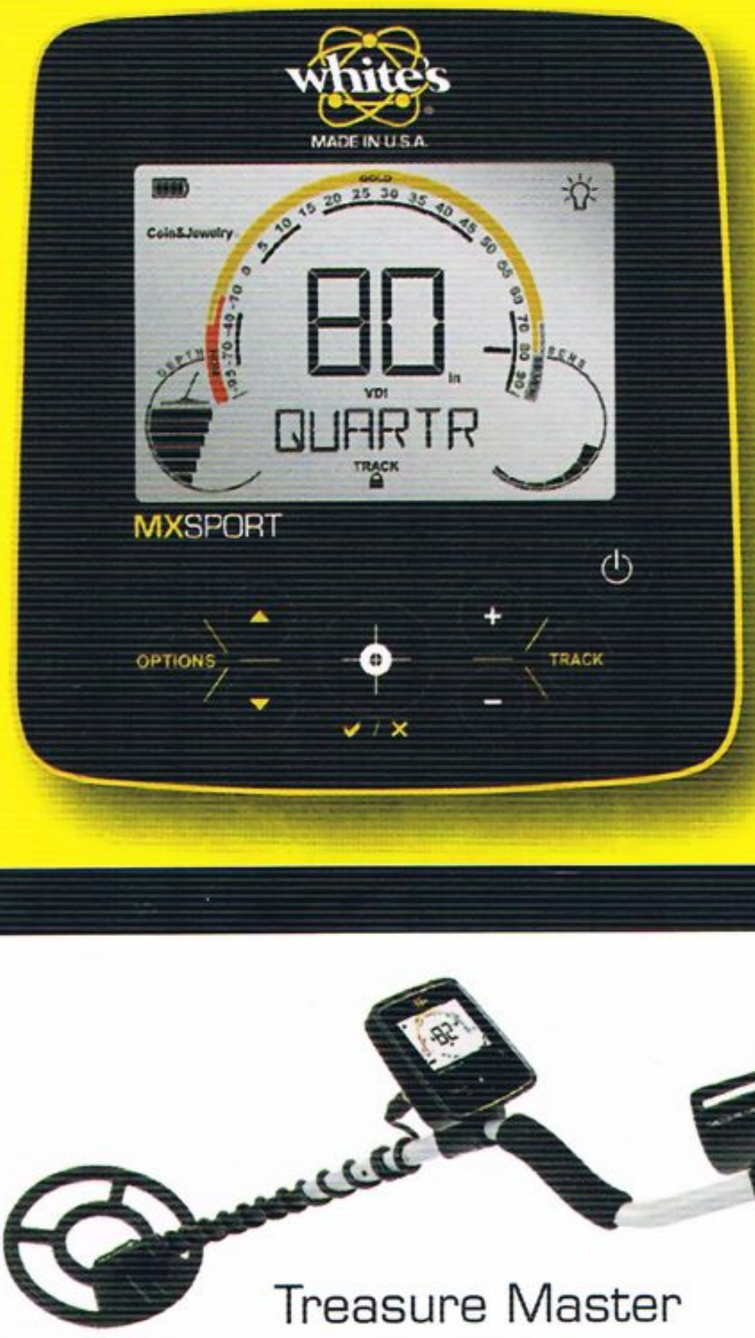

Prawdopodobnie najlepszy wykrywacz na rynku!

- Najlepsze parametry i osiągi
- Uniwersalny - do każdych poszukiwań
- Wodoszczelny do 3m
- Konkurencyjna cena

POLECAMY TAKŻE:

Treasure Master

MADE IN
U. S. A.

Treasure Pro

ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.

www.viking.waw.p

NAJWIĘKSZY WYBÓR OD 1998 R.

SZANOWNI PAŃSTWO, DRODZY CZYTELNICY

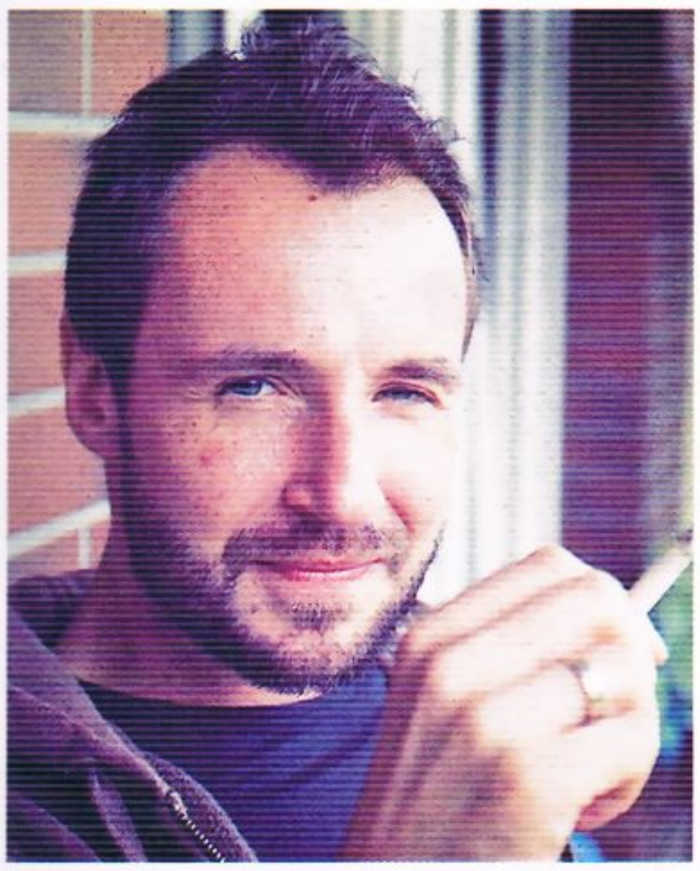

fot. Maciej Stajniak

PIOTR MASZKOWSKI
REDAKTOR NACZELNY

Cóż to był za skarb! Tuzin figur „ze szczerego złota ulanych", a każda „na dwie stopy wysokości" był zaledwie jego drobną częścią. Oj, przemawiają do wyobraźni złupione ponad 200 lat temu precjoza Radziwiłłów. Część zrabowana, część do dzisiaj ukryta. Szukali ich Rosjanie, Polacy, w czasie wojny Niemcy, a całkiem niedawno podobno i Białorusini. Pytanie tylko czy ów skarb rzeczywiście istniał? Jolanta Adamska prezentuje tę ekscytującą historię, którą szczególnie polecam, w artykule „Dwunastu złotych apostołów z Nieświeża".

W tym miejscu muszę pozwolić sobie na pewną dygresję. Jedną z zasadniczych cech znakomitej większości mitycznych skarbów jest owa racjonalna wątpliwość w ich istnienie. Weźmy za przykład skarb Nibelungów, Świętego Graala, czy też rodzime złoto Wrocławia, a ostatnio całą serię złotych pociągów. Nigdy ich nie odnaleziono, choć intensywnie poszukiwano, niektórych nawet od wieków. Czy w ogóle istniały? Odpowiedź w tym przypadku jest bardziej kwestią pewnej specyficznej wiary niż merytorycznej wiedzy. To pewien wspólny mianownik czyniący tematy tego typu tak atrakcyjnymi. Pozwala bowiem im trwać w formie legendy, czyniąc po wszech czasy nieśmiertelnymi. W każdej, jak wiemy, tkwi ziarno prawdy, które zawsze warto wyłuskać. Co też staramy się co miesiąc na naszych łamach czynić.

Powróciliśmy ostatnio do sztolni Australijczyka w Sokołowsku. Sprawa ta intryguje nas szczególnie ze względu na jej specyfikę. Szczelnie wypełnione artefaktami podziemia wieńczył tajemniczy zawał. Jego pokonanie jest z pewnością kluczem do tajemnicy, dużo większego zapewne kalibru. Niedawno przeprowadziliśmy pierwszą próbę, którą opisuje Łukasz Orlicki. Czym się zakończyła? Proszę spojrzeć kilka stron dalej. Na kolejnych paginach nasi autorzy podejmują kilka równie fascynujących tematów, związanych z odkryciami, poszukiwaniami i, jak zwykle, tajemnicami historii, których z braku miejsca nie jestem w stanie już wymienić. Życzę więc miłej lektury i do zobaczenia na zbliżającej się wielkimi krokami naszej konferencji w Spale.

znajdź nas na:
www.facebook.com/odkrywca

Okładka: fot. A. Daczkowski (Łukasz Gwiazda z firmy Techdiam podczas wiercenia w Sokołowsku)

ODKRYWCA®
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

WYDAWCA
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych Sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15 c,
62-500 Konin, tel. 632 191 013

PREZES ZARZĄDU:
Magdalena Haber,
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA"
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław
Tel.: 71 329 71 85, 71 329 71 86
fax: 71 328 83 71
e-mail: **redakcja@odkrywca.pl**
www.odkrywca.pl
http://www.facebook.com/Odkrywca

REDAKTOR NACZELNY:
Piotr Maszkowski
e-mail: maszkowski@odkrywca.pl
SEKRETARZ REDAKCJI
Andrzej Daczkowski
e-mail: daczkowski@odkrywca.pl
DZIAŁ FORTYFIKACJE
Jerzy Sadowski
STALI WSPÓŁPRACOWNICY
Proteus, Leszek Adamczewski, Marek Dudziak, Piotr Galik, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Lech Zwirełło, Tomasz Bienek
KONSULTANCI
dr Wiesław Nawrocki
• Geofizyka.
dr Paweł Konczewski
• Archeologia.
Michał Banaś
• Geologia.
Piotr Galik
• Historia wojskowości.
Maciej Kęszycki
• Militaria i technika wojskowa.
Krzysztof Krzyżanowski
Dariusz Wójcik
• Górnictwo Dolnego Śląska.
Aleksander Rostocki
• Nieśmiertelniki.
Marek Sokołowski
• Numizmatyka.

DZIAŁ GRAFICZNY
Małgorzata Biernacka
Projekt, opracowanie graficzne.

DZIAŁ REKLAMY I PROMOCJI
Tel.: 71 329 71 71
e-mail: reklama@odkrywca.pl

TWÓRCA I ADMINISTRATOR STRONY WWW.ODKRYWCA.PL
Kazimierz Ruszel „Bocian"

GRUPA EKSPLORACYJNA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA" (GEMO)
Łukasz Orlicki
e-mail: gemo@odkrywca.pl

DRUK
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
ul. Przemysłowa 7
37-100 Łańcut

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji, skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Zastrzega także prawo przedruku nadesłanych tekstów i materiałów graficznych w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Wszelkie przedruki artykułów i kopiowanie materiałów graficznych – wyłącznie za zgodą redaktora naczelnego.

SPIS TREŚCI

ODKRYCIA I POSZUKIWANIA

4 SZTOLNIA AUSTRALIJCZYKA. MARZEC 2016 – MARZEC 2017
ŁUKASZ ORLICKI

8 DOTKNĄĆ HISTORII
PIOTR MASZKOWSKI

10 TESTY RADAROWE W GLINIANACH I ZAGÓRZYCACH. CZĘŚĆ 5.
ROMUALD OWCZAREK

16 DWUNASTU ZŁOTYCH APOSTOŁÓW Z NIEŚWIEŻA.
JOLANTA ADAMSKA

22 ODKRYĆ KSIĄŻ OD... KUCHNI
JANUSZ SKOWROŃSKI

30 SKRZYNIE KAPITANA REUTERA. CZĘŚĆ 2.
MACIEJ BARTKÓW

KULISY HISTORII

36 RAKIETOWY OSTRZAŁ KRAJU WARTY
LESZEK ADAMCZEWSKI

44 RAJD RADZIECKIEJ GRUPY ROZPOZNAWCZEJ W KIERUNKU GROSZOWIC NAD ODRĄ
MACIEJ SZCZEREPA

48 BAKTERIE MADE IN POLAND. CZĘŚĆ 2.
ADAM GAAFAR

52 SAMOLOT JEANNIN „STAHLTAUBE". ZAPOMNIANY DEPOZYT W BERLIŃSKIM MUZEUM
JAN NOWICKI

KOLEKCJONERSTWO

56 AMUNICJA MAŁOKALIBROWA Z MATERIAŁÓW ZASTĘPCZYCH. CZĘŚĆ 2.
PIOTR J. BOCHYŃSKI

FORTYFIKACJE

62 BATERIA „VARA". CZĘŚĆ 2.
JACEK JAROSZ

FELIETON

70 WYKRYWACZ DO WYJAŚNIENIA
RADOSŁAW BICZAK

KSIĘGARNIA „ODKRYWCY"

71 NOWOŚCI MAJA

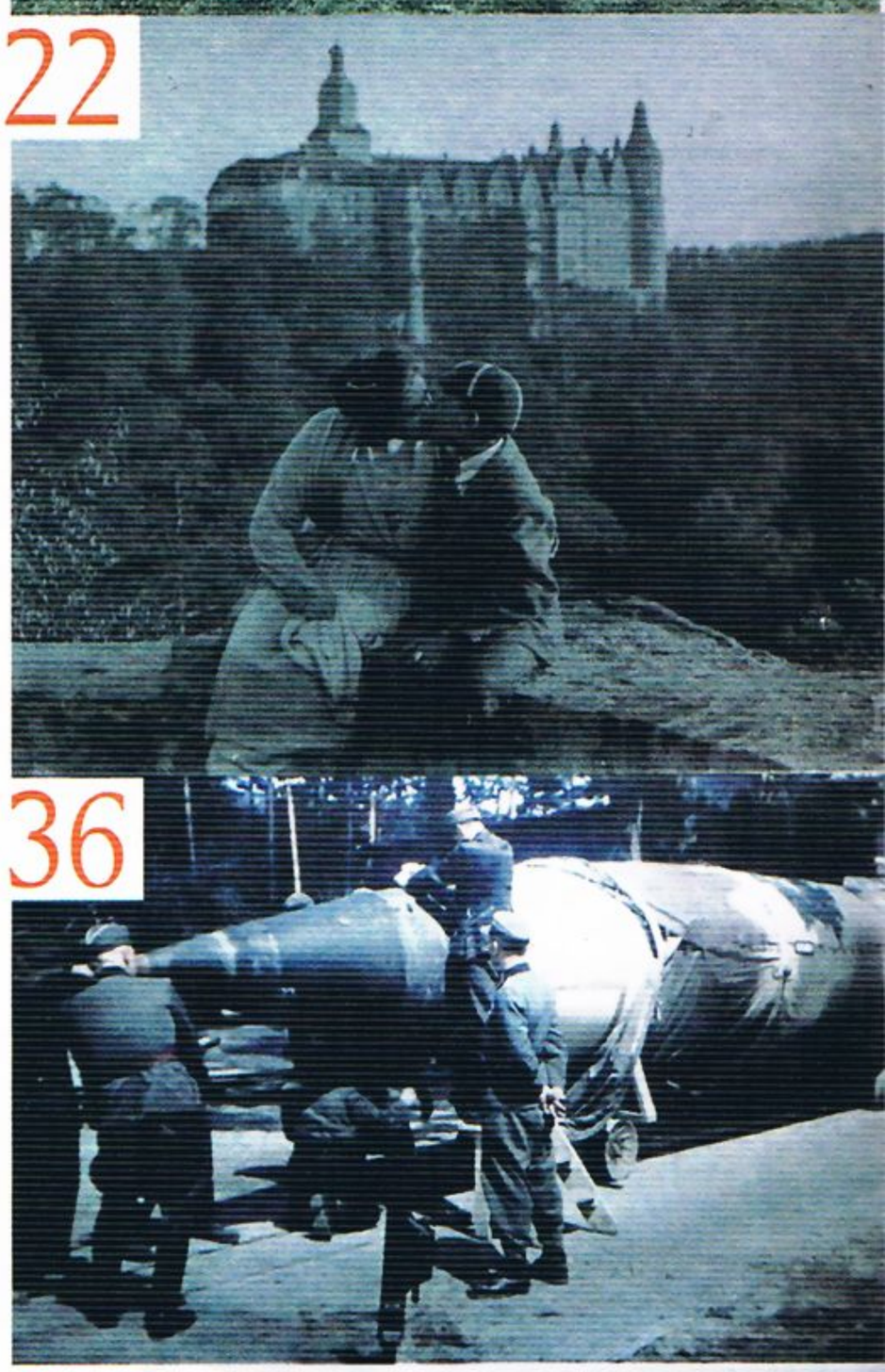

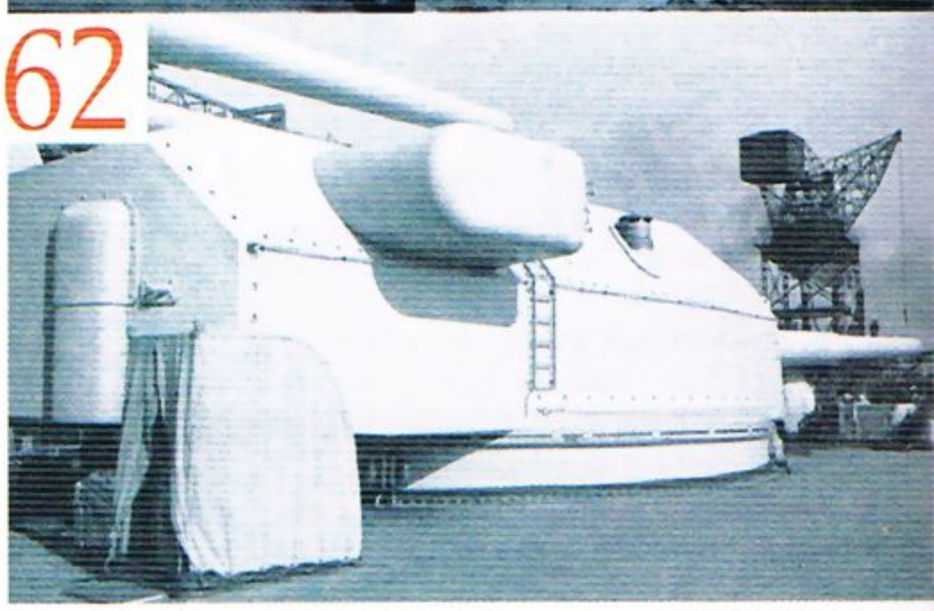

XII KONFERENCJA POPULARNONAUKOWA „Z ODKRYWCĄ W NURCIE HISTORII PILICY"

SPAŁA 19-21 MAJA 2017 r.

Przekazujemy Państwu ostatnie informacje dotyczące tegorocznej konferencji. W tym roku podczas wielomiesięcznych przygotowań nastąpiło kilka nieprzewidzianych zmian i niezaplanowanych zdarzeń. Wielokrotnie musieliśmy korygować wcześniejsze, wydawałoby się konkretne i potwierdzone, punkty naszej konferencji.
Jeden z najważniejszych dotyczy wizyty w bazie 25. Brygady Kawalerii Powietrznej w Nowym Glinniku. Ponieważ możemy ją odwiedzić tylko w PIĄTEK 19 MAJA i wyłącznie do godziny 15:00, zapraszamy tych z Państwa, którzy chcą i mogą do wcześniejszego przyjazdu do Spały, a najlepiej od razu do Nowego Glinnika. Będziemy tam na Was czekali od południa, bowiem o godzinie 12:00 rozpoczniemy zwiedzanie jednostki. Będziemy mieli ze sobą na miejscu listy uczestników i wstępnie odnotujemy Państwa obecność na konferencji.

Niezależnie od tego nasze biuro konferencji czynne będzie od godziny 13:00 w Ośrodku „Zacisze" w Spale przy ul. Piłsudskiego 20, gdzie wydawać będziemy Państwu akredytację i materiały konferencyjne.

Oficjalnie XII Konferencję rozpoczniemy o godzinie 16:00 w sali konferencyjnej ośrodka „Zacisze". Zaczniemy blokiem prelekcji, które mają na celu przybliżenie nam historii okolic. Prelegentami będą: Andrzej Kobalczyk, Gabriela i Mariusz Ziółkowscy, Jarosław Pązik, Dorota Bill-Skorupa, Juliusz Szymański i Łukasz Orlicki. Po zakończenie prelekcji, które planujemy do godziny 19:00, zapraszamy wszystkich na kolację do sali restauracyjnej ośrodka „Zacisze".

SOBOTA 20 MAJA – I dzień zwiedzania. W ten dzień zamierzamy udać się do Muzeum im. Antoniego hr. Ostrowskiego w Tomaszowie Mazowieckim, bunkra w Jeleniu, romańskiego kościoła i zamku Kazimierza Wielkiego w Inowłodzu (możemy natrafić tutaj na małe, oczywiście niezaplanowane wcześniej, utrudnienia z powodu obecności ekipy filmowej). Mamy także w planie spacer po Spale. Dzień zakończymy wizytą w bunkrze w Konewce i wspólnym grillem w jego otoczeniu.

NIEDZIELA 21 MAJA – II dzień zwiedzania. Planujemy odwiedzić Skansen Rzeki Pilicy, Groty Nagórzyckie i zażyć krótkiego relaksu przy Błękitnych Źródłach – wszystko w Tomaszowie Mazowieckim. Około 14:00 nastąpi zakończenie XII Konferencji.
Uwaga: z racji nieustających korekt przekazywanych od gospodarzy zwiedzanych obiektów – kolejność zwiedzania może ulec zmianie.

KILKA BARDZO WAŻNYCH INFORMACJI ORGANIZACYJNO-LOGISTYCZNYCH

Dziękujemy wszystkim za zarejestrowanie się na Konferencję. Tym, którzy dokonali już płatności, dziękujemy. Pozostałym przypominamy o wpłacie. Przypominamy również, że wszelkie reklamacje, zwroty i zmiany personalne przyjmujemy do 11 maja br. Po tym terminie nie będziemy mogli przy rezygnacji z uczestnictwa zwrócić wpłaty. Informujemy, że większość uczestników śpi w Ośrodku „Zacisze" w Spale, przy ul. Piłsudskiego 20, który jest tzw. bazą. Spora grupa jest zakwaterowana również w domu wypoczynkowym FWP „Żbik" przy ul. Mościckiego 19. W sobotni wieczór będzie możliwość transportu Kolejką Spalską pomiędzy bunkrem w Konewce a miejscami noclegowymi.

Jak wspominaliśmy powyżej, w tym roku nasz niejako ustalony program nadal może ulec zmianie, przypominamy, że zawsze najnowsze i najaktualniejsze informacje zamieszczamy na profilu na Facebooku: https://www.facebook.com/Odkrywca i na naszej stronie www.odkrywca.pl – zapraszamy do ich odwiedzania.
Możecie do nas też pisać na adres e-mail: konferencja@odkrywca.pl lub dzwonić pod numery: 71 329 71 71, 71 328 83 71, 501 675 126.
Serdecznie zapraszamy do spędzenia weekendu z „Odkrywcą" w Spale.

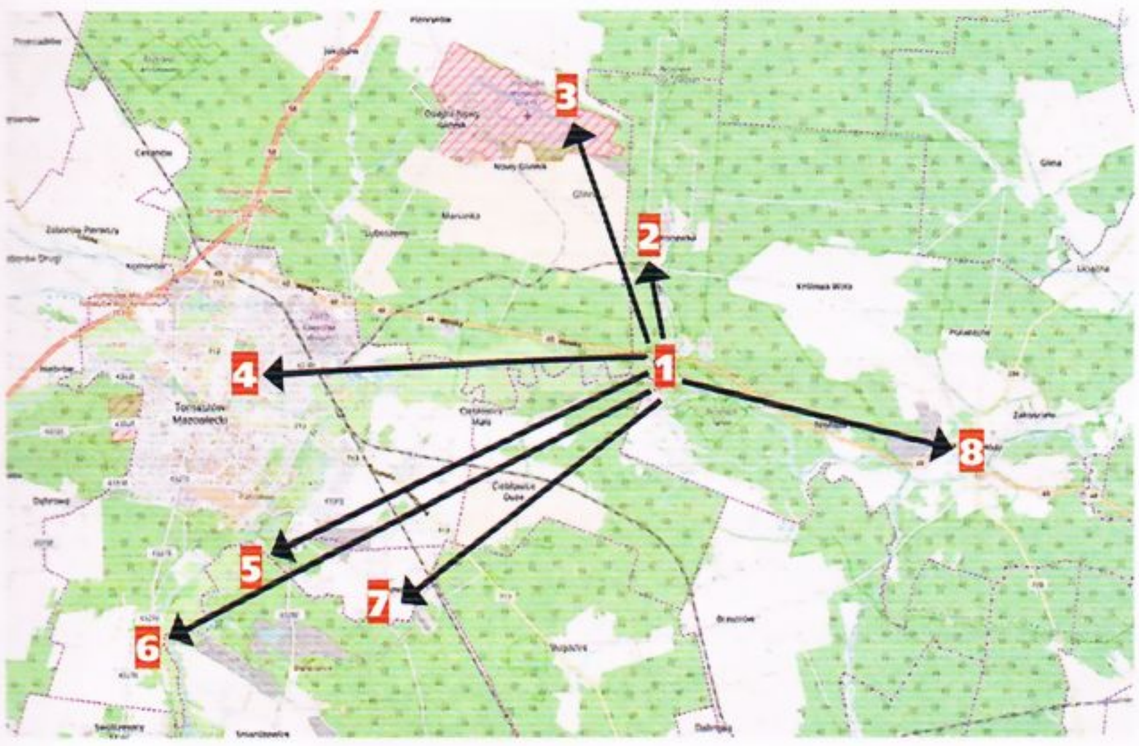

1 Spała – nasza baza w ośrodku „Zacisze", ul. Piłsudskiego 20 oraz FWP „Żbik", al. Prezydenta Ignacego Mościckiego 19.
2 Trasa Turystyczna „Bunkier w Konewce". Od bazy ok. 2,3-3,5 km.
3 25. Brygada Kawalerii Powietrznej, Nowy Glinnik. Od bazy ok. 6,6-7,8 km.
4 Muzeum w Tomaszowie Mazowieckim im. Antoniego hr. Ostrowskiego. Od bazy ok. 11-12,2 km.
5 Skansen Rzeki Pilicy i Rezerwat Niebieskie Źródła. Od bazy 12,5-13,7 km.
6 Groty Nagórzyckie. Od bazy ok.15-16,2 km.
7 Schron kolejowy w Jeleniu. Od bazy ok. 12-13,2 km.
8 Zamek Królewski w Inowłodzu. Od bazy ok. 8-9,2 km.

SERDECZNIE ZAPRASZAMY DO SPĘDZENIA WEEKENDU Z „ODKRYWCĄ" W SPALE.

ORGANIZATOR: ODKRYWCA® SKARBY • WOJNA • HISTORIA

WSPÓŁORGANIZATORZY: Miejskie Centrum Kultury w Tomaszowie Mazowieckim; TRASA TURYSTYCZNA GROTY NAGÓRZYCKIE

PATRONAT: MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA ŁÓDZKIEGO Witold Stępień; INOWŁÓDZ

NOCLEGI: FWP; NATURAtour

SZTOLNIA AUSTRALIJCZYKA
MARZEC 2016 - MARZEC 2017

OBEJRZYJ FILM

Kanał filmowy czasopisma „Odkrywca": zapraszamy na reportaż z prac eksploracyjnych w Sokołowsku i próbę dowiercenia się do części sztolni Australijczyka za zawałem. Zapraszamy również na inne filmy: Szczelina Jeleniogórska, Tajemnice podziemnego Lubania, Kryptonim Karaibe.
Zachęcamy do subskrybcji naszego kanału filmowego.

OK. 5 M

OK. 5 M

ZAWAŁ

NATURALNIE OBWALO
PRZODEK SZTOLNI C
POMYSŁOWO WYKO
NY ZAWAŁ?

HIPOTETYCZNY PRZEBIEG

ODKRYTA

OK. 21 M

MIEJSCE ODWIERTU MARZEC 2017

DZIĘKI DOKŁADNEMU PRZEBADANIU WNĘTRZA WYROBISKA UDAŁO SIĘ ODWZOROWAĆ PRZEBIEG SZTOLNI NA POWIERZCHNI ORAZ WSKAZAĆ MIEJSCE, GDZIE ZNAJDUJE SIĘ JEJ KONIEC. TRUDNO BYŁO OSZACOWAĆ KIERUNEK SZTOLNI ZA DOMNIEMANYM ZAWAŁEM ORAZ OKREŚLIĆ JEGO DŁUGOŚĆ. POSTANOWILIŚMY PRZEPROWADZIĆ WERYFIKACJĘ METODYCZNIE. WYTYPOWANE PRZEZ NAS MIEJSCE PIERWSZEGO ODWIERTU ZNALAZŁO SIĘ NA PRZEDŁUŻENIU OSI SZTOLNI W ODLEGŁOŚCI 5 METRÓW OD JEJ ZAKOŃCZENIA. WG NASZYCH WYLICZEŃ WIERTNICA FIRMY TECHDIAM NA GŁ . OK. 5 METRÓW POWINNA NATKNĄĆ SIĘ NA KONTYNUACJĘ SZTOLNI.

NASZE BADANIA WSPIERAJĄ:

ODKRYWCA®
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

SZTOLNIA

WEJŚCIE DO SZTOLNI MARZEC 2016

WEJŚCIE UKRYTE BYŁO POD KILKOMA METRAMI ZIEMI, TUŻ PRZY DRODZE WIODĄCEJ NA CMENTARZ, UŻYTKOWANY TYLKO W OKRESIE II WOJNY ŚWIATOWEJ. SZTOLNIA SPRAWIA WRAŻENIE SUROWEJ, TZN. NIEPRZYGOTOWANEJ POD MONTOWANIE GÓRNICZEJ OBUDOWY. JEJ PRZEZNACZENIE JEST BARDZO TRUDNE DO WYJAŚNIENIA. ODKRYWCA SZTOLNI – P. HENRYK MAREK TWIERDZIŁ, ŻE WG JEGO INFORMACJI ZOSTAŁA ONA WYKUTA DLA CELÓW SZKOLENIOWYCH. ZAGADKĄ POZOSTAJĄ RÓWNIEŻ PRZEDMIOTY ODNALEZIONE W ŚRODKU.

fot. A. Daczkowski

>>>

Kilka lat temu do redakcji miesięcznika „Odkrywca" zadzwonił pan Henryk Marek, dawny mieszkaniec Sokołowska (gm. Mieroszów), od wielu lat przebywający w Australii. Nie wdając się w detale, zapytał o możliwość przeprowadzenia legalnych poszukiwań sztolni, w której jeden z niemieckich oddziałów miał w pomysłowy sposób ukryć tajemniczy ładunek.

Wchodzimy do sztolni

Tak rozpoczęła się dla nas historia sztolni „Australijczyka" (Odkrywca nr 4/2016). Sprawa, która z pozoru wyglądała na jedną z typowych historii dotyczących ukrywania pod koniec wojny cennych depozytów, zaskoczyła nas kilkoma faktami. Po pierwsze – niezwykle rzadko dochodzi do sytuacji, gdy relacja nie pochodząca bezpośrednio od świadka, a dotycząca położenia jakiegoś zasypanego i nieznanego po wojnie wejścia do podziemi, była tak dokładna jak w tym przypadku. Wskazane przez Henryka Marka miejsce było na tyle zgodne z faktyczną lokalizacją, że pierwsze odkopanie sztolni trwało zaledwie kilkanaście minut! Dodajmy sztolni nieco dziwnej pod kątem górniczym, bo poprowadzonej płytko, ok. 5 metrów pod łagodnie opadającą łąką. Po drugie – nigdy nie spotkaliśmy się z sytuacją, aby w środku wyrobiska rozłożono, na kilkunastu metrach, prawie równą warstwę nietypowych „śmieci", pochodzących prawdopodobnie z okresu przedwojennego. Pośród znajdujących się na dnie sztolni puszek po farbie, fragmentów lamp naftowych, dzbanków, artykułów przemysłowych, kufli, porcelanowych, szklanych i cynowych naczyń znalazła się między innymi skorodowana łuska z karabinu Mauser i znak tożsamości 10 Poznańskiego Pułku Ułanów sprzed I wojny światowej. Wg pierwotnej relacji p. Henryka Marka w sztolni umieszczono „dla niepoznaki śmieci", a na końcu wywołano sztuczny zawał, ukrywając miejsce, w którym złożono nieznany ładunek. O ile informacja o „śmieciach" okazała się prawdziwa, to spoglądając na zakończenie sztolni, nie sposób było stwierdzić, czy jest ono naturalnie zawalonym przodkiem, czy też celowym wysadzeniem.

To nie koniec odkrywania

Zagadkę mogliśmy rozwiązać na dwa sposoby: próbując przedostać się górniczą metodą przez domniemany zawał, bądź namierzyć dalszy ciąg sztolni od góry, stosując odwierty. Musieliśmy również wziąć pod uwagę fakt, że ten rejon jest objęty ochroną programu „Natura 2000", ograniczając środki i czas, w jakim można je zastosować. Ostatecznie wybraliśmy rozwiązanie drugie.

Wiertnica w akcji

Dzięki bratu odkrywcy p. Jerzemu Markowi udało się sprawnie pokonać biurokratyczne bariery i w marcu 2017 roku rozpoczęliśmy kolejny etap prac. Wiercenie wykonała dla nas bezpłatnie firma Techdiam. Wiertnica obsługiwana przez właściciela firmy p. Dariusza Gwiazdę i jego syna Łukasza napotkała jednak spore trudności. Warunki geologiczne, które wcześniej zakłócały wielokrotnie pracę georadaru, tym razem nie sprzyjały wierceniom.

Co pokazała kamera?

Dopiero po siedmiu godzinach ciężkiej pracy wiertło na głębokości ok. 5,20 m „wpadło" na kilkanaście centymetrów, wykazując, że natknęliśmy się na jakiegoś rodzaju niewielką pustkę. Czy jest nią dalsza zawalona część sztolni? Wprowadzona do otworu kamera AX–B2120 RD udostępniona przez firmę TME, ukazała nam pokłady zwietrzałego melafiru, przez które przebijało się wiertło, oraz… wyraźnie widoczne fragmenty rumoszu. Sztolnia biegnie dalej. Historia p. Henryka Marka po raz kolejny okazuje się prawdziwą. Co dalej? Szczegóły już wkrótce.

Prace zostały przeprowadzone wspólnie z Grupą Poszukiwawczą „Riese". Szczególne podziękowania za profesjonalne prace wiertnicze dla firmy Techdiam.

Łukasz Orlicki
Szef działu badań terenowych i archiwalnych, kierownik grupy eksploracyjnej miesięcznika „Odkrywca"

Ekipa miesięcznika „Odkrywca" przy odwiercie. Z prawej strony wiertnicy jej dwaj operatorzy: Łukasz i Dariusz Gwiazdowie, firma Techdiam.

fot. Paweł Trzęsicki

NASZE BADANIA WSPIERAJĄ:
HELIKON-TEX.com
GRALmarine
ARPOL
www.odkrywca.pl

ŁÓDŹ 6-7 MAJA 2017
STADION SKS "START" - UL.ŚW.TERESY 56/58

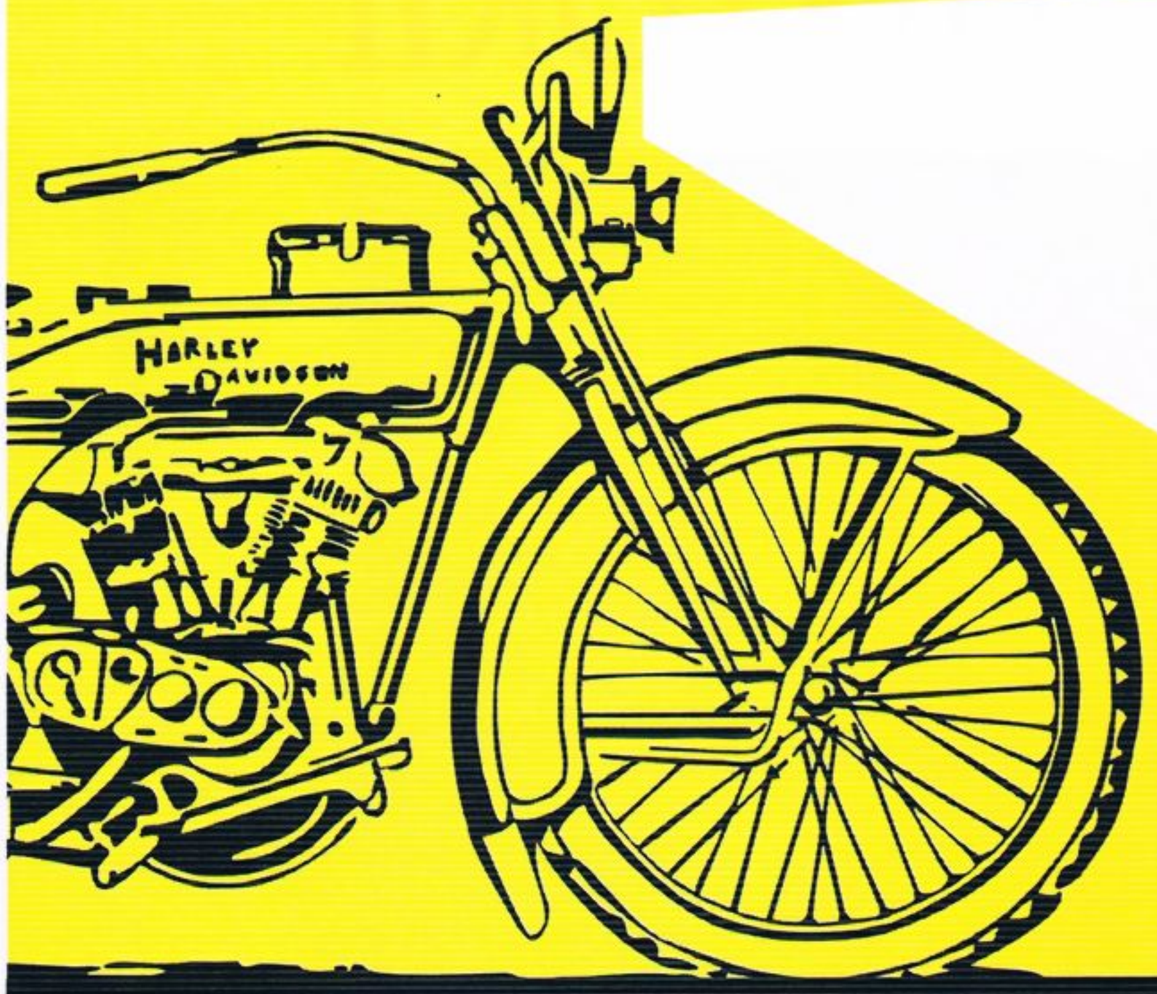

MOTO WETERAN BAZAR

motocykle
części, akcesoria,
kaski, ubior
opony, skute
pojazdy zab
militaria, poj
renowacja poj

PONAD 60 STOISK Z MILITARIAMI

NAJWIĘKSZA W POLSCE GIEŁDA ...OŚNIKÓW POJAZDÓW ZABYTKOWYCH, MOTOCYKLI, MILITARIÓW

Ponad 800 stoisk, 15 000 zwiedzających, powierzchnia 80 000 m2, niepowtarzalna atmosfera, wieloletnia tradycja - od 1992 roku ...
www.motoweteranbazar.com tel.: 42 2054433, 602328837 facebook.com/motoweteranbazar

NA KOLEJNE GIEŁDY W 2017 ROKU ZAPRASZAMY: 24-25 CZERWCA, 9-10 WRZEŚNIA

REKON 2017

VI WROCŁAWSKA PREZENTACJA
GRUP REKONSTRUKCJI HISTORYCZNEJ
I POJAZDÓW MILITARNYCH

3-4 CZERWCA MUZEUM WOJSK INŻYNIERYJNYCH I CHEMICZNYCH

UL. OBORNICKA 108

wstęp wolny!

MILITARNI WROCŁAW

MUZEUM WOJSK LĄDOWYCH

patronat medialny: ODKRYWCA® SKARBY • WOJNA • HISTORIA

DOTKNĄĆ HISTORII

PIOTR MASZKOWSKI

Pod koniec marca br. podpisaliśmy umowę o współpracy z Archiwum Akt Nowych. Oznacza to nowe wyzwania i realizację wspólnych przedsięwzięć.

Warszawa, 30 marca 2017 r. Właśnie odbywa się konferencja prasowa związana z przekazaniem do AAN przez panią Marię Nowicką-Marusczyk niezwykle cennych dokumentów związanych z działalnością regionu gdańskiego NSZZ „Solidarność" z lat 1980–81 oraz archiwum Komisji Charytatywnej przy kościele św. Brygidy w Gdańsku. Prezentowane są również uratowane od zniszczenia depesze Reutersa z tego okresu, całość opatrzona wstępem dyrektora Tadeusza Krawczaka oraz komentarzem historycznym Mariusza Olczaka. Nieco później następuje szczególnie nam miła chwila. Zostaje ogłoszona publicznie współpraca miesięcznika „Odkrywca" z Archiwum Akt Nowych.

Tu kryją się skarby...

Skarbem bowiem jest wiedza, a jej poszukiwania powinno zaczynać się zawsze w archiwach i bibliotekach. Tę zasadę wyznajemy wspólnie z naszymi autorami i współpracownikami od dawna, prowadząc rozliczne kwerendy poprzedzające np. eksplorację w terenie. Ma to szczególne znaczenie w tak specyficznym obszarze działań, jakim jest badanie szeroko pojętych tajemnic przeszłości. Większość z nich oparta jest często na trudnych do zweryfikowania informacjach – przekazach ustnych, relacjach pojedynczych świadków czy publikacjach prasowych sprzed lat, które multiplikowane w setkach wersji zaowocowały powstaniem licznych legend i mitów. Aby wyłuskać z nich przysłowiowe ziarno prawdy i zweryfikować wiarygodność, trzeba przebić się przez grubą warstwę wątłych poszlak. W archiwach przechowywane są miliony kart dokumentów i niezliczone ilości teczek. Odnalezienie wśród nich właściwych treści, to nierzadko mozolny i pracochłonny proces, zależny w równej mierze od doświadczenia i wiedzy, ale i... szczęścia. W efekcie jednak możemy coraz częściej wykraczać poza sferę konfabulacji i hipotez. Dzięki zachowanej dokumentacji możliwe jest bowiem w wielu przypadkach merytoryczne opracowanie najbardziej kontrowersyjnych z historycznego punktu widzenia tematów. Przykładem na to mogą być nasze wieloletnie kwerendy w Instytucie Pamięci Narodowej, kwerendy naszych autorów w rodzimych archiwach, archiwach niemieckich, rosyjskich, brytyjskich czy amerykańskich.

Moment podpisania umowy, po prawej dyrektor AAN Tadeusz Krawczak, po lewej redaktor naczelny Piotr Maszkowski.

Odkrywca

Lech Zwirełło, nasz znamienity i stały współpracownik, zarazem wytrawny archiwista od wielu lat prowadzi zaawansowane kwerendy m.in. w Archiwum Akt Nowych. Dzięki jego intensywnej i systematycznej pracy udało się zgromadzić potężną ilość dokumentów dotyczących interesującego nas obszaru wiedzy – m.in. problematyki zrabowanych i zaginionych dzieł sztuki,

czy też powojennych inwentaryzacji obiektów poniemieckich. W tym czasie też zapoznał się niemal kompleksowo z potężnym inwentarzem AAN, zyskując uznanie dyrekcji tej zacnej instytucji. Najlepszym wyrazem owego uznania jest zacieśnienie i sformalizowanie z nami współpracy.

Jasno określony cel

Z dyrektorem AAN, panem Tadeuszem Krawczakiem, spotykamy się w jego gabinecie. Razem z Mariuszem Olczakiem, obecnie z-cą dyrektora ds. informacji naukowej, udostępniania i archiwów społecznych wspominamy naszą wspólną akcję sprzed lat. We wrześniu 2005 roku poszukiwaliśmy ukrytego w październiku 1944 roku archiwum Komendy Głównej Armii Krajowej. Było to przedsięwzięcie organizacyjnie i wykonawczo niezwykle trudne. Konieczne było uzyskanie rozlicznych zgód i pozwoleń, szczególnie ze względu na potrzebę rozbiórki świeżo ułożonej kostki brukowej na dziedzińcu siedziby dyrekcji Telekomunikacji Polskiej. Pod nim znajdowały się wskazane przez świadka, pana Jerzego Niżnikowskiego ps. Kajtek – członka ochrony sztabu KG AK – piwnice, gdzie pod koniec powstania warszawskiego uczestniczył w ukrywaniu konspiracyjnego depozytu. Działania te zakończyły się wówczas odnalezieniem pistoletu, który został rozpoznany przez p. Niżnikowskiego. Niestety, we wskazanym miejscu nie udało się odnaleźć dokumentów KG AK. Być może zostały przeniesione w inne miejsce. Takich tematów jest wiele. Wszyscy zdajemy sobie sprawę z ich wagi dla historii. Uznajemy, że warto taką współpracę kontynuować. Zresztą na każdym szczeblu, zarówno pod kątem poszukiwań, pozyskiwania dokumentacji i wzajemnego promowania tego typu inicjatyw pod wspólnym szyldem. AAN w Warszawie przechowuje ok. 35 000 m bieżących akt, gromadzi również wiele pamiątek i przedmiotów związanych z historią naszego kraju. Każda z nich to fascynująca opowieść o ludzkim losie rzuconym w wir dziejów, a często i tajemnica, którą warto rozwiązać. Oznacza to, że wkrótce przystąpimy do działań, które wstępnie omówiliśmy podczas owocnego spotkania. W obecnej chwili realizujemy już kilka z nich i z pewnością wyniki zostaną opublikowane na naszych łamach. <

REKLAMA

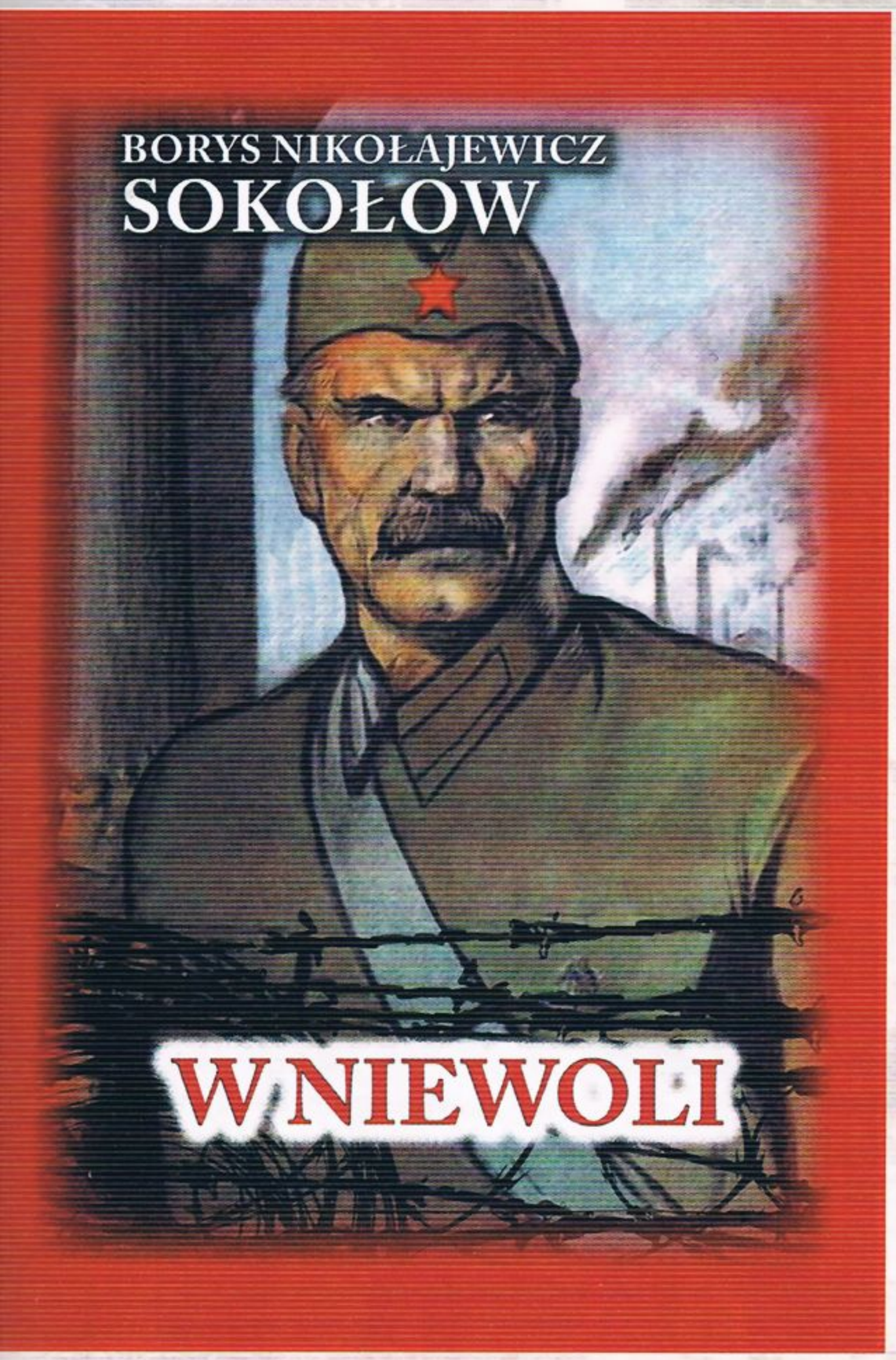

BORYS NIKOŁAJEWICZ SOKOŁOW
W NIEWOLI

Autobiograficzna książka Borysa Sokołowa (1911–2001) to obraz losów „maleńkiej ludzkiej molekuły w gigantycznej wojennej zawierusze". Wyobrażenia oficera rezerwy szybko weryfikuje niełatwe zadanie, jakim jest dowodzenie baterią artylerii na drogach odwrotu 1941 roku i walki na przedpolach Leningradu. Ale to tylko początek wojennej drogi Sokołowa. Przyjdzie mu poznać niemieckie obozy jenieckie, pracować na polach i w kopalniach, patrzeć na bombardowane miasta Rzeszy i, przede wszystkim, walczyć o przetrwanie. Wspomnienia autora, jako jedne z nielicznych, obejmują także okres po wyzwoleniu i niezwykle barwnie przedstawiają rozbójniczo-tułacze życie byłych radzieckich jeńców wojennych w strefach okupacyjnych państw zachodnich. Opisuje dylemat tysięcy „ludzi radzieckich" i nieuchronność często tragicznego wyboru: zostać na zachodzie czy wrócić do ojczyzny proletariatu?

II WOJNA ŚWIATOWA · MILITARIA · ODKRYWCA SKARBY • WOJNA • HISTORIA

CZĘŚĆ 5

TESTY RADAROWE W GLINIANACH I ZAGÓRZYCACH

ROMUALD OWCZAREK

Dla Zagórzyc podaje się, że były tu prowadzone próby oraz doświadczenia, zaś w Glinianach testowanie sprzętu

W dwóch poprzednich numerach miesięcznika „Odkrywca" zaprezentowane zostało spektrum prac badawczych firmy Telefunken w Lubiążu. Wyniki działalności naukowców w zakresie techniki radarowej należało jednak gdzieś i na czymś testować. Ciekawostką jest to, że przed podjęciem w lubiąskim klasztorze prac badawczych, naukowcy przybyli z Berlina przystąpili najpierw do… testów.

Najstarszy dokument

Wśród bogatych zbiorów archiwalnych Dolnośląskiego Towarzystwa Historycznego bardzo ciekawy jest dokument z 11 maja 1943 roku z… Heinrich, czyli z Lubiąża. Nie funkcjonowały jeszcze warsztaty, nie było stacji radarowych, ale pracowali już naukowcy oddelegowani z Berlina. Ten cenny dokument jest swego rodzaju wytycznymi opracowanymi przez pracowników Laboratorium Antenowego EB23 i dotyczy trybu przeprowadzania testów kabli szerokopasmowych oraz nowych wsporników dipoli antenowych w urządzeniach:„Würzburg",„Würzburg-Riese" i „Mannheim". Pismo zalecało

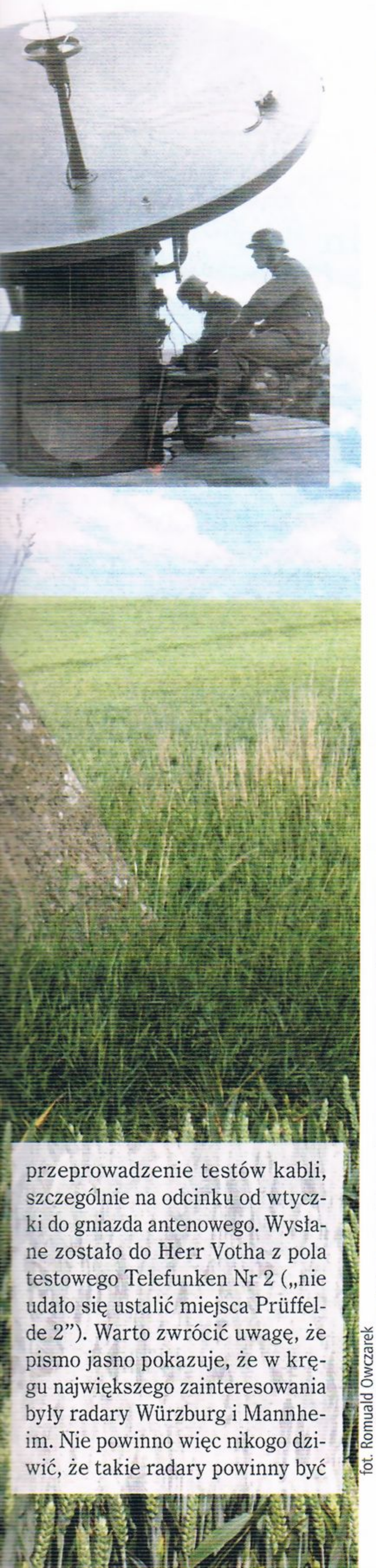

przeprowadzenie testów kabli, szczególnie na odcinku od wtyczki do gniazda antenowego. Wysłane zostało do Herr Votha z pola testowego Telefunken Nr 2 („nie udało się ustalić miejsca Prüffelde 2"). Warto zwrócić uwagę, że pismo jasno pokazuje, że w kręgu największego zainteresowania były radary Würzburg i Mannheim. Nie powinno więc nikogo dziwić, że takie radary powinny być

fot. Romuald Owczarek

zainstalowane gdzieś w pobliżu Lubiąża. I tak też było.

Umowy dzierżawy

W berlińskim archiwum Muzeum Techniki znajdują się kopie umów zawartych przez Schlesische Werkstätten Dr. Fürstenau &Co. GmbH Leubus z rolnikami ze wsi: Glinianey i Zagórzyce.

Pierwsza umowa zawarta została już 1 maja 1943 roku na dzierżawę terenów rolnych w Glinianach (Gleinau). Dwaj rolnicy, Albert Bachstein i August Nickel, zgodzili się na wynajem części sąsiadujących ze sobą pól o powierzchni 0,899 ha i 0,930 ha. Z chwilą zawarcia umowy rolnicy uzyskali odszkodowania po 900 RM jako rekompensatę za utracone płody rolne. Sama cena dzierżawy była niska i wynosiła 100 RM za hektar w skali roku. Rolnicy mogli umowy wypowiedzieć najwcześniej po upływie 2 lat od zakończenia wojny!

Druga umowa dotyczyła terenów rolnych w Zagórzycach (Birkenhain) i zawarta została później, bo dopiero po 4 miesiącach – 1 września 1943 roku. To bardzo ciekawy dokument, bo jedną ze stron był rolnik Josef Friede urodzony w… 1930 roku. Od małoletniego właściciela (za zgodą sądu) wydzierżawione zostały grunty o powierzchni 3,28 ha. Ponadto od jego ojca – też Josefa Friede – przejęto dodatkowo sąsiednie pole o powierzchni 0,67 ha. W tym przypadku rekompensata za utracone płody rolne wyniosła aż 1600 RM.

Do obu umów załączone są decyzje sądu okręgowego w Wołowie – z 23 marca 1944 roku (dla Glinian) i 29 sierpnia 1944 roku (dla Zagórzyc), czyli po 10–11 miesiącach od daty zawarcia umów. Uzasadnienie decyzji sądu wyjaśnia ciekawy aspekt prawodawstwa za czasów III Rzeszy. W swym orzeczeniu sąd uznał, że nie ma zastrzeżeń co do samej umowy, bowiem czynsz jest w rozsądnej wysokości, a wydzierżawiający zobowiązał się do wykorzystywania parceli do realizacji własnych zadań, ważnych dla gospodarki wojennej.

Radar z siodełkiem, jak ze wspomnień p. R. Żarczyńskiego.

Podstawa po byłym radarze w Glinianach.

Jednocześnie sąd wskazał, że za odmowę zawarcia powyższych umów grozić może nawet przymusowa konfiskata potrzebnych terenów[1].

Tak więc na terenie Glinian dr Fürstenau wydzierżawił 1,8 ha, zaś w Zagórzycach – 3,95 ha gruntów. Z samych umów nie wynikało, że niebawem na dzierżawionych polach rozpocznie się budowa ośrodków testowania urządzeń radarowych.

Kod Gretchen (Greta)

Firma Telefunken lubiła kamuflować swoje placówki pod jakimiś kryptonimami. Główna baza w Lubiążu, obejmująca zakwaterowanie naukowców, otrzymała kod –„Hedwig" (Jadwiga), zaś ośrodek badawczy w lubiąskim klasztorze – kod „Heinrich" (Henryk). Nie powinno więc dziwić, że obiekty w Glinianach i Zagórzycach też otrzymały swoje kody.

Wybrano imię żeńskie – Gretchen, czyli Greta.

W nielicznych dokumentach pojawiał się kryptonim Gretchen III. Dopiero niedawno pojawił się kod Gretchen II przy okazji artykułów Marka Michalskiego na łamach„Odkrywcy".

Z samego programu pobytu delegacji berlińskiej w kwietniu 1944 roku wynika, że z lubiąskiej winiarni do miejsca testowania radarów Gretchen II było ok. 10 minut. W tak krótkim czasie można było dojechać tylko do Glinian, bowiem do Zagórzyc jest o wiele dalej. Więc logicznym wydaje się, że Gretchen II powinno dotyczyć Glinian (np. umowa na dzierżawę Glinian była podpisana 4 miesiące wcześniej niż dla Zagórzyc). Z kolei w swoich zeznaniach jeniec niemiecki (były pracownik firmy Telefunken) wzięty do niewoli we Włoszech, uważał, że Gretchen II należy raczej kojarzyć z Zagórzycami[2]. Należało więc znaleźć dodatkowe źródło, które ostatecznie rozstrzygnęłoby tę kwestię. W internecie znajduje się baza – wykaz niemieckich stacji radarowych z czasów II wojny światowej, rozlokowanych w całej Europie, które podane są wraz z numerami identyfikacyjnymi (ID). Są tam też obiekty w pobliżu Lubiąża, Domaszkowa: >>>

www.odkrywca.pl

>>> a) ID 864 Gretchen III Zagórzyce Versuchsstellung Firma Telefunken,

b) ID 868 Erprobungsstelle Gliniany Firma Telefunken[3].

O ile dla Zagórzyc podano jednoznacznie Gretchen III, to dla Glinian nie ma kodu.

Jest również ciekawa uwaga co do statusu obiektów. Dla Zagórzyc podaje się, że były tu prowadzone próby, doświadczenia, zaś w Glinianach testowanie sprzętu. Póki co, na dzień dzisiejszy można przyjąć z dużym prawdopodobieństwem, że Gliniany miały kod: Gretchen II, a Zagórzyce kod: Gretchen III. Od razu rodzi się pytanie – czy było coś pod kryptonimem Gretchen I?

No i co tu napisać?! Póki co w dokumentach nie udało się się odnaleźć takiego kryptonimu.

Jeśli miałby być, to należałoby go kojarzyć z głównym punktem „Heinrich" – czyli klasztorem. Ku takiej przesłance skłaniają zeznania jeńca wojennego z artykułu M. Michalskiego, który wspomina, że przywiezione koleją części konstrukcji radarowych, czasze, dipole, kabiny – przewożone były najpierw na teren klasztoru, gdzie po złożeniu oraz wyposażeniu w osprzęt elektryczny – transportowane były do Glinian lub Zagórzyc. Krótko mówiąc, wszystko co znalazło się w Gretchen II i Gretchen III musiało najpierw znaleźć się w punkcie centralnym – lubiąskim klasztorze (Gretchen I?).

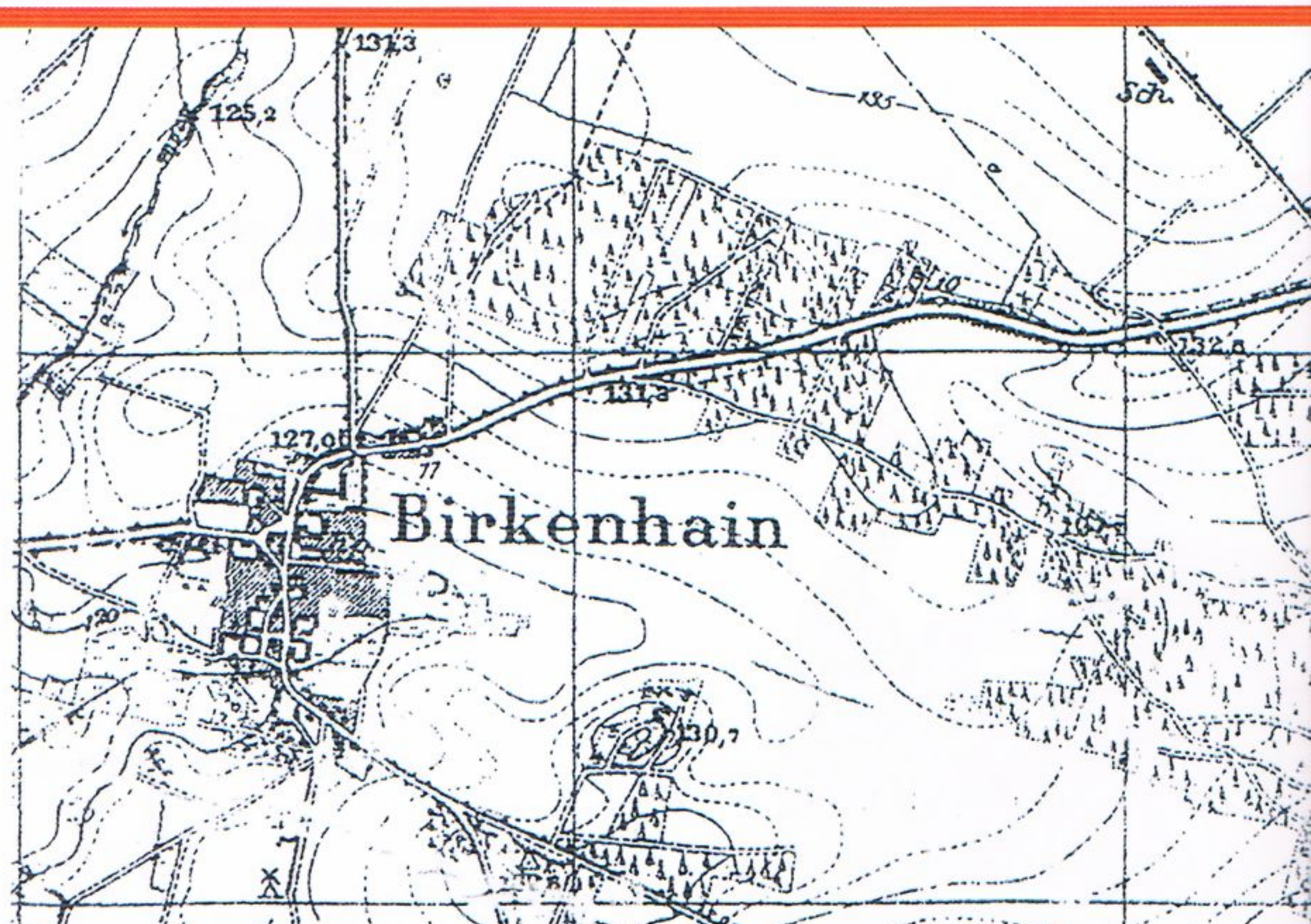

Lokalizacja stanowisk testowania radarów (kolor żółty) w pobliżu wsi Zagórzyce.

Transport radarów koleją

Skoro już wspomniałem sprawę dostarczania radarów do Lubiąża, to pozwolę sobie na kilka uwag, co do zasad transportu koleją. Dotyczy to szczególnie radaru„Würzburg Riese", który ważył w całości blisko 12 ton.

Zajmowało się tym specjalne komando kolejowe, które musiało najpierw radar w częściach umieścić na platformach kolejowych, a potem zabezpieczyć na czas transportu. Ministerstwo Lotnictwa III Rzeszy wydawało nawet specjalne podręczniki odnośnie organizacji całości prac załadowczo-wyładunkowych radaru FuSE 65 -Würzburg-Riese

Pozostałości po stacji testów radarowych w Zagórzycach.

Radar Würzburg-Riese przygotowany do przewozu transportem kolejowym.

(np. zeszyt nr 6 z marca 1944 roku)[4]. Na kilku zdjęciach ukazano prace załadowcze.

Gretchen II (Greta 2)

Na obszarze blisko 2 hektarów utworzono tuż przy drodze z Lubiąża do Domaszkowa (w rejonie wsi Gliniany) stanowiska testowania elementów radarowych. Zgodnie z zeznaniem jeńca wojennego z artykułu M. Michalskiego, były tu zamontowane m. innymi dwa duże stacjonarne radary „Würzburg Riese" oraz przewoźny „Mannheim" oraz jeden radar typu „Freya". Był to klasyczny zestaw wielu stacji radarowych wykorzystywanych w niemieckim wojsku. Radar „Freya" (o zasięgu do 150 km) określał tylko kierunek nadlatującego samolotu, natomiast radar „Würzburg" lokalizował oraz śledził trasy przelotu głównie bombowców. Niemiecki jeniec wspominał również, że samoloty testowe nadlatywały z kierunku Legnicy. Z analizy programów naukowych realizowanych w Lubiążu wynika, że w Glinianach testowano nowe rozwiązania techniczne dla potrzeb Luftwaffe (obrony przeciwlotniczej). Sprawdzano tutaj m.in. nowy typ nadajnika radarowego „Urechse", który miał być bardziej odporny na alianckie urządzenia zakłócające.

Na tak dużym obszarze było wiele obiektów towarzyszących. Po wojnie praktycznie teren ten nie był w ogóle badany. Wciąż prowadzona działalność rolnicza spowodowała, że nawet dzisiaj podstawy pod radary szukać trzeba pośrodku zasieków (zdjęcie otwierające artykuł). Na zdjęciu lotniczym z 1947 roku widoczna jest jeszcze na jednym z cokołów czasza radaru. O ile osprzęt, aparatura, okablowanie szybko zniknęło, to 10-tonowa konstrukcja mogła się długo opierać różnego rodzaju szabrownikom.

fot. Romuald Owczarek; instrukcja Luftwaffe

Gretchen III (Greta III)

Tutaj mamy sytuację odwrotną niż w Glinianach. Teren w Zagórzycach zajęty pod stanowiska testów był dwa razy większy niż w Glinianach. Na obszarze blisko 4 hektarów do dziś zachowało się w stanie szczątkowym wiele pozostałości. Były one w dawnych latach badane przez nieliczne grupy eksploratorskie. Dziś teren ten jest w kręgu zainteresowania Dolnośląskiego Towarzystwa Historycznego i należy się spodziewać poszerzonych badań terenowych wraz z uporządkowaniem zalesionego kwartału, tak aby w przyszłości było możliwe nawet„zwiedzanie" dziś już mocno zarośniętych resztek eksperymentalnej stacji testów radarowych.

Ciekawy opis terenu w Zagórzycach pojawił się na łamach„Exploratora" w 1994 roku[5]. Po 12 latach, w czerwcu 2016 roku, Dolnośląskie Towarzystwo Historyczne zorganizowało wizję w terenie z udziałem Pana Romana Żarczyńskiego z Brzegu Dolnego. Pan Roman, dziś emerytowany nauczyciel, przyjechał do Zagórzyc wraz z rodzicami już w maju 1945 roku. Jako 12-letni chłopiec wraz z kolegami często wybierał się na skraj lasu, gdzie firma Telefunken pozostawiła wiele swojego sprzętu. W rozmowie ze mną tak wspomniał tamte czasy: „Dziwiliśmy się, że teren nie jest w ogóle ogrodzony. Można było swobodnie się poruszać. Były obiekty podobne do wartowni, duży barak, który został rozebrany przez mojego ojca i w elementach przewieziony na nasze gospodarstwo. Sam barak wielkości 25x5 m był typowym magazynem różnych części radarowych. Nie było tu żadnych urządzeń pomiarowych czy badawczych. Takie prace zapewne były prowadzone nieopodal, gdzie stały dwa metalowe kontenery, w których były resztki urządzeń elektrycznych. W linii równej stały trzy cokoły betonowe. Dwa z nich były wykonane w całości, trzeci zaś był niedokończony. Na dwóch postumentach stały radary. Były to kwadratowe bloki betonowe o szerokości ok. 4,5 m, przy czym każdy z nich był różnej wysokości – od 2,0 do 3,5 m. Ciekawostką było, że jeden z nich był pomalowany na żółto. Ale dla nas największą frajdą była zabawa przy jednym przewoźnym urządzeniu radarowym, gdzie było siodełko. Korzystając z boku zamontowanej korbki mogliśmy się czuć jak na… karuzeli. Te chwile radości pamiętam mocno do dziś. Przez kilka miesięcy na tym terenie była cicho. Dopiero jesienią podjechały sowieckie ciężarówki wraz z żołnierzami. Zdemontowano tylko to, co można było zrobić w sposób ręczny. Czasze radarów pozostały nadal, aż którejś nocy… nagle zniknęły i nie za bardzo wiadomo, kto to zrobił".

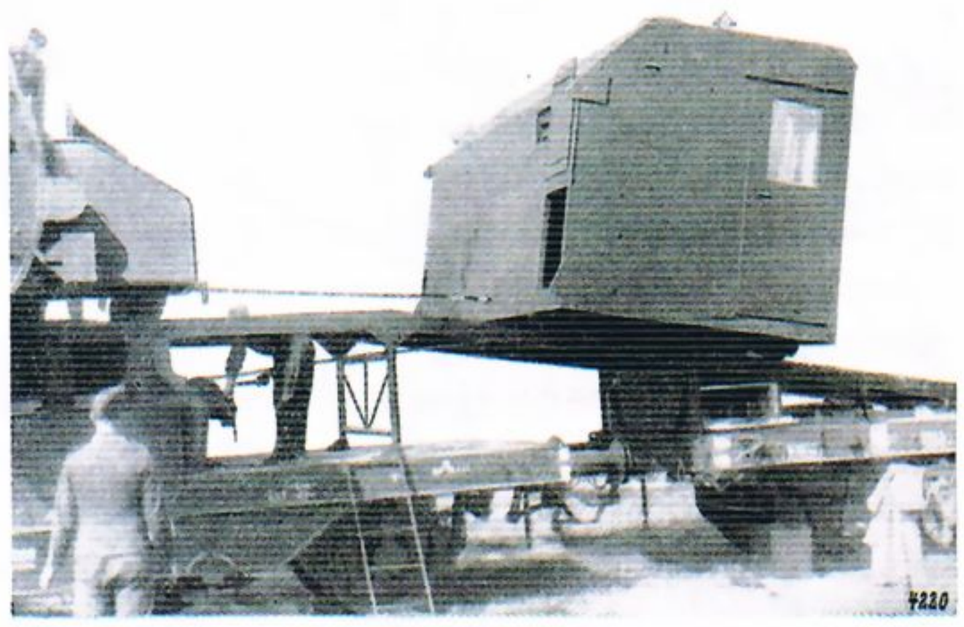

Kabina stacji radarowej podczas umieszczania na platformę kolejową.

Rozmowę kończymy, bo pora rozpocząć zwiedzanie. Dziś teren, który kiedyś był polem uprawianym przez rodzinę Friede, jest już mocno zarośnięty krzewami i drzewami. Porównując zdjęcia zamieszczone w „Exploratorze", widać, że przyroda już mocno zamaskowała jeszcze nie tak dawno dobrze widoczne pozostałości np. po betonowych płytach, belkach żelbetowych, fundamentach baraku itp. Na samym początku kierujemy się do pozostałości po baraku 5x25 m, gdzie zachowała się też podziemna, zrujnowana część obiektu wykonana z kamienia i cegły. Tuż obok nagle spośród drzew wyłania się rura. Dziwna rura. Ktoś próbował chyba ją „wyrwać" z ziemi, bo rura jest wokół odkopana do głębokości 2 metrów. Nieudane próby mogą >>>

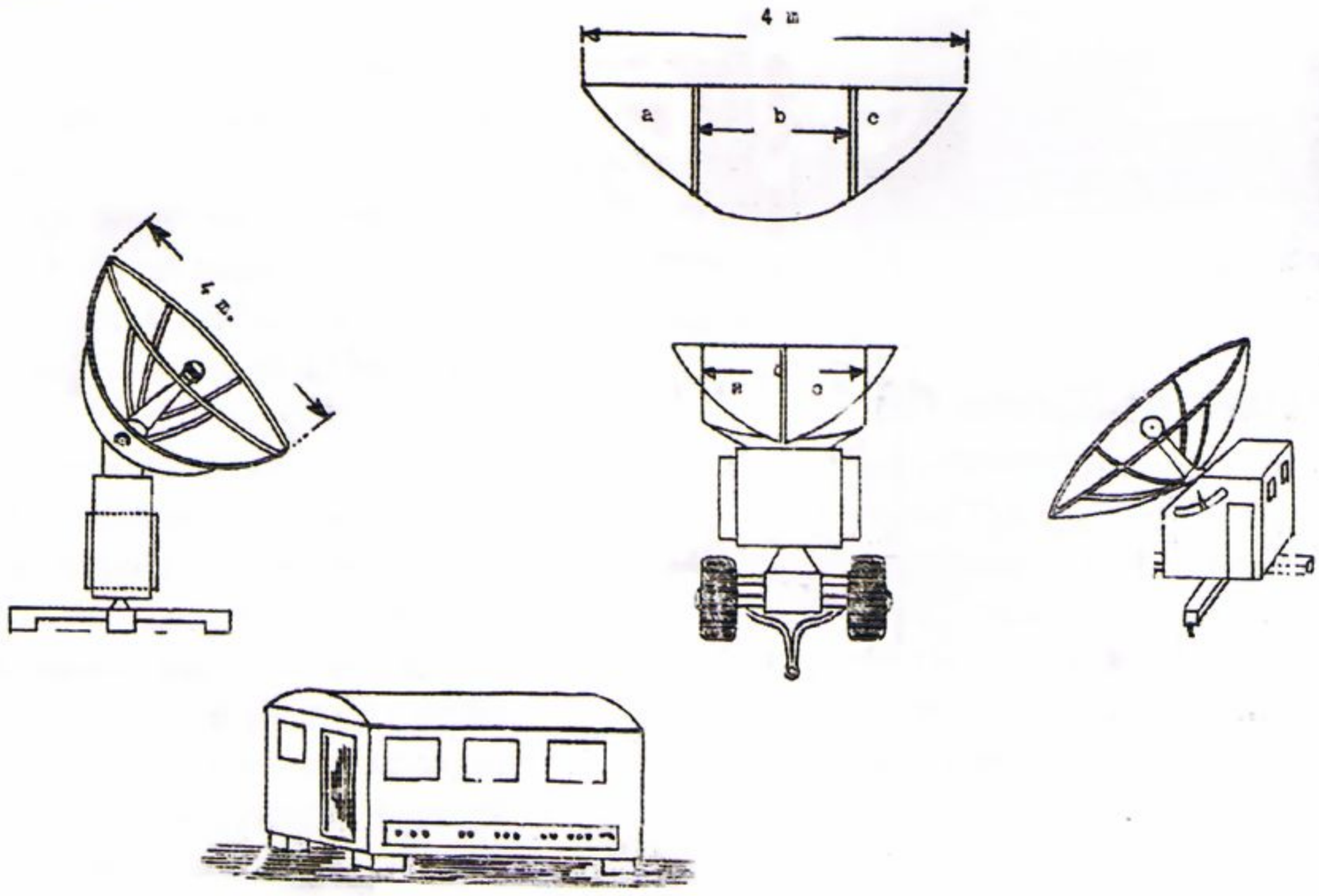

Radary przewoźne: „Mannheim" (z lewej) i „Ansbach" (z prawej) oraz kontener metalowy w Zagórzycach w 1944 roku.

>>> sugerować, że w dolnej części może być obetonowana. Ma średnicę 30 cm, posiada nagwintowany wylot, co może wskazywać, że coś tu było jeszcze zamontowane. Padają różne pomysły co do celu jej montażu, łącznie z istnieniem tutaj prowizorycznego punktu poboru wody. Idziemy dalej i w końcu dochodzimy do podstawy pod radar „Würzburg-Riese". Porównując cokoły z Glinian, to tutaj – nie wiem dlaczego – są one o wiele większymi blokami betonowymi. Dziś porośnięte mchem ładnie wkomponowały się z leśną roślinnością. Na samej górze straszą zardzewiałe bolce o średnicy 30 mm, które służyły do montażu dolnej części radaru. Widać z boku wiele otworów prowadzących do wnętrza cokołu, zapewne potrzebnych do instalacji różnych kabli. I właśnie kable są tu ciekawym elementem infrastruktury technicznej. Wszędzie widać zagłębienia w terenie do ok. 50 cm.

Idąc ich śladem, dochodzimy do ruin stacji trafo. Pozostały tylko resztki fundamentów, a z odnajdywanych dawniej białych izolatorów nie ma już żadnego śladu. W drodze powrotnej natrafiamy na najbardziej tajemniczy obiekt. Dziś pozostało tutaj 9 płyt betonowych (po trzy w rzędzie) w miarę symetrycznie ułożonych na planie kwadratu.

Zgodnie z relacją z„Exploratora" miały tu w 1994 roku wystawać jeszcze stalowe uchwyty mocujące, przy czym dwa skrajne były skierowane pod kątem 45 stopni. Pan Roman uważa jednak, że stał tutaj, jakby na podwyższeniu (nie dotykając ziemi) barak.

Jest tu jeszcze wiele drobnych płyt fundamentowych, zarośniętych żelbetowych belek i wszystko to zawiera jakąś tajemnicę. Dla eksploratorów jest to niezwykle atrakcyjny teren.

Niedawno na łamach„Odkrywcy", za sprawą Marka Michalskiego, ukazały się unikalne zeznania byłego jeńca niemieckiego, który na przełomie 1943/44 roku pracował w firmie Telefunken, głównie na terenie Zagórzyc. Warto tu przypomnieć fragment tych zeznań, które przed aliantami zostały złożone 19 stycznia 1945 roku. Jeniec ten pracował w Zagórzycach do marca 1944 roku. Uważa, że wówczas był wykonany tylko jeden cokół pod duży radar „Würzburg- Riese" z anteną o średnicy 7,45 m. To niesamowite, ale urządzenie to było w kolorze żółtym, czyli w takim samym, o jakim wspominał Pan Roman Żarczyński. Dlaczego żółty? Dobra zagadka! Jej rozwiązania szukałbym na morskich wybrzeżach. Przypomnę tylko, że w Zagórzycach wiele programów było realizowanych dla Kriegsmarine, w tym dla radarów współpracujących z nadbrzeżną artylerią. Dla lepszego maskowania radarów wśród piasków najlepiej nadaje się kolor… żółty.

Drugi cokół miał być wylewany lada dzień. Jeniec wspomina, że wiele było sprzętu tzw. przewoźnego. Były to przeważnie radary z antenami o średnicy 3,0 m, takie jak „Mannheim" czy zwykły „Würzburg". Ale były też radary mające antenę o średnicy ok. 4 m (takim urządzeniem radarowym był np. FuM MG 68 Ansbach). Były to praktyczne radary, które na czas transportu można było składać, szczególnie czaszę. Jeniec pozostawił cenny szkic (patrz obok) na którym odtworzono to, co widział w Zagórzycach.

Tą krótką retrospekcją o miejscach testowania sprzętu radarowego kończę cykl poświęcony wojennym losom agend firmy Telefunken w rejonie Lubiąża i Wołowa. Dzięki dużej kolekcji niemieckich dokumentów udało się po raz pierwszy poznać charakter ośrodka badawczo-rozwojowego, który z Berlina został przeniesiony do Pałacu Opata i klasztoru w Lubiążu. Uważny czytelnik zapewne zauważył, że nie odniosłem się do sprawy prowadzonych od kilkudziesięciu lat poszukiwań podziemnej fabryki zbrojeniowej w Lubiążu. Zrobiłem to z prozaicznej przyczyny – nikt jeszcze w tej sprawie nie przedstawił żadnego dokumentu! Podobnie jest ze sprawą łączenia lubiąskiego klasztoru z prototypami pierwszych na świecie tranzystorów. Ile jest w tym prawdy, już niebawem – w najbliższym numerze„Odkrywcy".

Składam serdeczne podziękowania członkom Dolnośląskiego Towarzystwa Historycznego za możliwość pracy nad zbiorami archiwalnymi i zgodę na ich częściowe zaprezentowanie na łamach„Odkrywcy", za czas poświęcony moim dociekaniom i możliwość udziału w pracach terenowych. Dziękuję również Kolegom – Wacławowi Mazurowi i Markowi Michalskiemu za wsparcie mych badań i przekazanie wielu cennych dokumentów. <

Romuald Owczarek

PRZYPISY

[1]Pachtangelegenheiten für den Ausweichstandort „Heinrich" in Gleinau, s.akt I.2.060 C- 04160, SDTB Berlin
[2]Marek Michalski „Lubiąż nieznany?", Odkrywca Nr 12(2016) i 1(2017).
[3]www.atlantikwall.info > (radar/polen)
[4]www.cdvandt.org/fuse65-e.htm
[5]B.Wróbel, Z. Muszak „Zagórzyce"– Explorator Nr 1/94 str. 25-26

www.odkrywca.pl

Viking

NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE OD 1998!

wodoszczelny do 3m ● odporny na warunki atmosferyczne ● do poszukiwania złota ● podwodny

GARRETT METAL DETECTORS
www.garrett.com

NOWOŚĆ

Ace 150

Ace 250

Euro Ace

AT Pro

AT Gold

GTI 2500

Sea Hunter Mark II

ATX

white's

Coinmaster

Treasure Master

Treasure Pro

NOWOŚĆ

MXSPORT

MX5

Matrix M6

MXT Tracker

MXT Pro

Spectra VX3

Spectra V3i

BeachHunter

TM 808

FISHER RESEARCH LABS
Detecting & Underground Locating Equipment

F5

F11

F22

F44

F19

F70

F75

F75 LTD

Pro-Tech

Pro-Arc

CZ 21

1280-X Aquanaut

MINELAB

X-Terra 305

X-Terra 505

X-Terra 705

Safari

E-Trac

CTX 3030

GPZ 7000

SDC 2300

Excalibur II

GO-FIND 20

GO-FIND 40

GO-FIND 60

XP METAL DETECTORS

ADX150

Adventis 2

GMaxx II

Gold Maxx

Deus

Nokta DETECTION TECHNOLOGIES

VELOX One

FORS CoRe

GROUND EFX

MX100E

MX200E

MX300

MX400

Pin Pointery

Garrett Pro-Pointer II

Garrett Pro-Pointer AT

White's Bullseye TRX

Minelab Pro-Find 25

Deteknix XPointer

ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl

www.viking.waw.pl

sklep stacjonarny czynny 6 dni w tygodniu, sprzedaż wysyłkowa i ratalna

DWUNASTU ZŁOTYCH APOSTOŁÓW Z NIEŚWIEŻA

JOLANTA ADAMSKA

„Gdy w pokojach ukazywano gościowi bogactwa liczne, cebry i wanny srebrne, książę pokazał apostołów ze szczerego złota ulanych; było ich dwunastu, oprócz Chrystusa”.

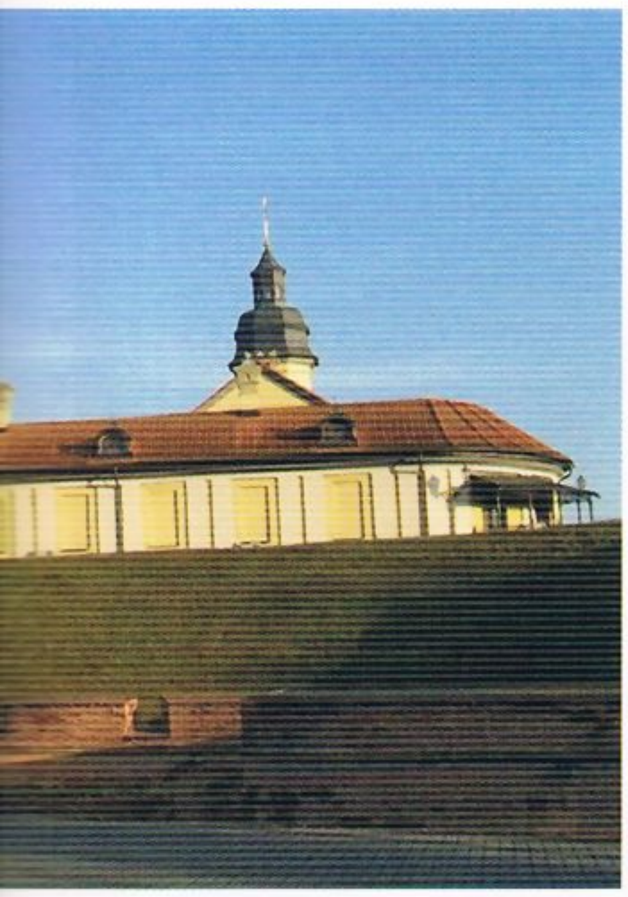

Zamek w Nieświeżu, po 1945 roku sanatorium, od 2012 roku muzeum, zdjęcie z 2016 r.

Dziedziniec zamku Nieśwież, zdjęcie z 2016 r.

Mało który ze starych zamków nie posiada „swojego" ducha i legendy – mniej lub bardziej opartej na faktach – o ukrytych skarbach. Nie pozbawione obu tych „wartości" były także zamki na dawnych polskich Kresach Wschodnich. Z ich dziejami zetknęłam się, jeżdżąc w latach 90. po terenach województw wschodnich II RP, i „studiując" historię tamtejszych zabytków.

A więc – potężny zamek w Nieświeżu (m. pow. w woj. nowogródzkim, obecnie Białoruś), miał być siedzibą „czarnej damy" – ducha Barbary Radziwiłłówny (1523–1551), słynnej miłości Zygmunta Augusta, poślubionej przez niego w 1547 roku (nb. w zamkowej galerii znajdował się jej współczesny portret). Związane są z nim także, krążące do dziś, a i utrwalone w słowie pisanym, opowieści o ukrytych skarbach, w tym – szczególnie rozpalających wyobraźnię – złotych figurach dwunastu apostołów.

Potęga rodu. Książę Karol Radziwiłł „Panie Kochanku"

Nieśwież – to oczywiście Radziwiłłowie. Twórcami potęgi rodu byli Mikołaj Radziwiłł zwany Czarnym (1515–1565), marszałek i kanclerz wielki litewski, także wojewoda wileński, brat stryjeczny Barbary Radziwiłłówny, założyciel linii na Ołyce i Nieświeżu, oraz jej brat rodzony – Mikołaj Radziwiłł „Rudy" (1512–1584) – protoplasta linii na Birżach i Dubinkach. I to właśnie Mikołaj Czarny w latach 1540–64 zbudował zamek w Ołyce, a w II poł. XVI wieku jego syn, też Mikołaj (nazwany w niemowlęctwie przez Zygmunta Augusta „Sierotką"), postawił – w miejsce drewnianego – potężny zamek w Nieświeżu. Ich osoby przybliżył nam popularny przed laty serial „Królowa Bona", w którym postać Mikołaja Czarnego odtwarzał Jerzy Trela, Rudego – Bogusław Sochnacki, Barbary zaś – Anna Dymna.

Oba zamki, w Nieświeżu i Ołyce, aż do roku 1939 należały nieprzerwanie (za wyjątkiem lat, gdy obłożone były rosyjskimi sekwestrami) do Radziwiłłów, i mieściły – nagromadzone przez wieki – bogate kolekcje dzieł sztuki, okazałe biblioteki i archiwa. Radziwiłłowie ufundowali też w pobliżu zamków kościoły: w Ołyce – kolegiatę Św. Trójcy (I poł. XVII w.), w Nieświeżu zaś – kościół pw. Bożego Ciała (II poł. XVI w.), w podziemiach których znajdowały się krypty grobowe członków rodu.

Jak to zwykle przy skarbach bywa, brak jest jednoznacznych, rozstrzygających sprawę dokumentów. Nic też nie jest wiadome na pewno, a jak już – to nie wszystko, i do tego, z pewnością nie to, co najważniejsze. Złote figury apostołów „wypłynęły na światło dzienne" w XVIII w., w powiązaniu z barwną – i nie jednoznaczną – osobą księcia Karola Stanisława Radziwiłła (1734–1790), X ordynata na Nieświeżu i VIII na Ołyce, wojewody wileńskiego, najzamożniejszego magnata RP owych czasów, zwanego „Panie Kochanku" od używanego często powiedzenia.

Karol Radziwiłł w młodości angażował się w politykę, i to przeważnie antyrosyjską, stąd też kilkanaście lat (1764–1767 i 1769–1778, kiedy przystąpił do konfederacji barskiej) spędził przymusowo poza krajem. Jego dobra obłożono wtedy sekwestrem, a w 1772 roku Rosjanie złupili zamek, wywożąc m.in. do Petersburga liczącą około 20 tys. tomów bibliotekę i grabiąc wszystkie cenniejsze rzeczy. Po uzyskaniu amnestii Radziwiłł powrócił latem 1778 roku do Nieświeża, i odtąd rezydował już tam stale, zajmując się głównie zarządzaniem olbrzymimi dobrami i pomnażaniem swych bogactw.

OBEJRZYJ FILM

Film o Nieświeżu: zamek, wnętrza, dziedziniec, otoczenie.

Czy złote figury apostołów faktycznie istniały?

Opisując te bogactwa, współczesny księciu Julian Ursyn Niemcewicz (1758–1841), znany poeta, pisarz, historyk, adiutant ks. Adama K. Czartoryskiego, zauważył: „Cóż mówić o skarbach, o 12 apostołach ulanych ze złota, o bogatych we wszystkich rodzajach sprzętach, ciekawościach, zbiorach, w tajnym ich >>>

www.odkrywca.pl

>>> skarbcu zawartych". W innym zaś miejscu podaje, iż złote figury miały „dwie stopy wysokości".

O apostołach pisze też Salomon Majmon (1754–1800), żydowski filozof samouk, nauczyciel domowy, urodzony i mieszkający na terenie dóbr nieświeskich, żonaty z córką właścicielki karczmy (nb. opisuje, jak nietrzeźwy książę Karol przespał noc w łóżku jego teściowej, a po obudzeniu wyprawił w karczmie ucztę). Było to, według niego, „dwunastu złotych mężów wielkości człowieka (czy to było dwunastu apostołów, czy dwunastu olbrzymów, nie potrafię powiedzieć), których książę odziedziczył po przodkach".

Także Józef Grajnert (1831–1910), folklorysta, etnograf, pisarz, tłumacz, wydawca, uczestnik powstania styczniowego, zesłaniec syberyjski, podaje w swojej, wydanej w 1898 roku książce, poświęconej księciu Karolowi, iż w skarbcu było też „dwunastu apostołów i czterech ewangelistów ze szczerego złota, na dwa łokcie [łokieć = 56,6 do 59,6 cm – przyp. autora] wysokości".

Według księcia Adama Czartoryskiego, w owej kolekcji figur dwunastu apostołów „pięć było ze szczerego złota, obsypanych klejnotami" (za Pawłem Liniewiczem).

Dwie znakomite okazje posłużyły księciu do zaprezentowania w Nieświeżu zamożności radziwiłłowskiego domu. Pierwsza to rok 1783 – obchody 100-letniej rocznicy zwycięstwa pod Wiedniem (siostra króla Jana III, Katarzyna Sobieska, poślubiła Michała Kazimierza Radziwiłła, VI ordynata nieświeskiego). Wtedy to książę Karol wystawił na widok publiczny pamiątki po Janie III, m.in. na 12 koniach „sute rzędy [ozdobna uprząż konia], dywdyki [tur. – dyftyk; kapa na konia najczęściej jedwabna, barwy szkarłatnej, przetykana złotem] i inne ozdoby ze złota robione, diamentami, perłami, rubinami, szmaragdami i turkusami sadzone, a przez króla Jana pod Wiedniem w obozie Wielkiego Wezyra zabrane" (Grajnert).

Drugą taką okazją, szczególnie wystawnie fetowaną, była wizyta w Nieświeżu w dniach 16–22 września

Książę Karol Radziwiłł „Panie Kochanku".

1784 roku króla Stanisława Augusta, który – mocno okrężną trasą – podróżował na sejm w Grodnie.

Tu już mamy bezpośrednie relacje świadków, i to nie byle jakich. Jeden z nich – to bp Adam Naruszewicz (1733–1796), współpracownik Stanisława Augusta, nadworny historyk, poeta i pisarz. Druga relacja jest anonimowa; obie są jednak ze sobą zbieżne.

Bp Naruszewicz pisze: „Do zbliżającego się Najjaśniejszego Pana w porządku tysięcznej assystencyi podjechał książę wojewoda wileński na bardzo pięknym koniu tureckim, pod dywdykiem, na tle srebrnym, na którem zamiast haftu były grube złote sztuki kameryzowane [wysadzane kamieniami szlachetnymi] przyszywane. Złoty rząd był rubinami sadzony". Według spisanych później opowieści, koń Radziwiłła miał podkowy ze złota. Pominiemy tu (choć szkoda!) opisy wyposażenia apartamentów króla, robiąc jednak wyjątek dla… łóżka, które było: „paradne z bogatej materji, na dnie sutym z srebrem i złotem grubym, gęstym i szerokim haftem robione bardzo kosztownie, wyszłe niegdyś w prezencie od króla francuskiego dla króla Jana".

No i dochodzimy do sedna. Jak podaje bp. Naruszewicz, 17 września 1784 r. „Pan Miłościwy /…/ o godzinie dziesiątej udał się do skarbca ks. Radziwiłłów. Jest ten skarbiec złożony z trzech podłużnych pokojów, jeden z drugiego idący, na kształt kurytarza. Widzieć w nim zbiory w rzędach, kredensach, rzeczach fizycznych, metalach, portretach, kamieniach drogich, insygniach urzędowych Domu Radziwiłłowskiego, różnych darowiznach od monarchów; zbiory – mówią – kilku domów, które się przez sukcesyją zlały w Dom

fot. B. Taurogiński „Z dziejów Nieświeża"

www.odkrywca.pl

Radziwiłłów. Bawił się N. Pan blisko trzech godzin w pomienionym skarbcu w kompanii niektórych osób dworu swego…". W relacji biskupa nie ma wzmianki o złotych apostołach; nie opisuje on bliżej radziwiłłowskich skarbów (nb. w Nieświeżu miały się znajdować dwa skarbce; o drugim, „tajemnym" wiedział tylko ordynat i jeden ze starych sług, „przysięgą do tajemnicy zobowiązany").

Dwóch jednakże XIX-wiecznych autorów (wspomniany Grajnert oraz Kazimierz W. Wójcicki /1807–1879/, historyk, syn lekarza Stanisława Augusta) spisało – niemal identycznie – opowieść z wizyty króla w Nieświeżu. Zacytujmy tę wcześniejszą – Wójcickiego z 1840 roku – mającą pochodzić od starego dworzanina księcia. „Gdy w pokojach ukazywano gościowi bogactwa liczne, cebry i wanny srebrne, książę pokazał apostołów ze szczerego złota ulanych; było ich dwunastu, oprócz Chrystusa. Ale Serenissimus [łac. – najmiłościwszy] naliczył ich dziesięciu, bo książę dla facecyi dwóch kazał schować. Król widząc, że dużo stracił, zapytał z uśmiechem, gdzie reszta apostołów? – Mości Królu, wysłałem ich w świat, ażeby chwałę panowania W.K.Mości światu opowiadali" („wysłałem ich w świat, żeby opowiadali chwałę i sławę W.K. Mości" – Grajnert).

W wydanej w 2001 roku pozycji „Dziedzictwo kultury Polski. Jego straty i ochrona prawna", prof. Jan Pruszyński również pisze: „W zbiorach radziwiłłowskich odnotowano 12 figur apostołów z litego złota wysokości około 60 cm każda".

Losy złotych apostołów

Dwie współczesne Karolowi Radziwiłłowi osoby (Niemcewicz i Majmon) piszą o zastawieniu przez niego złotych apostołów na poczet zaciąganych długów. Niemcewicz odnosi to jednak do pobytu księcia za granicą, gdzie „wziął ze sobą ze skarbca przodków dwunastu ze szczerego złota ulanych apostołów, na dwie stopy wysokich; tych jeden po drugim zjada, nareszcie długi zaciągał". Majmon zaś pisze o rozrzutnym trybie życia księcia, na co zaciągane były długi, „nie oszczędzono nawet dwunastu złotych mężów…". Ale Radziwiłł po powrocie w 1778 roku do Nieświeża już nie wyjeżdżał, a złotych apostołów pokazał w 1784 roku, Majmon zaś Nieśwież opuścił wcześniej. Sprawę tę wyjaśnia Grajnert, który pisze, iż czekając od marca 1778 roku w Ołyce na wyjście z Nieświeża wojsk rosyjskich, Radziwiłł „umawia się z bankierami w Gdańsku i Holandii, gdzie prócz całych stosów rodzinnych klejnotów i sreber, złożone były też figury dwunastu apostołów lanych ze złota. W ciągu roku udało mu się to wszystko wykupić".

Karol Radziwiłł przywrócił świetność zamkowi, a sławne skarby radziwiłłowskie, jak znowu pisze Niemcewicz, zostawił nienaruszone.

Zagadkową i niejasną sprawą (pisze o niej Rafał Jankowski) jest zlecenie – najprawdopodobniej w celu prewencyjnego zabezpieczenia archiwów, skarbów i innych drogich mebli – wydane przez Karola Radziwiłła na przełomie lat 1788/89. Wskazani słudzy księcia, po zaprzysiężeniu dochowania tajemnicy, wykonali i spakowali skrzynie, które następnie miały zostać przetransportowane. Czy zostało to przeprowadzone, i czy skrzynie zostały wywiezione oraz, czy i kiedy wróciły, nie wiadomo.

Kolejny nieświeski ordynat

Po bezpotomnej śmierci Karola Radziwiłła w 1790 roku, spadkobiercą ordynacji nieświeskiej i ołyckiej został jego bratanek Dominik Hieronim Radziwiłł (1786–1813). Młody książę na czele sformowanego przez siebie pułku ułanów dołączył do armii Napoleona i zmarł 11 listopada 1813 roku, raniony ciężko w bitwie pod Hanau. Jego udział w kampanii napoleońskiej fatalnie zaciążył na losach Nieświeża. W dalszej historii, opisanej przez kilku >>>

REKLAMA

Szanowni Państwo!

Poszukujemy wszelkich informacji oraz kontaktu ze spadkobiercami praw po p. Robercie Weberze, autorze zdjęć do trzytomowej publikacji „Schlesische Schlösser" (wznawianej później także jako „Schliesien - Land der Schlosser").

Jeżeli ktokolwiek z Państwa posiada takowe lub orientuje się, gdzie moglibyśmy je odnaleźć i pozyskać, bardzo prosimy o kontakt pod adresem mailowym historia@replika.eu
Z góry dziękujemy za wszelką okazaną pomoc!

Wydawnictwo Replika

Replika wydawnictwo

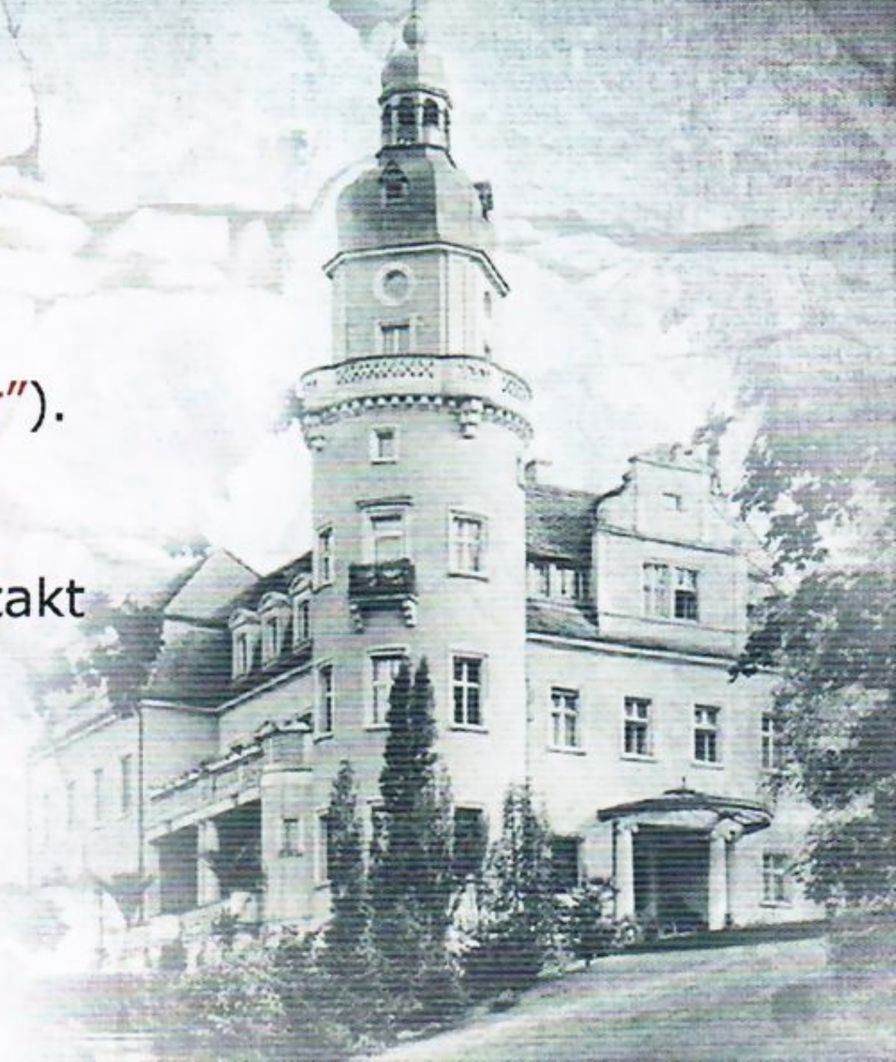

>>> autorów, główną rolę odgrywa marszałek zamku nieświeskiego Albert Burgielski (nazywany też mylnie Burchackim). Mało jest jednak znany fakt, że zachował się niezwykle interesujący raport pisemny tegoż Burgielskiego (przez niektórych autorów wówczas uśmierconego), spisany bezpośrednio po dramatycznych wydarzeniach w Nieświeżu (opublikował go w 1937 roku B. Taurogiński, w l. 1924–1939 archiwista, następnie kierownik Archiwum Radziwiłłów w Warszawie). Podaje w nim Burgielski: „mając od antecessorów [przodków] jeszcze Książęcia Dominika powierzony mi skład skarbcu starożytnych bogactw po trzech królach sukcesyjnie do domu Radziwiłłów weszłych i obowiązany będąc przysięgą [!], bym ony dla pamiątki tegoż Domu dla Sukcessorów naypóźniejszych dochował, nie pokazując żadnemu z Sukcessorów dopóty, pókiby zupełne lata mając mógł walor onych poznać i dla teyże pamiątki Domu konserwować[!]. Jeszcze dotąd Xięciu Dominikowi Ordynatowi tych wszystkich bogactw jako młodemu nie odkrywałem, o których dotąd Xiąże nie wiedział i nie wie".[!] Dalej opisuje Burgielski, jak w ślad za opuszczającymi Litwę wojskami Napoleona, 30 października 1812 roku Nieśwież zajęły wojska rosyjskie, dowodzone przez adm. Pawła Cziczagowa i gen. Siergieja Tuczkowa. Udział księcia Dominika w kampanii napoleońskiej był Rosjanom znany i posłużył do barbarzyńskiego rabunku zamku. Poinformowany przez Żydów nieświeskich o ukrytych bogactwach, znajdujących się pod opieką Burgielskiego, płk Knorring, który pierwszy wkroczył do zamku, uwięził go pod strażą i rozkazał oddać wszystkie klucze oraz pokazać skarbiec. Burgielski, jak wynika z jego raportu, ujawnił jednak tylko część bogactw; zostały one zrabowane. Na drugi dzień przybyli adm. Cziczagow i gen. Tuczkow, i ten ostatni – z rozkazu admirała – zaczął przesłuchiwać Burgielskiego i Bukowskiego [?] co do ukrytych skarbów. „Po tym kazał pletni i batogów przynieść, a okazując one kazał nas rozbierać a innych ludzi razem z nami wziętych bijąc i męcząc groził, iż i nas tak męczyć będzie, gdy nie okażemy tych bogactw". Gdy więc „coraz groźniey i srożey JW. Tuczkow z nami postępował", Burgielski wskazał miejsce, gdzie skarby były zamurowane; Tuczkow „kazał mur wyłamać i wszedłszy do tego lochu, różne brylanty, srebra i złoto, oraz bogatsze inne rzeczy dla siebie zabrał". Dowiedziawszy się o tym Cziczagow odebrał generałowi klucze i utworzył komisję, której polecił spakować wszystkie „bogatsze rzeczy". Długie jest wyliczanie Burgielskiego zrabowanych przedmiotów ze skarbu, »ukrytego przed właścicielem onego dla jego jeszcze młodości«[!], a wywiezionych przez Cziczagowa na kilkudziesięciu brykach. Resztę pozostawiono na łup wojska. 3 grudnia do Nieświeża wrócił znów gen. Tuczkow i ponownie kazał uwięzić „na zimnym miejscu" i o głodzie Burgielskiego, grożąc mu i męcząc w sprawie nieodkrytych jeszcze skarbów. Ten jednak, jak twierdzi, „nie miał czego już więcej okazać".

O apostołach Burgielski w swoim raporcie nie wspomina. Czy jednak napisał w nim całą prawdę? Archiwista Taurogiński podaje, powołując się na Archiwum Nieświeskie, że z lochów zamkowych wywieziono wtedy także 32 działa, ukryte przez Burgielskiego, a „do dziś dnia [1937 r.!] spoczywa w lochach i rozmaitych odwiecznych składach, jakich zamek nieświeski posiada bardzo dużo, około 60 pudów [pud = 16, 38 kg] srebra stołowego, także schowanego przez Burgielskiego".

W 1814 roku car Aleksander zniósł sekwestr na dobrach nieświeskich; majątki ks. Dominika

Nieświeska fara, 2005 r.

Krypty Radziwiłłów, 2005 r.

odziedziczyła jego nieletnia córka Stefania, kolejnym zaś ordynatem nieświeskim został ks. Antoni Henryk Radziwiłł (1775–1833). Ponieważ rabunek skarbów nieświeskich stał się w Europie głośny, car powołał komisję śledczą. Sprawa ciągnęła się kilkanaście lat i zaważyła na karierze Tuczkowa, ostatecznie jednak sprawcy grabieży kary nie ponieśli.

Dodajmy jeszcze, że część zrabowanych w 1812 roku w Nieświeżu skarbów (w tym archiwum, ponad 2 tys. rycerskich zbroi, portrety, kolekcję pasów słuckich) udało się odzyskać ks. Marii de Castellane (1840–1915), Francuzce, żonie Antoniego Wilhelma Radziwiłła (ich syn Stanisław, adiutant Piłsudskiego, poległ w 1920 roku).

Rok 1939 oznaczał koniec Radziwiłłów w Nieświeżu. 18 września aresztowany został na zamku przez grupę operacyjno-czekistowską NKWD ostatni, XVII ordynat, książę Leon Radziwiłł (1888–1959), ponadto jego syn Jerzy, brat Franciszek (em. kpt.) oraz kilku dalszych krewnych; sami mężczyźni (nb. książę Leon, jako oficer Sztabu Generalnego, brał udział w Bitwie Warszawskiej 1920 roku). „Cały dobytek – jak depeszował 19 września do Berii szef NKWD Republiki Białoruskiej, Canawa – znajdujący się w zamku księcia Radziwiłła i sam gmach zamku, jako przedstawiające szczególną wartość, opieczętowaliśmy i zabezpieczyliśmy, by nie dopuścić do niszczenia i grabieży" [!]. Nie omieszkał też zacytować słów księcia Leona: „Wszystko to, co się zdarzyło jest bzdurą i nie będzie długo trwało, znowu zostanie ustanowiona władza Państwa Polskiego i nadejdzie czas zapłaty". W Nieświeżu zjawił się też w tych dniach pierwszy sekretarz komunistycznej partii Rep. Białorusi Ponomarienko, który w depeszy do Stalina z 25 września napisał m.in., że sam zamek liczy około 200 sal zawierających obrazy, a wśród nich arcydzieła, broń ze wszystkich stuleci ozdobioną złotem i srebrem, znamienitą bibliotekę z ogromną ilością unikalnych książek we wszystkich językach.

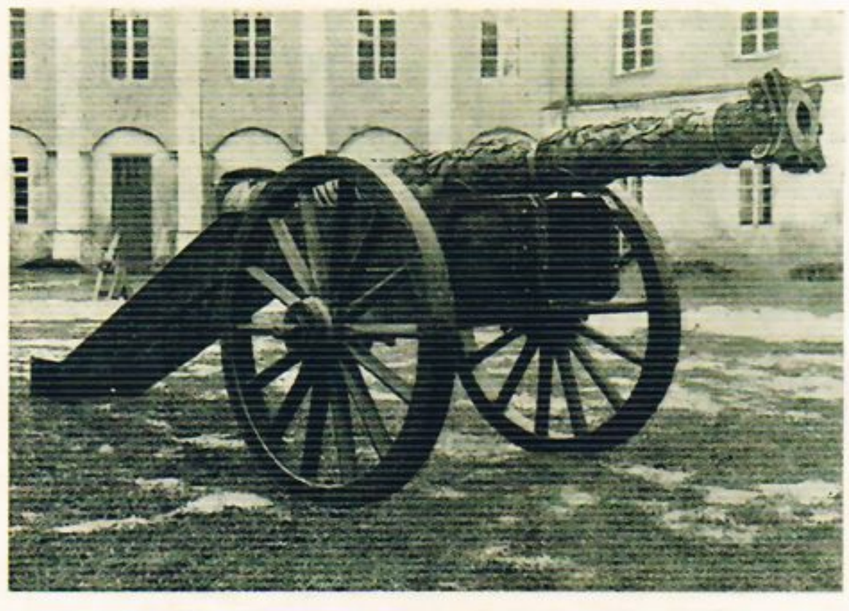

Piękne działo z czasów ks. Sierotki. Fot. B. Taurogiński.

fot. MKiDN, B. Taurogiński, „Z dziejów Nieświeża"

Działo nieświeskie z XVI w.

Na podstawie zarządzenia zastępcy Canawy, 10 października wywieziono z więzienia w Mińsku do Moskwy: ks. Leona Radziwiłła, jego syna i brata, ks. Eustachego Sapiehę (1881-1963), Jana Tyszkiewicza (s. Alfreda), oraz dwóch braci Józefa Piłsudskiego – Jana (1876-1950; wyszedł z łagru, tak jak ks. Sapieha, w 1941 roku po układzie Sikorski-Majski) i Kazimierza (1871-1941, zmarł w łagrze).

Radziwiłłowie zostali wypuszczeni z więzień w grudniu 1939 roku w wyniku interwencji dworu włoskiego.

Wspaniały barokowy kościół w Nieświeżu, pomimo rozmaitych „wstrząsów", utrzymał się nieprzerwanie w rękach katolików. Ostały się też podziemia z mauzoleum Radziwiłłów. Trzeba powiedzieć, że krypty, z trumnami 78 zmarłych członków tego potężnego rodu (jako pierwszy był tu pochowany w 1616 roku ks. Mikołaj „Sierotka"), wywierają niesamowite wrażenie. Jako ciekawostkę podam też, iż w 2004 roku litewscy archeolodzy odkryli w ruinach kościoła na Górze Zamkowej w Dubinkach (50 km od Wilna), krypty ze szczątkami, które – po badaniach przeprowadzonych w Instytutach Medycyny Sądowej w Wilnie i Wrocławiu – okazały się szczątkami Mikołajów Czarnego i Rudego oraz ich rodzin. Powtórny, uroczysty pogrzeb książąt odbył się w 2009 roku, w odrestaurowanych ruinach kościoła w Dubinkach. Niedaleko, bo w Wilnie, król Zygmunt August pochował ich siostrę Barbarę, a jej trumna, w zamurowanej królewskiej krypcie, odkryta została w 1931 roku podczas prowadzonych w Katedrze – polskiego wówczas miasta – prac renowacyjnych.

Pasjonujący od lat temat – zaginione skarby Radziwiłłów

Poszukiwania ukrytego w Nieświeżu skarbu, a obecnie – już dwóch skarbów, trwają do dziś. Czynili to w XIX w. Rosjanie, w czasie II wojny światowej Niemcy, a po jej zakończeniu – Białorusini. W 1997 roku w Nieświeżu pojawiła się specjalna komisja na czele z pełnomocnikiem prezydenta, wyposażona w aparaturę do badania pustostanów i podziemnych przejść, którą interesowały szczególnie zamek i podziemia kościoła.

W 2014 roku wznowiono poszukiwania skarbu Radziwiłłów, tym razem klejnotów rodzinnych, ukrytych we wrześniu 1939 roku przez księcia Leona. Informację na ten temat przekazała, jak podały polskie i białoruskie media, jego wnuczka, która latem tego roku odwiedziła Nieśwież; sprawą zajęli się m.in. specjaliści Instytutu Historii Białoruskiej Akademii Nauk.

Ukrytych skarbów Radziwiłłów, jak dotąd, nie zdołano odnaleźć. Złote figury apostołów także zaginęły bez śladu w otchłani czasu. Czy istotnie? <

Jolanta Adamska
Historyk. Współautorka (z Andrzejem Przewoźnikiem) kilku książek o tematyce katyńskiej. Autorka artykułów z historii II wojny światowej.

LITERATURA

ADAM STANISŁAW NARUSZEWICZ, **Dyjaryjusz podróży Jego Królewskiej Mości na Sejm Grodzieński,** wyd. M. Bober-Jankowska, Warszawa 2006
JULIAN URSYN NIEMCEWICZ, **Pamiętniki czasów moich, t. I,** Gdańsk 2000
SALOMON MAJMON, **Autobiografia**, Internet
K. W. WÓJCICKI, **Gawęda przy sosze,** w: M. Maciejewski, „Choć Radziwiłł, alem człowiek…" Antologia, Kraków 1985
J. GRAJNERT, **Anegdoty księcia Radziwiłła „Panie Kochanku" i ważniejsze wspomnienia z jego życia,** Warszawa 1898
B. TAUROGIŃSKI, **Z dziejów Nieświeża,** Warszawa 1937
R. JANKOWSKI, **Burzliwe losy Archiwum Radziwiłłów z Nieświeża od XV do 1838 r.,** „Miscellanea Historico-Archivistica", t. XI, 2000 r.
P. LINIEWICZ, **W radziwiłłowskim gnieździe**, Internet

www.odkrywca.pl

CHOĆ O KOLEKCJI NIEZNANYCH FOTOGRAFII ZAMKU KSIĄŻ, POCHODZĄCYCH ZE ZBIORÓW FRANCUSKIEGO KUCHARZA LOUISA HARDOUINA, PISANO JUŻ WIELE RAZY, ONA CHCE POZOSTAĆ W CIENIU. TAK NAPRAWDĘ PRZEZ KILKA LAT PRZYGOTOWYWAŁA GRUNT POD TO ODKRYCIE. JEGO EFEKTEM BYŁA WYPRAWA DO KANADY TRÓJKI „ZAMKOWYCH MUSZKIETERÓW", JAK ŻYCZLIWIE MÓWI O TYCH, KTÓRZY SFINALIZOWALI TEMAT. TERAZ DZIĘKI ZAANGAŻOWANIU WIELU OSÓB MOŻEMY...

ODKRYĆ KSIĄŻ... OD KUCHNI

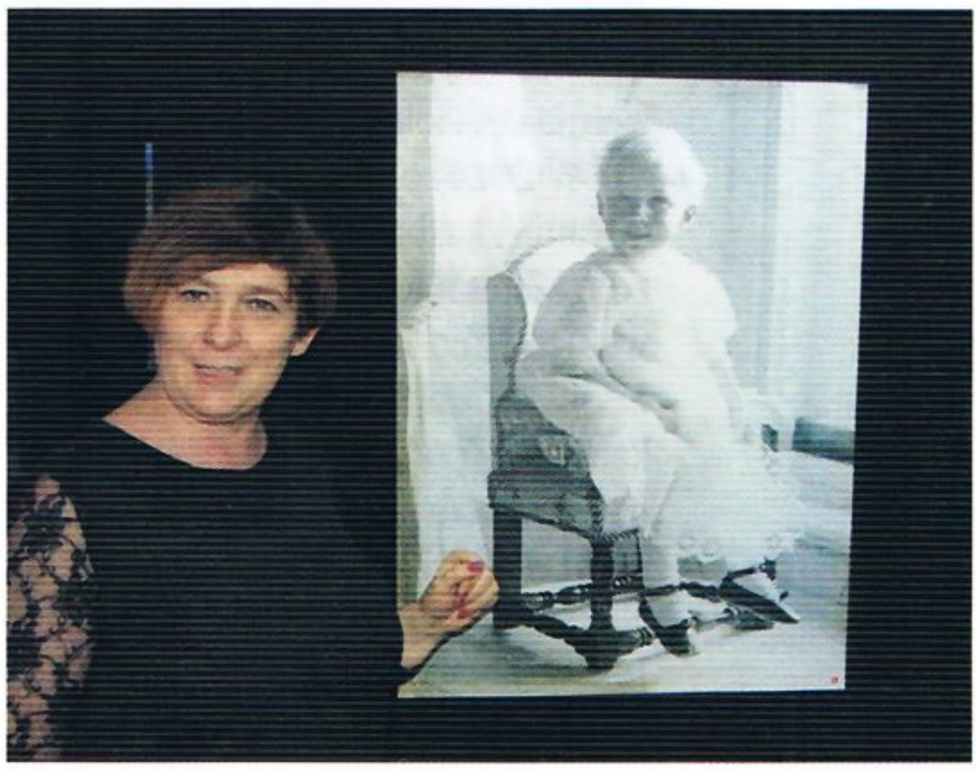

z Magdaleną Woch, kierownikiem Działu Turystyki i Kultury Zamku Książ w Wałbrzychu, jedną z trójki kuratorów wystawy fotograficznej „Książ od kuchni", rozmawia Janusz Skowroński.

Jak odnaleziono zdjęcia dawnego Książa? Nie uwierzę w prosty przekaz, że oto trzech panów umówiło się, wsiadło w samolot i poleciało do Kanady. I po prostu je tu przywiozło.

To już był finał całej sprawy. A początek? Musimy cofnąć się do 2008 roku. W ręce wpadła mi niemieckojęzyczna książka Johna Kocha „Daisy von Pless. Fürstliche Rebellin". To druga z jego biografii księżnej, którą przeczytałam „od deski do deski". Gdy zobaczyłam w niej zdjęcia, po prostu oniemiałam. Nigdy przedtem nie widziałam takich zdjęć Książa! Napisałam do autora, aż do Kanady. Otrzymałam miłą odpowiedź, że wykorzystane w książce zdjęcia pochodzą ze zbioru wnuczki zamkowego kucharza, Louisa Hardouina. Informował, że wnuczka także mieszka w Kanadzie i ma tych zdjęć więcej. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, nikt z nas nie wiedział, ile.

Zapewne otrzymała Pani adres do tej wnuczki.

Nie od razu, choć pan Koch wziął sobie za punkt honoru nam pomóc. Okazało się, że pochodzi z Waldenburga, dawnego Wałbrzycha. Jako dziecko pomagał wujowi, prowadzącemu sklep w centrum miasta, na dzisiejszym placu Grunwaldzkim. Młody Koch woził z wujem mięso dla księżnej Daisy. Ona po 1935 roku nie mieszkała już w zamku, tylko w kompleksie zamkowym, w jednej z oficyn. Dopiero w 1941 roku, na przełomie lata i jesieni, przeniosła się do Wałbrzycha, na Friedlanderstrasse. John Koch od razu pozwolił nam wykorzystać zamieszczone w swojej książce zdjęcia, gdyż miał na to zgodę wnuczki Hardouina. Nie wiedziałam, że w międzyczasie napisał list do niej z informacją, że ktoś z Książa zgłosi się w sprawie zdjęć jej dziadka. Siadłam i napisałam list do pani Jean Wessel. Poszedł normalną pocztą i... czekałam na odpowiedź prawie cztery miesiące.

Nadeszła?

I to w przedziwny sposób! Byłam w domu. Dzwonią do mnie z zamku, że na warszawskim Okęciu jest paczka z Kanady, którą prześlą po wcześniejszym ocleniu. „Coś ty zamówiła?" – pytała zaniepokojona sekretarka. Nic nie zamawiałam, ale coś mnie tknęło. Od razu zadzwoniłam na lotnisko i usłyszałam, że to jakaś stara książka. Skoro stara, to trzeba ją oclić. Po dwóch dniach do zamku przychodzi paczka. Otwieramy, a w paczce niespodzianka. Piękny, oprawiony w skórę stary album ze zdjęciami Książa z lat 1909–1930 i osobisty list od Jean Wessel, tej samej, do której skierował nas John Koch. Zdjęcia sprzed stu lat, wykonane przez jej dziadka. Akurat zbiegło się to z przygotowywaną przez nas wystawą o zamku, o jego historii i mieszkańcach. Nie było mnie dla świata, ten stary album pochłonął mnie całkowicie. Na początku byłam trochę zawiedziona, bo mało było w nim zdjęć samych Hochbergów. Były za >>>

fot. J. Skowroński, Louis Hardouin

>>> to zamkowe wnętrza. I to jakie! Znałam je z opowiadań, a teraz ujrzałam czarno na białym, dosłownie. Pani Wessel dołączyła do albumu kilka luźnych zdjęć z postaciami, które pracowały na zamku. To było dla mnie prawdziwe odkrycie – Książ posiadał ponad trzysta osób służby i obsługi. Widzę je, na tych fotografiach, jak wyglądało wówczas życie na zamku. Kartkowałam album po wielokroć, jak relikwię. To był impuls, aby z Katarzyną Matułą przygotować pierwszą wystawę o Książu – „Sekrety zamkowej szuflady". Wisi u nas do dziś. Dzięki tej wystawie zaczęły do nas spływać pojedyncze, stare zdjęcia Książa. Z różnych stron. Choćby z Niemiec, od pani Grabner, której babcia była pokojówką księżnej Daisy. Zafascynowały nas te fotografie, wtedy jednak nikt nie wiedział, że ich autorem jest także Louis Hardouin. Miał taki zwyczaj, że obdarowywał nimi znajomych, z którymi współpracował w zamkowym otoczeniu.

Jak doszło do wyprawy do Kanady?

Nadszedł rok 2016. Michał Wyszowski z Radia Wrocław i Mateusz Mykytyszyn z Fundacji Księżnej Daisy von Pless zjawili się u naszego ówczesnego prezesa Krzysztofa Urbańskiego z pytaniem: dlaczego by nie pojechać po zdjęcia do Kanady, skoro od wnuczki kucharza wiemy, że tam są? Niby proste pytanie. Radio i nasz zamek podjęli się sfinansowania podróży. Wcześniej panowie zadzwonili do Jean Wessel, która odpowiedziała krótko: ależ przyjeżdżajcie! 12 marca ubiegłego roku cała trójka wyruszyła do Kanady. Szacowali, że na miejscu zeskanują około trzystu zamkowych zdjęć. Rzeczywistość ich przerosła, bo Jean Wessel wciąż donosiła kolejne partie. W końcu przyniosła stereoskop i zaczęło się oglądanie jeszcze innych, trójwymiarowych zdjęć, nowinki fotograficznej w tamtych latach. Teraz pierwszych sześć z nich udostępniliśmy na naszej wystawie. W zbiorach wnuczki znalazły się też zdjęcia na szklanych negatywach, co wymagało już profesjonalnego skanowania. Panowie wynajęli na miejscu firmę, która podjęła się zeskanować to, czego sami nie zdążyli i nie byli w stanie wykonać. Ich praca przy skanerze trwała tam bez przerwy, jedynym ograniczeniem był termin powrotnego lotu do kraju. Czekaliśmy na nich z zapartym tchem. Po ich powrocie z częścią materiałów, kolejne skany zaczęły spływać do nas przez internet, w transzach.

Co zawierały?

Nie tylko dokumentowały dzieje Książa, pałacu w Pszczynie czy domku myśliwskiego w Promnicach, które należały do Hochbergów. Ciekawe są zdjęcia z Karkonoszy, Krakowa ale i z Monte Carlo, z Francji czy Włoch. Ale nawet i takie, jak Hardouin wybiera wyposażenie w Monachium do zamkowej kuchni na piątym piętrze. Cała kolekcja zawiera około 1800 fotografii. Obecna wystawa „Książ od kuchni" to pierwszych dwieście wybranych zdjęć. Udostępniliśmy ją w trzech salach. W pierwszej – „Zamek, ziemia, zieleń i zwierzęta" – czyli Książ i otaczająca go przyroda, w drugiej, dawnej sypialni księżnej Daisy – „Hochbergowie i ich dwór", gdzie ukazujemy życie codzienne rodziny książęcej i pracowników zamkowych. W trzeciej sali na podstawie albumu rodzinnego Hardouinów przedstawiamy losy głównego bohatera i jego najbliższych. Wszystkie zdjęcia Hardouina ukazują świat Książa, który minął, a który nadal fascynuje. Czy ktoś z nas sobie wyobrażał, >>>

fot. Louis Hardouin

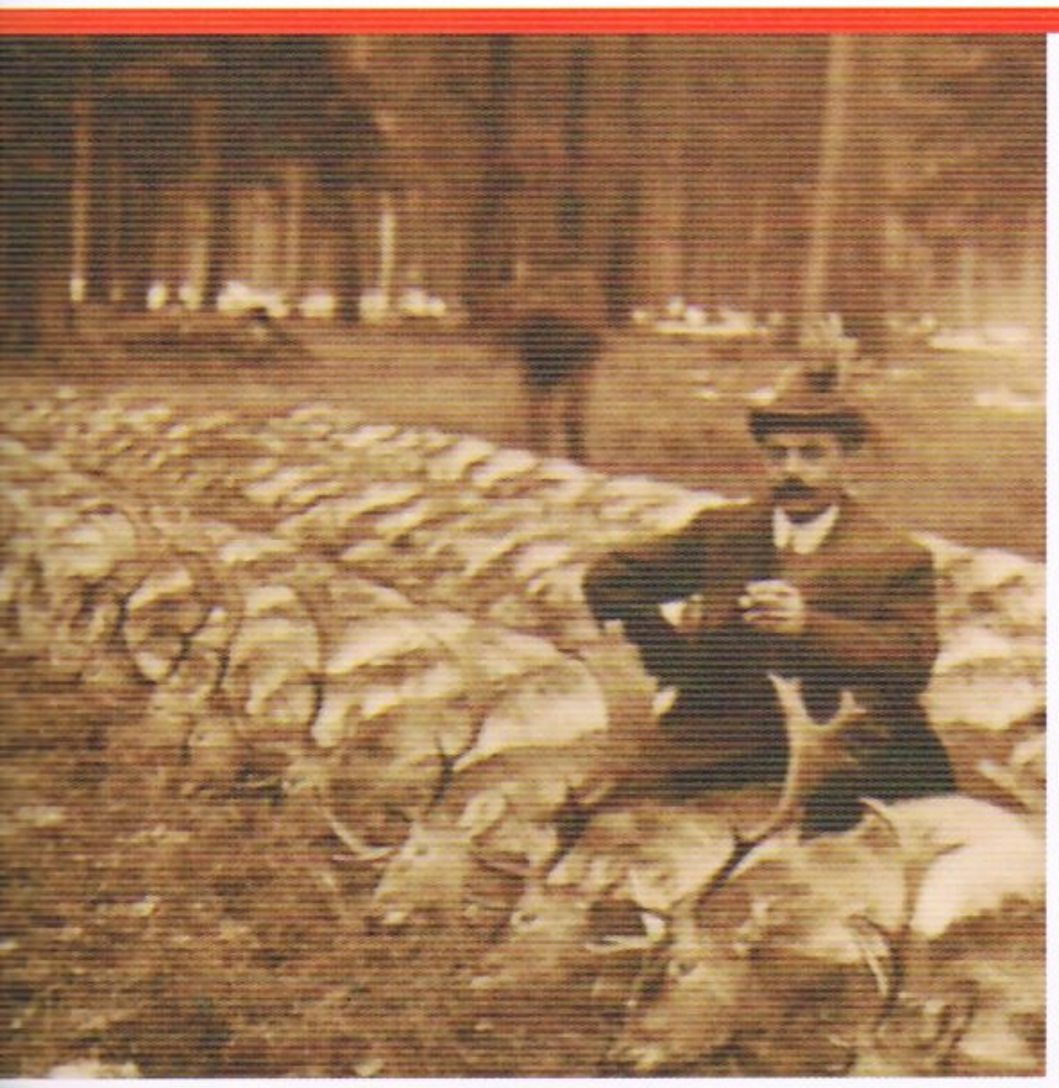

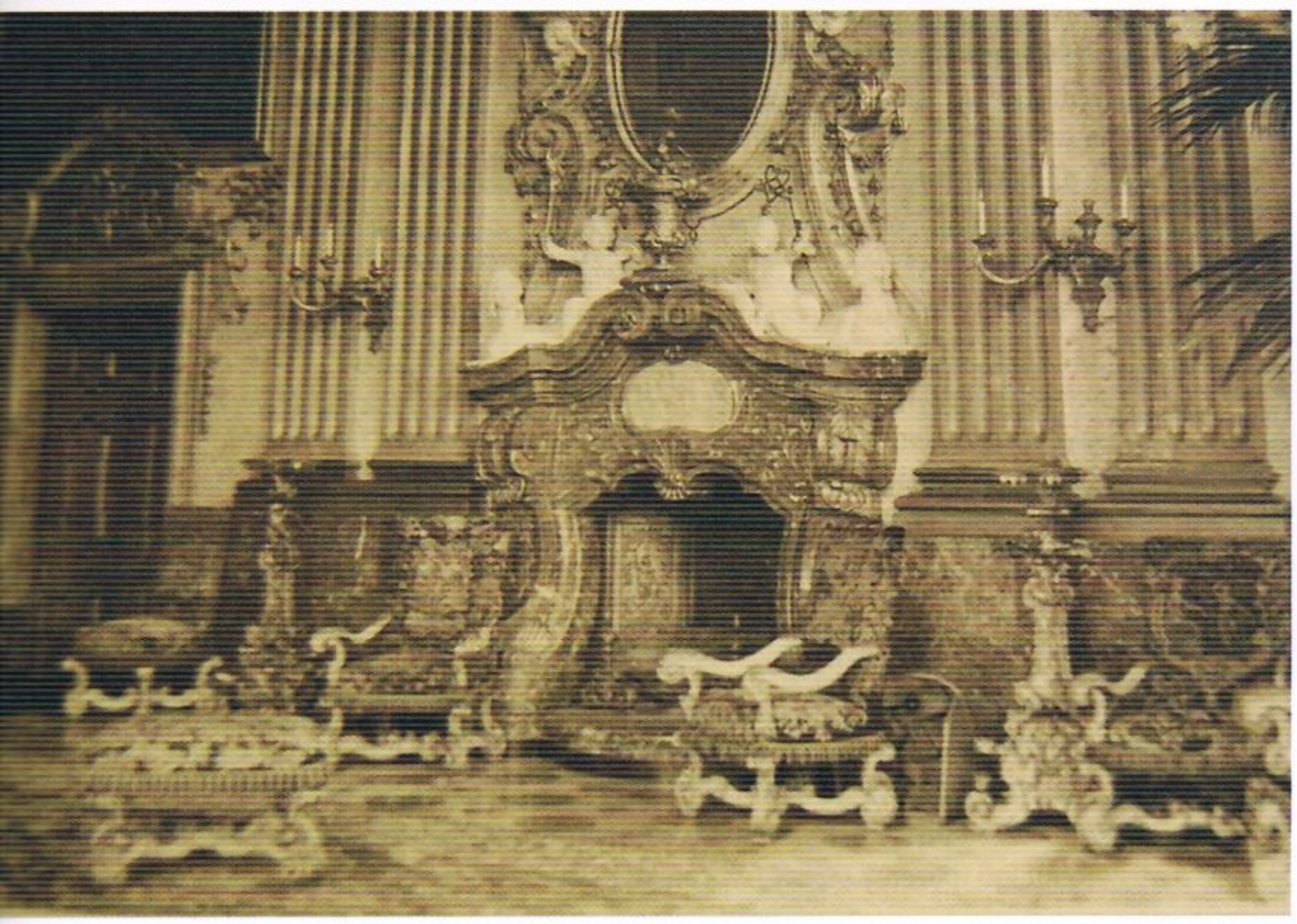

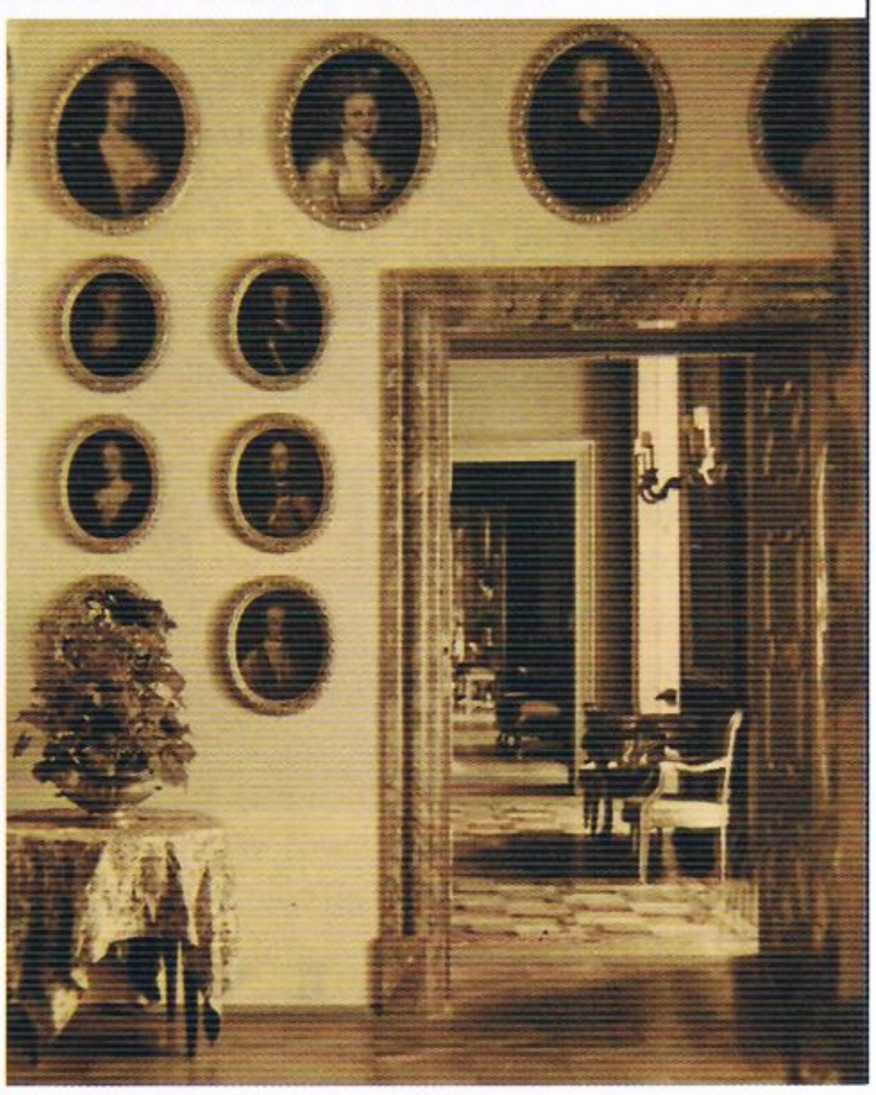

Eugenie Hardoiun z synem w punkcie widokowym „Daisy Wunsch" (Życzenie Daisy) na tle północnej ściany zamku.

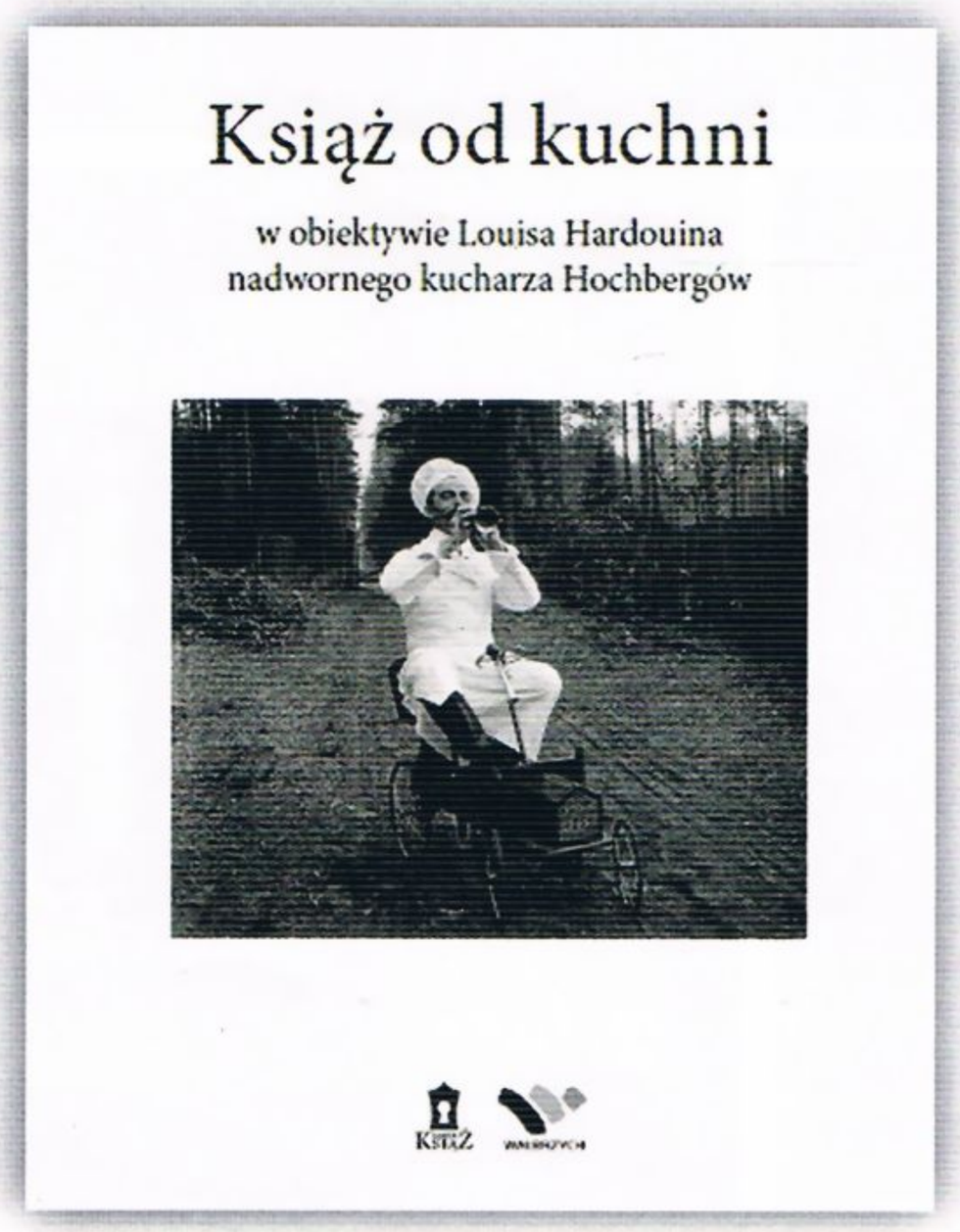

KSIĄŻ OD KUCHNI W OBIEKTYWIE LOUISA HARDOUINA NADWORNEGO KUCHARZA HOCHBERGÓW

Wydana w trzech wersjach językowych, pierwsza część kolekcji fotograficznej Louisa Hardouina, kucharza Hochbergów. To właśnie dzięki niezwykłej pasji tego mistrza sztuki kulinarnej odzyskaliśmy tak ważny fragment z historii Książa. Wykonywane przez niego zdjęcia to nie prosta rejestracja otaczającej go rzeczywistości, ale emocjonalny przekaz osobowości interesującej i zajmującej ważną pozycję na dworze Hochbergów, która bardzo aktywnie w tej rzeczywistości uczestniczyła i ją współtworzyła. „Są to obrazy zatopionej w zieleni dumnej bryły zamku i jego okolic, arystokratycznych właścicieli i zatrudnianych przez nich pracowników. Hardouin uchwycił swoim aparatem krajobrazy wszystkich pór roku – tutejszą florę i faunę, zatrzymał w kadrze widoki ziemi wałbrzyskiej oraz Pszczyny i wielu miejsc, które odwiedzał podczas podróży po Europie. Kochający mąż i ojciec czule przedstawiał żonę i synów. Chętnie fotografował też książęce dzieci spędzające czas z Hardouinami. Dokumentował życie dworu, portretując: nianie, lokajów, kucharzy, straż, leśników, nauczycieli, stajennych, stangretów, forysiów, ogrodników, rzeźników, służby porządkowe, strażaków, rolników i zarządców… Dzięki temu świadectwu łatwiej zrozumieć złożoność wielkiego organizmu jakim był Książ w czasach ostatnich Hochbergów na zamku" – opisuje Beata Lejman, autorka scenariusza wystawy, którą od 14 lutego możemy oglądać w zamku Książ.

www.odkrywca.pl

Zamkowi ogrodnicy.

Eugenie i Louis Hardouin z synami: Mauricem i Louisem jr.

Młody hr. Aleksander von Hochberg (z prawej) był przyjacielem i towarzyszem zabaw młodego Louisa.

fot. Louis Hardouin

>>> że po zamkowych dachach można było chodzić w kominiarskim stroju i w dodatku… bez butów? A tak kominiarze chodzili, na boso łatwiej utrzymywali statykę. I Hardouin to uchwycił swoim obiektywem. Albo zdjęcia dzieci. Pięknie sportretowanych.

Czy w zbiorze zdjęć Hardouina było coś szczególnie odkrywczego?

Wystrój zamkowych wnętrz choćby. Galeria pięknych strojów, jakie noszono na początku XX wieku. Fontanna Donatella, która, jak całkiem niedawno okazało się, wcale z warsztatu słynnego Donatello nie pochodziła. To kolejna ciekawa zamkowa historia. Do tej pory myśleliśmy, że fontanna, stojąca na Tarasie Kasztanowcowym naszego zamku i skradziona zeń najprawdopodobniej na początku lat 50. XX wieku była jedyna w swoim rodzaju, a jej twórca to słynny renesansowy rzeźbiarz Donatello. Tak zresztą mówili o niej sami Hochbergowie, a Aleksander, średni syn księżnej Daisy, w swoich listach z roku 1982 opisywał nawet trudności, jakie w 1909 roku towarzyszyły wywozowi tak ważnego dla kultury Italii dzieła sztuki, zakupionego we Włoszech legalnie przez jego ojca, Jana Henryka XV von Hochberg. Te informacje po latach zweryfikował dyrektor Muzeum Narodowego we Wrocławiu, dr Piotr Oszczanowski. Bliźniaczą fontannę odnalazł na terenie USA. Okazuje się, że obie fontanny zostały odlane we Florencji. Autorem modeli był jednak Donatello Gabbrielli, który żył na przełomie XIX i XX wieku. Sami Hochbergowie stworzyli mit o fontannie Donatella. W taki sposób budowali swój prestiż wśród arystokracji na początku XX wieku.

Czym ujął Panią zamkowy kucharz?

To pierwsza osoba poza Hochbergami, która mnie rzeczywiście zainteresowała. Ma przeciekawą biografię. Urodził się w 1877 roku Saint-Benoît w zachodniej Francji. Jako kucharz pracował w restauracjach, choćby Londynu czy Moskwy, w bogatych rezydencjach i ambasadach. W roku 1904 Louis poślubił Eugenię Corblett. Pięć lat później książę Jan Henryk XV Hochberg przywiózł z Anglii tego znakomitego kucharza. Kiedy wybuchła I wojna światowa, Louis trafił do wrocławskiego więzienia. On, Francuz na niemieckim dworze, został oskarżony o… szpiegostwo! Skoro znał języki, podróżował z Hochbergami po Europie, dużo fotografował podczas podróży po arystokratycznych domach, to aresztowanie pod takim zarzutem, w dodatku podczas wojny, nie stanowiło problemu. W 1914 roku trafił do więzienia w Breslau, tam zaczął się załamywać absurdalnością oskarżeń. Kilka razy odwiedzała go żona, zawsze w towarzystwie samej księżnej Daisy. W końcu księżna interweniowała poprzez męża. Hochbergowie co prawda nie wydobyli go z wrocławskiego więzienia, spowodowali jednak zmianę jego położenia. Kucharz trafił do obozu >>>

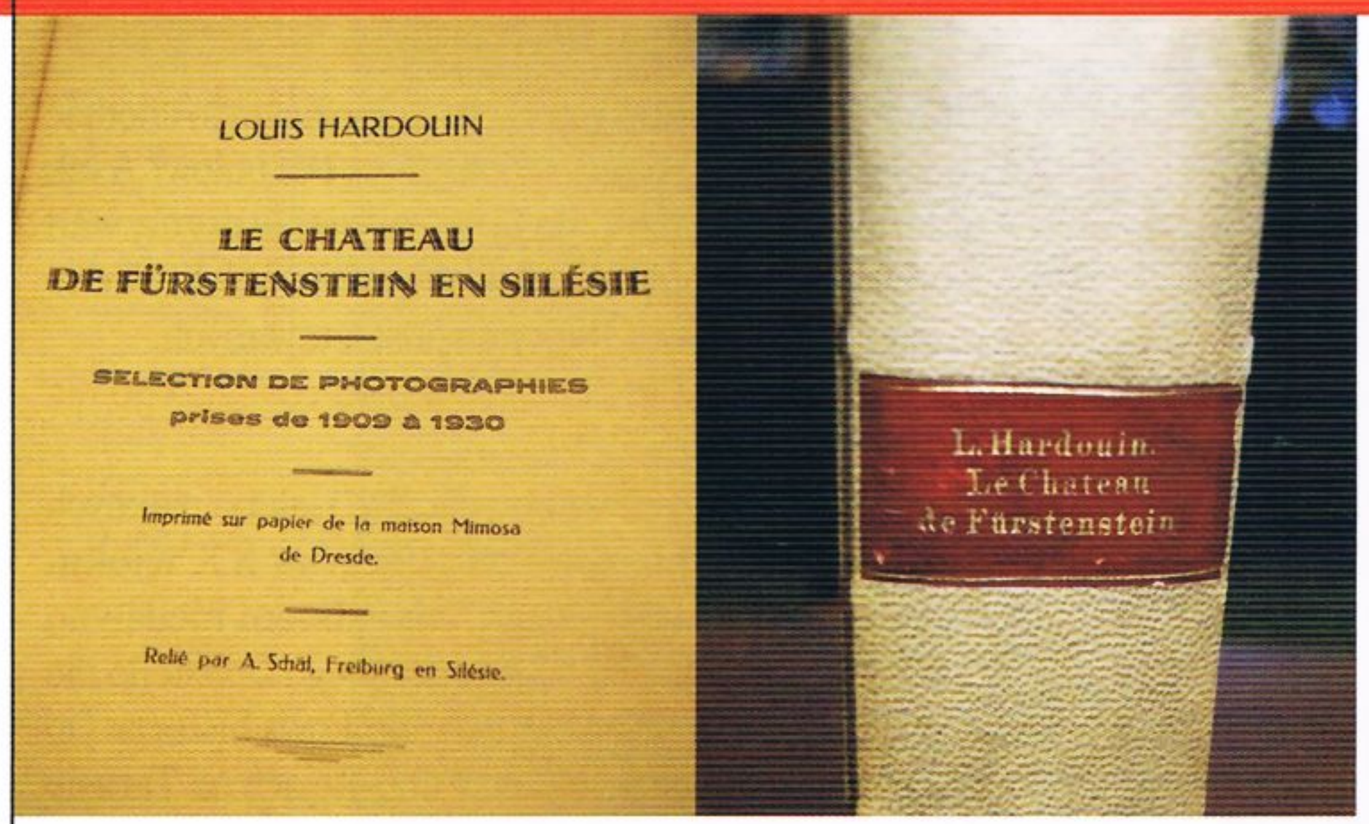

>>> dla internowanych w Holzminden. Tam napisał piękny wiersz do żony („bo nic nad miłość na tym świecie"), który wzbogaca naszą wystawę. Chcielibyśmy w przyszłości ten temat rozszerzyć wystawienniczo, bo dysponujemy nie tylko obozowymi zdjęciami kucharza. Hardouin prowadził w obozie dziennik, który uratował się. I jest to dziennik niezwykły, bo nie zawiera dosłownych opisów obozowego życia, emocji autora – czego moglibyśmy oczekiwać po dzienniku. Na około czterdziestu stronach Hardouin opisywał wykonywane codziennie ćwiczenia gimnastyczne, a swoje opisy wzbogacał rysunkami. Po wyjściu z obozu Hardouin powrócił do Książa, gdzie przebywał wraz z rodziną do 1926 roku. Niestety jego stan psychiczny nie był wówczas najlepszy. Miał dwóch synów, Louisa i Maurice'a. Starszy z nich Louis jr miał przyjaciela w osobie młodego Aleksandra von Hochberga. Kucharz często uwieczniał zabawy chłopców na wspólnych fotografiach. W tymże roku odprawia rodzinę do Francji, pozostając na miejscu. Dla Jana Henryka XV pracował jeszcze do 1932 roku. Muszę wspomnieć o żonie kucharza. Eugenia Hardouin organizowała dla dzieci zamkowych, wszystkich bez wyjątku, życie towarzyskie. Była kimś w rodzaju świetliczanki, i jak przypuszczam, osobą o pogodnym charakterze, optymistką, zaś jej mąż świetnie to obserwował i utrwalał na zdjęciach.

Od tego albumu Louisa Hardouin zaczęło się fascynujące odkrywanie Książa.

Dlaczego Hardouin pozostał w Książu po 1926 roku?

Sama zastanawiałam się, dlaczego. Myślę, że z dwóch powodów – był nadal lojalny wobec Hochbergów i najprawdopodobniej starał się o emeryturę z kasy książęcej. Ale to wymaga wnikliwszych, dodatkowych badań. Nie zapominajmy, że w tym okresie Hochbergowie byli już w fatalnej sytuacji finansowej i powoli wygaszali działalność Książa. Hardouin nie mieszkał już na dolnym przedzamczu, przeniósł się w pobliże lubiechowskiej palmiarni. Później kucharz wyjechał do Anglii. Tam w Londynie urodziła się wnuczka Jean. Były książański kucharz zajmował się ogrodnictwem i nadal fotografował. W Anglii przeżył II wojnę światową, zmarł w 1955 roku.

Mając taką kolekcję, tematów na kolejne wystawy zapewne nie zabraknie.

Chcemy zorganizować kilka tematycznych wystaw czasowych. O obozowych przejściach Hardouina już wspomniałam. Nie zapomnieliśmy o tych, którzy zdjęciami dawnego zamku chcą delektować się dłużej. Wystawie „Książ od kuchni" towarzyszy wydany w trzech językach – polskim, niemieckim i angielskim – album zdjęć Louisa Hardouina. Zadedykowaliśmy go Michałowi Wyszowskiemu, inicjatorowi „wizjonerskiej" – moim zdaniem – wyprawy do Burlington w Kanadzie. Jean Wessel, która podarowała nam prawdziwy skarb, sama nigdy wcześniej nie była w Książu. Znała go jedynie z opowieści dziadka, jako bajkowy zamek z prawdziwymi księżniczkami, kwiatami i ogrodnikami. Więc byliśmy zaszczyceni, kiedy zjawiła się na otwarciu wystawy. Była tu naszym gościem przez tydzień. Podczas wernisażu podpisywała albumy, nieco onieśmielona całym zamieszaniem wokół jej osoby.

Joanna Lamparska skomentowała, że waszym odkryciem przebiliście nawet „złoty pociąg". Kolekcja Hardouina jest faktem, a pociągu nadal nie ma.

Miło nam słyszeć takie opinie. Zauważam ostatnio duże ożywienie wokół zamku i jego namacalnych pamiątek. Poza kanadyjską kolekcją pani Wessel, zamek pozyskał z Niemiec i USA pięć książek z biblioteki Hochbergów. Trafiły tam przedziwną drogą, poprzez Związek Radziecki. To powoduje, że cały czas uzupełniamy naszą wiedzę o Książu, a kiedy trzeba, korygujemy ją nawet, analizując pozyskane zbiory. W zamkowym kompleksie nadal mieszka pani Dorota Stępowska, córka Edwarda Wawrzyczka – ostatniego mistrza siodła Hochbergów, która wspomnieniami swojej rodziny także wzbogaca naszą wiedzę. Odwiedzają nas potomkowie zamkowych pracowników: Bertelsmannów, Kozyrów, Fichtego – ostatniego zamkowego kasztelana, Endemanna – nauczyciela dzieci zamkowych pracowników, bibliotekarza i książańskiego archiwisty. I przywożą kolejne, nieznane fotografie zamku. Dziś już wiemy i widzimy, że większość z nich to praca książańskiego kucharza. Choć zdjęcia Hardouina zamykają pewną epokę historii zamku, bo tuż po jego wyjeździe miały nadejść czasy nazistowskie, nie tracę nadziei, że i ten okres uda nam się wzbogacić zdjęciowo. Choć patrzę na to z dużym spokojem, wciąż jestem optymistką. Bo wnukowie w różnych krajach coraz częściej przeglądają stare albumy.

Dziękuję za rozmowę.

Fragment zamkowej wystawy.

fot. J. Skowroński

Fisher Labs

ODKRYJ HISTORIĘ UKRYTĄ PRZEZ LATA

Szukaj w dobrych sklepach outdoorowych lub sprawdź teraz na kolba.pl

kolba

PPHU KOLBA Łukasz Matuszczak
ul. Limanowskiego 65; 42-506 Będzin; e-mail: p.rak@kolba.pl
tel: +48 32 265 22 00 wew. 24; kom: +48 515 269 062

CZĘŚĆ 2

SKRZYNIE KAPITANA REUTERA

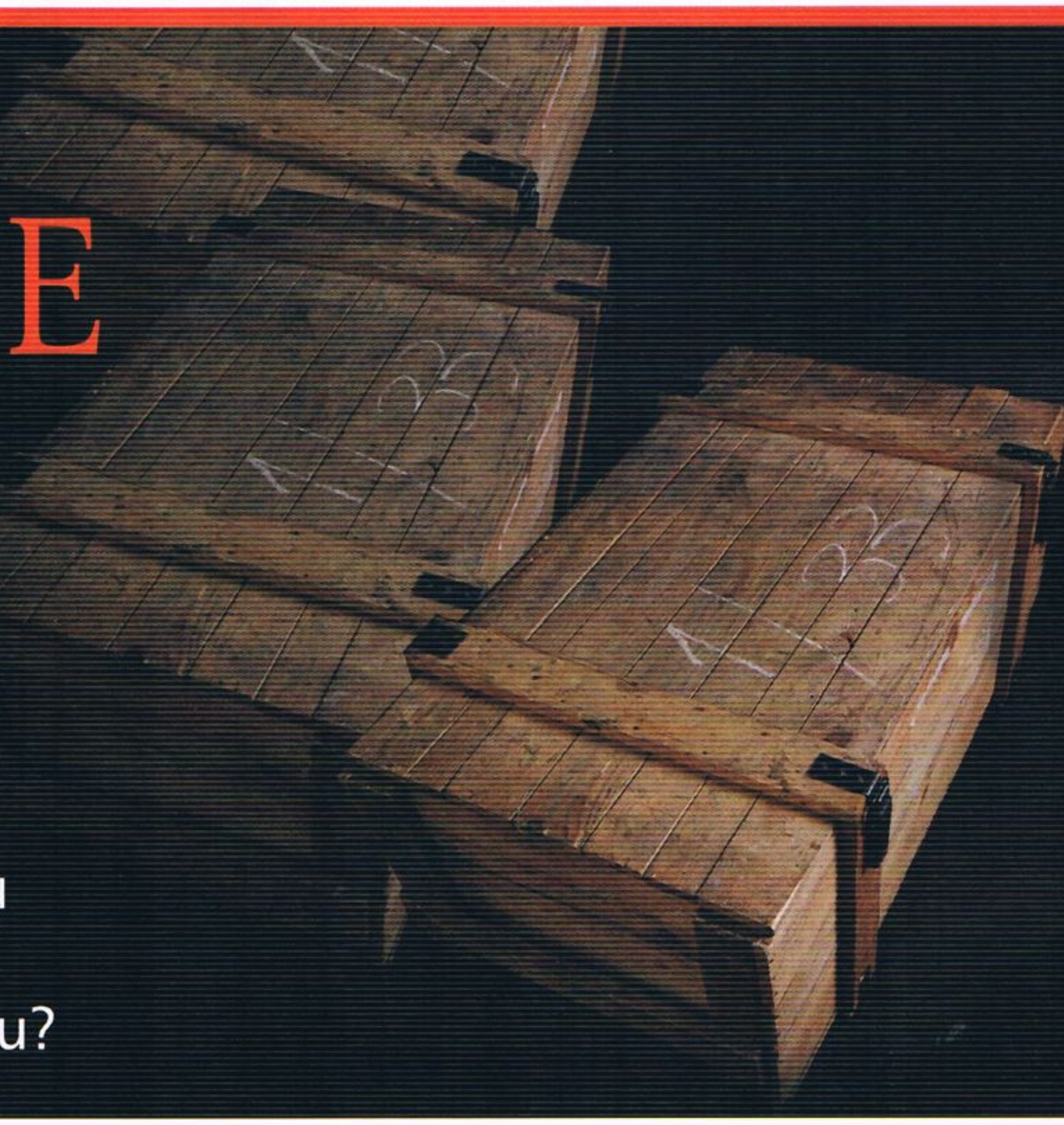

MACIEJ BARTKÓW

Co zeznał specjalista Oddziału Wywiadu Frontowego (FAK), operującego na Dolnym Śląsku?

Wrzesień 1975 roku z zachwytem przyjęty został przez zwolenników upałów. Odnotowano wtedy najwyższą temperaturę dla tego miesiąca na ziemiach polskich, a rekordowych niemal 35 stopni Celsjusza nie odnotowaliśmy w kraju już nigdy później. Nie u wszystkich jednak lejący się z nieba żar wzbudzał zachwyt, zaś szczególnie przeklinali go ci, którzy na co dzień paradować musieli w mundurach, zwłaszcza gdy godzinami przesiadywać musieli na niekończących się naradach czy konferencjach. Trudno się zatem dziwić, że spoceni funkcjonariusze dolnośląskiej Służby Bezpieczeństwa z niecierpliwością oczekiwali końca zorganizowanej wówczas specjalnej konferencji poświęconej „walce organów bezpieczeństwa publicznego na Dolnym Śląsku z wrogą działalnością ośrodków zagranicznych w latach 1945–1974". Pośród kilku referatów dotyczących tytułowego zagadnienia, szczególnie jeden z nich, poświęcony „zwalczaniu wrogich ośrodków zachodnioniemieckich na Dolnym Śląsku", wart jest odnotowania. Wygłaszający po części retrospektywny odczyt kpt. Manfred Kubis powiedział tam między innymi:

„Jeszcze podczas wojny w 1944 roku zorganizowano specjalne szkoły dla potrzeb »Wehrwolfu« (...) Założono dla przyszłych grup dywersyjnych bazy zaopatrzeniowe, w różnych, mało dostępnych miejscach w rejonach górskich. Tylko w jednej, ostatnio zlikwidowanej przez organa bezpieczeństwa bazie /w 1950 roku w okolicach Lądka i Stronia Śląskiego/ – ujawniono 3 tony trotylu, kilkaset jednostek broni, żywność, ubrania wojskowe i cywilne i... 18 mln rubli".

Niektórzy funkcjonariusze informacje tę przyjęli zapewne ze sporym zdziwieniem, wszak wiadomość ta nie

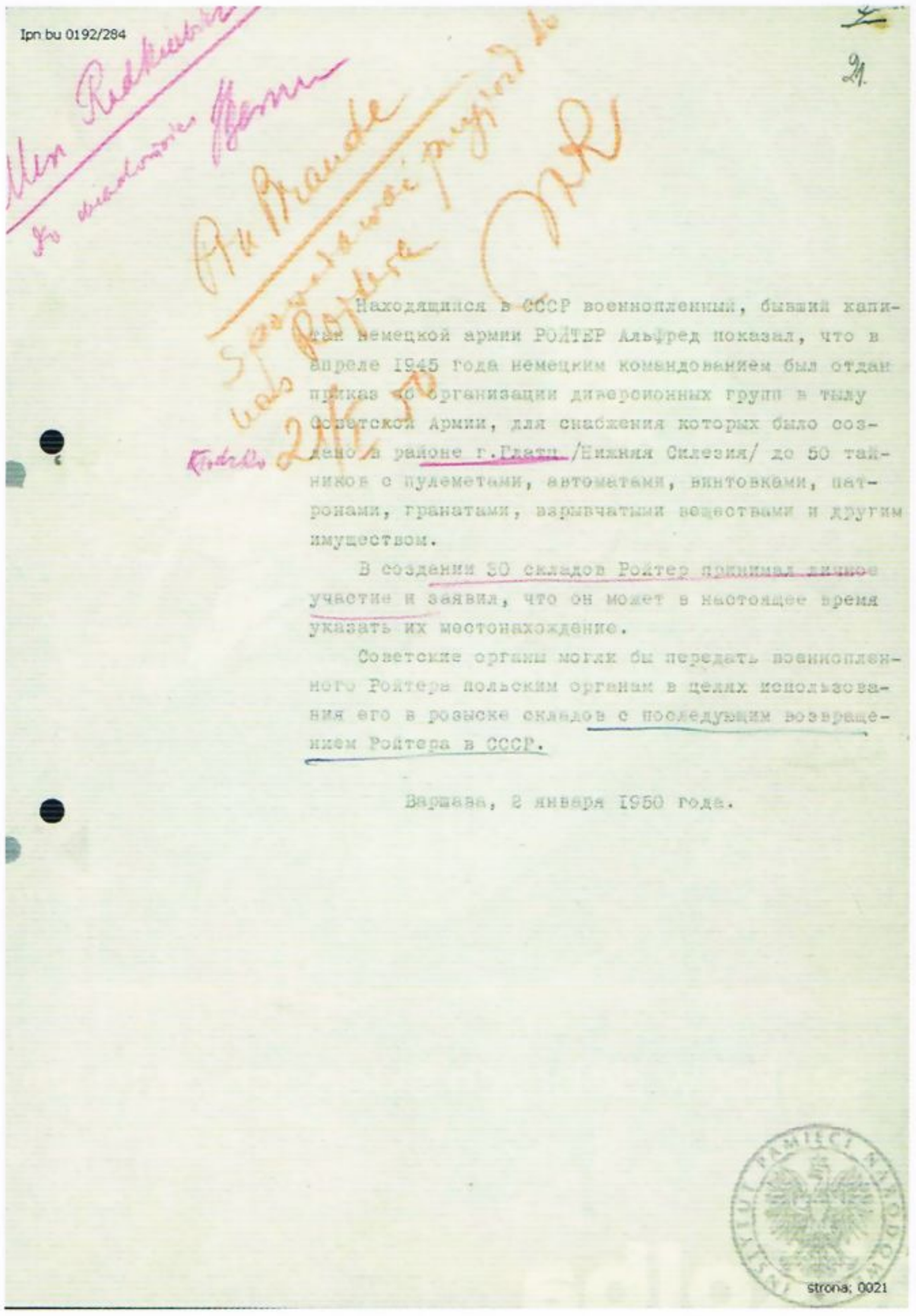

Ipn bu 0192/284

21.

Находящийся в СССР военнопленный, бывший капитан немецкой армии РОЙТЕР Альфред показал, что в апреле 1945 года немецким командованием был отдан приказ об организации диверсионных групп в тылу Советской Армии, для снабжения которых было создано в районе г.Глатц /Нижняя Силезия/ до 50 тайников с пулеметами, автоматами, винтовками, патронами, гранатами, взрывчатыми веществами и другим имуществом.

В создании 30 складов Ройтер принимал личное участие и заявил, что он может в настоящее время указать их местонахождение.

Советские органы могли бы передать военнопленного Ройтера польским органам в целях использования его в розыске складов с последующим возвращением Ройтера в СССР.

Варшава, 2 января 1950 года.

Strona: 0021

www.odkrywca.pl

pojawiła się nigdy na łamach prasy, nie gościła także na kartach opracowań i książek poświęconych niemieckiemu podziemiu. Do tej pory stanowiła wewnętrzną tajemnicę resortu.

Spowodować przyjazd do nas...

9 maja 1945 roku, w czasie gdy miliony Rosjan wsłuchiwało się w radiowy komunikat głównodowodzącego sił radzieckich i przywódcy partii komunistycznej Józefa Stalina o zwycięstwie nad hitlerowcami, amerykańscy żołnierze na granicy czesko-austriackiej dokonują zatrzymania grupy Niemców przedzierających się w kierunku Rzeszy. Nie ustalając ich prawdziwych personaliów i ograniczając się tylko do pobieżnych przesłuchań zatrzymanych, znaczną ich część przekazują wkrótce Sowietom. Nie wiedzą, że właśnie oddali w ręce NKWD specjalistę z operującego na Dolnym Śląsku Oddziału Wywiadu Frontowego (FAK).

Frontaufklärungskommando odgrywały bardzo ważną rolę w działalności dywersyjnej Niemców w okresie II wojny światowej. Podległe bezpośrednio Zarządowi Wojskowemu Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) operowały we wszystkich niemal krajach walczących z III Rzeszą, szczególną jednak uwagę skupiając na froncie wschodnim. Dowództwu Rozpoznania Frontowego „Wschód" podlegały cztery oddziały FAK, których numeracja zaczynała się od cyfry 2. One to właśnie prowadziły specjalistyczne kursy, w czasie których szkolono przyszłych niemieckich dywersantów, przerzucanych następnie poza linię frontu. Jak podaje Ryszard Nazarewicz w pracy zatytułowanej „Wywiad i dywersja III Rzeszy na wyzwolonym terytorium Polski 1944–1945":

„Ze sprawozdania Zarządu Wojskowego RSHA o działalności dywersyjnej w okresie od lipca do września 1944 roku wynika, że najwięcej uwagi poświęcono frontowi wschodniemu. M.in. zgodnie z dyrektywą Himmlera oddział rozpoznania frontowego – FAK 202 przy Grupie Armii »A« zajął się zasileniem w ludzi i zaopatrzeniem oddziałów zbrojnych UPA działających w Galicji. Dla ich aktywizacji i nawiązania łączności z ogniwami dowódczymi UPA przerzucono przez front do rejonu Stryja 8-osobową grupę z FAK 202, w tym trzech oficerów pod dowództwem kpt. Kirna. (...) Ponadto w celu organizowania oddziałów dywersyjnych na tyłach Armii Radzieckiej przerzucono 106 wyszkolonych agentów. Ogółem w różnych akcjach o charakterze bojowo-dywersyjnym i rozpoznawczym w strefie przyfrontowej wykorzystywano około 1200 agentów różnych narodowości m.in. Rumunów, »Kozaków«, Ukraińców, Białorusinów, Litwinów i innych. FAK 202 używał także oddziału niemieckiego por. Kubitza do niszczenia różnych obiektów na tyłach radzieckich".

Przed oddziałami FAK postawiono także zadanie przygotowania >>>

www.odkrywca.pl

>>> dla potrzeb dywersantów mających operować na tyłach wojsk sowieckich specjalnych magazynów, w których ukryto by potrzebne im do walki przedmioty, jak broń, materiały wybuchowe, żywność czy ubrania. Zadanie to, w dużej części, zostało wykonane, a o kulisach tych operacji opowiedział Sowietom jeden z jeńców niemieckich przekazanych im przez żołnierzy USA kpt. Alfred Reuter – szef Frontaufklärungskommando nr 212! Na rozmowy z sowieckimi śledczymi będzie miał dużo czasu, bowiem dość prędko, za zbrodnie wojenne popełnione na terenie ZSRS, skazany został na 25 lat więzienia. W związku z faktem, że znaczna część opisywanych przez niego wydarzeń rozgrywała się na terenie Dolnego Śląska, w roku 1950 Alfred Reuter zostaje przekazany WUBP we Wrocławiu. Zadanie, jakie przed nim postawiono, było proste. Miał wskazać miejsca, w których utworzono schowki z zaopatrzeniem dla niemieckich dywersantów. 2 grudnia 1950 roku propozycję „wypożyczenia" Reutera Sowieci przekazują ministrowi bezpieczeństwa publicznego Stanisławowi Radkiewiczowi, który kilkanaście dni później akceptuje propozycję i poleca: „Spowodować przyjazd do nas Reutera".

Kapitan Reuter zeznaje

Urodzony w 1914 roku, dyplomowany inżynier odznaczony w czasie II wojny światowej krzyżem żelaznym I i II klasy kapitan Alfred Reuter został przekazany stronie polskiej 28 marca 1950 roku. Wprost z Brześcia trafił do siedziby Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie. Niemal natychmiast poddano go przesłuchaniom, w czasie których Reuter zeznał, że na tereny Polski przybył z Włoch jako dowódca 8-osobowej FAK w październiku 1944 roku. Pośród celów, jakie przed nim postawiono, było rozpoczęcie akcji zakopywania broni na terenie Śląska oraz wyszukiwanie na miejscu ludzi,

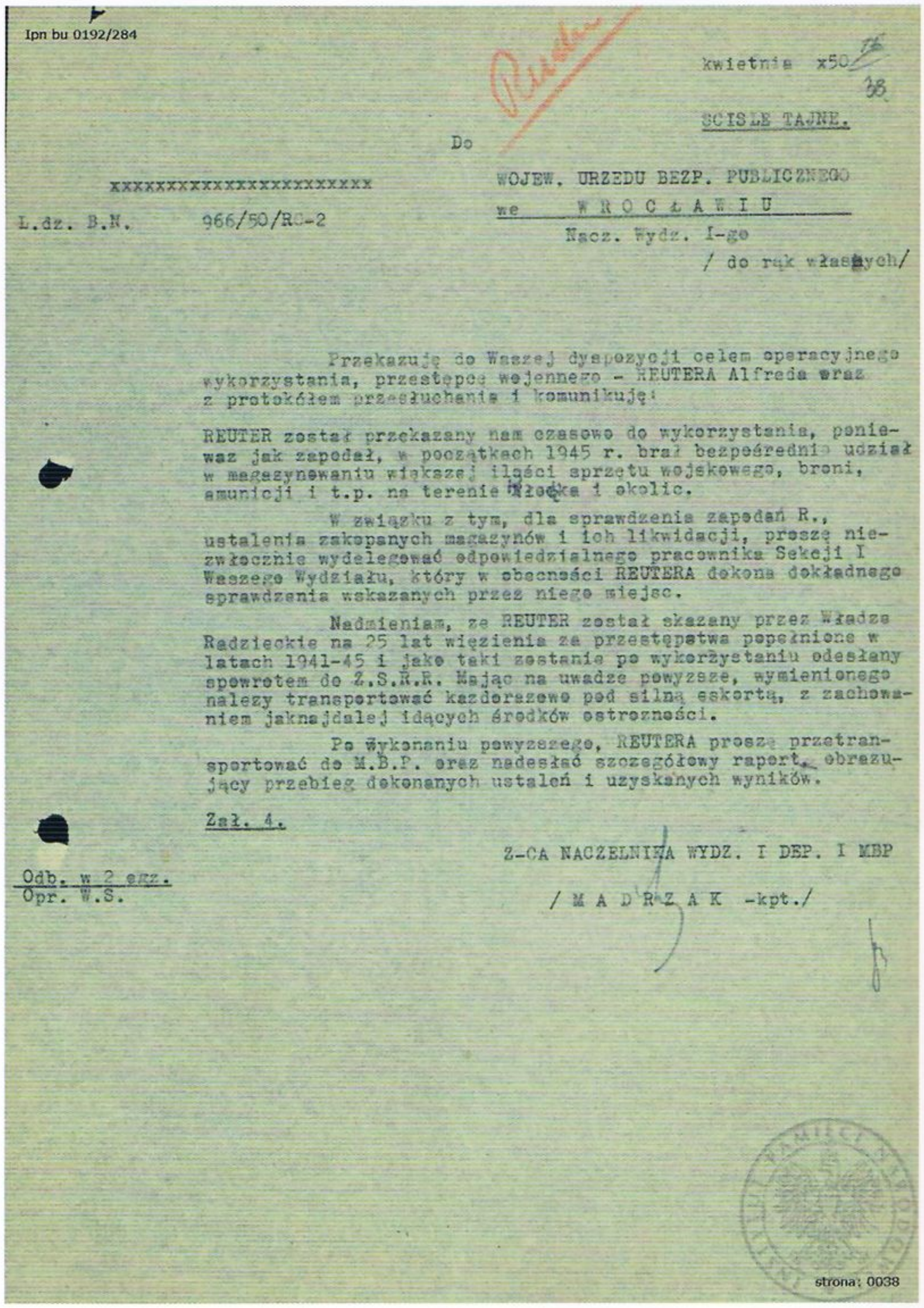
Ipn bu 0192/284

kwietnia x50

ŚCIŚLE TAJNE.

Do

WOJEW. URZĘDU BEZP. PUBLICZNEGO
we W R O C Ł A W I U
Nacz. Wydz. I-go
/ do rąk własnych/

L.dz. B.N. 966/50/RC-2

Przekazuję do Waszej dyspozycji celem operacyjnego wykorzystania, przestępcę wojennego - REUTERA Alfreda wraz z protokółem przesłuchania i komunikuję:

REUTER został przekazany nam czasowo do wykorzystania, ponieważ jak zapodał, w początkach 1945 r. brał bezpośredni udział w magazynowaniu większej ilości sprzętu wojskowego, broni, amunicji i t.p. na terenie Wrocka i okolic.

W związku z tym, dla sprawdzenia zapodań R., ustalenia zakopanych magazynów i ich likwidacji, proszę niezwłocznie wydelegować odpowiedzialnego pracownika Sekcji I Waszego Wydziału, który w obecności REUTERA dokona dokładnego sprawdzenia wskazanych przez niego miejsc.

Nadmieniam, że REUTER został skazany przez Władze Radzieckie na 25 lat więzienia za przestępstwa popełnione w latach 1941-45 i jako taki zostanie po wykorzystaniu odesłany spowrotem do Z.S.R.R. Mając na uwadze powyższe, wymienionego należy transportować każdorazowo pod silną eskortą, z zachowaniem jaknajdalej idących środków ostrożności.

Po wykonaniu powyższego, REUTERA proszę przetransportować do M.B.P. oraz nadesłać szczegółowy raport, obrazujący przebieg dokonanych ustaleń i uzyskanych wyników.

Zał. 4.

Z-CA NACZELNIKA WYDZ. I DEP. I MBP

/ M A D R Z A K -kpt./

Odb. w 2 egz.
Opr. W.S.

strona: 0038

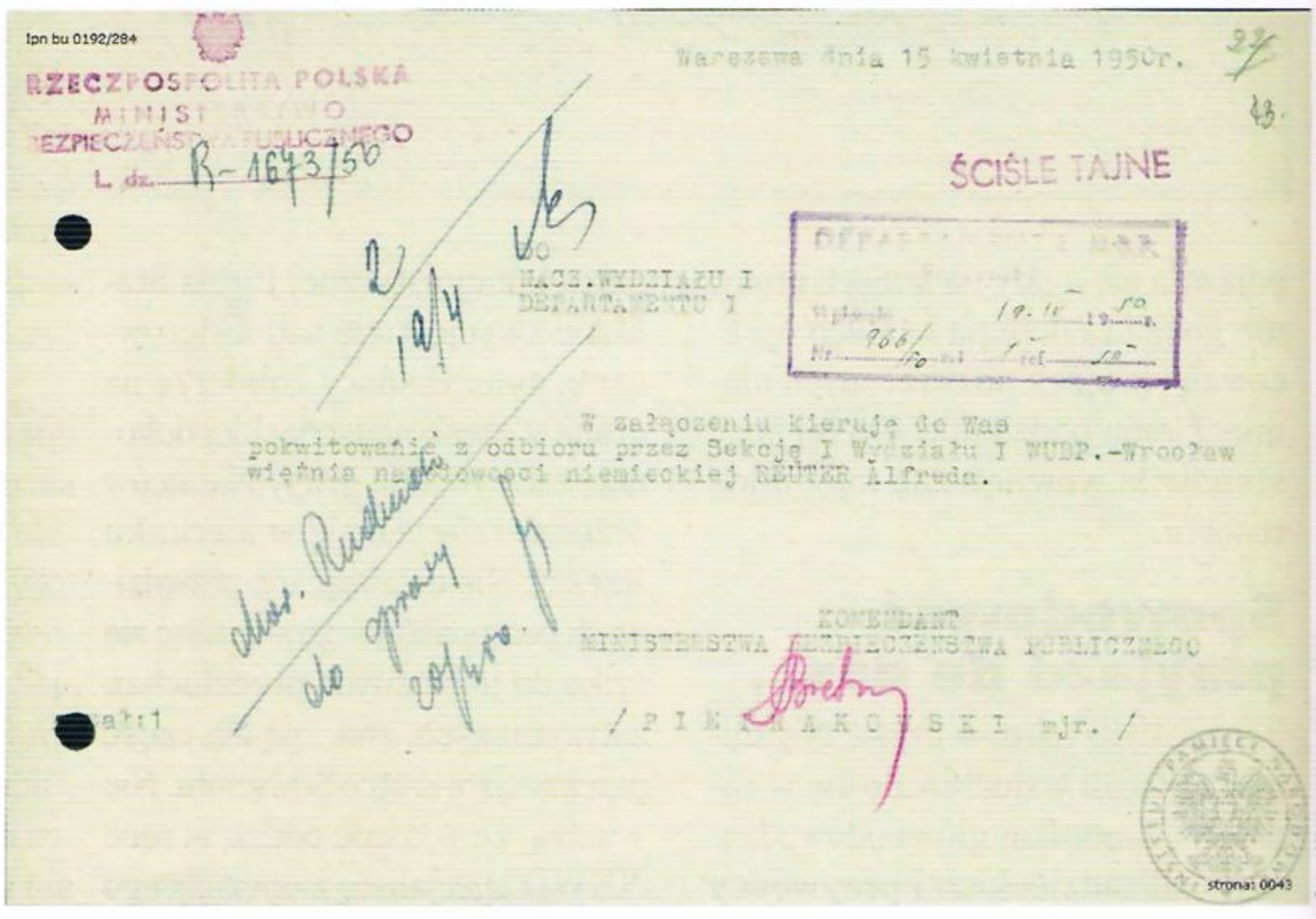
Ipn bu 0192/284

RZECZPOSPOLITA POLSKA
MINISTERSTWO
BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO
L. dz. R-1673/50

Warszawa dnia 15 kwietnia 1950r.

ŚCIŚLE TAJNE

DEPARTAMENT I MBP
Wpłynęło 19.IV 50
Nr 966/50 Ref 50

DO
NACZ.WYDZIAŁU I
DEPARTAMENTU I

W załączeniu kieruję do Was pokwitowanie z odbioru przez Sekcję I Wydziału I WUBP.-Wrocław więźnia nazwiskowego niemieckiej REUTER Alfreda.

Załącznik 1

KOMENDANT
MINISTERSTWA BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO

/ P I E K A K O W S K I wjr. /

strona: 0043

www.odkrywca.pl

DZIAŁALNOŚĆ DYWERSYJNA KPT. REUTERA NA DOLNYM ŚLĄSKU

1 DUSZNIKI ZDRÓJ, KŁODZKO
Styczeń 1945 roku. Alfred Reuter otrzymuje polecenie udania się do Dusznik Zdroju, a następnie do Kłodzka, gdzie w okolicach tego miasta tworzy 4 grupy dywersyjne.

2 BLISKO SIECHNIC
Rozpoznawanie terenu wraz ze specjalistami (ok. 25 osób), wysłanymi z Berlina. Zadania: werbunek, zakopywanie broni itp.

3 STOLEC

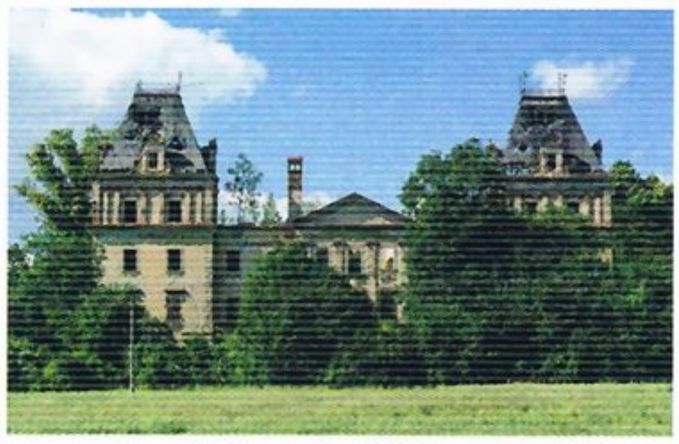

Tu organizowane były kursu dla przyszłych dywersyjnych grup. Szkoła mieściła się w opuszczonym zamku. Kurs obejmował zrywanie torów, mostów. Pierwszy kurs zakończony 20 grudnia 1944 r. W styczniu 1945 roku rozpoczął się drugi kurs, już nieukończony.

4 DŁUGOPOLE ZDRÓJ

Tutaj Reuter przenosi się z Stolca. Organizowane są grupy dywersyjne w Bystrzycy K., Kralikach i Sumperku i Jesioniku.

5 FRYDEK-MISTEK. Stąd kpt. Reuter drogą kolejową i samochodową otrzymywał materiały wybuchowe.

6 BYSTRZYCA KŁODZKA
W jednej z fabryk mebli zamówiono duże drewniane skrzynie.

7 DŁUGOPOLE-ZDRÓJ
Kpt. Reuter stąd wyjeżdżał ok. 4 razy, by zakopywać skrzynie z bronią.

8 BIELICE, BOLESŁAWÓW, PŁD. OD STRONIA ŚLĄSKIEGO
Miejsce ukrycia skrzyń.

z których będzie można zorganizować grupy do walki przeciwko Sowietom oraz obrony ośrodków przemysłowych w tym regionie. Broń i materiały wybuchowe przeznaczone do ukrycia Reuter otrzymać miał z miejscowości Lückenwalde. Z głębi Rzeszy otrzymać miał także wsparcie w postaci specjalistów, którzy mieli dopomóc mu w przeprowadzeniu zaplanowanych działań. Jak dodał, po kilku tygodniach faktycznie przybyła do niego z Berlina grupa 25 osób, których zadaniem było werbowanie i szkolenie ochotników oraz zakopywanie broni. Pośród nich znajdował się także personel techniczny jak szoferzy, sanitariusze itd. Wraz z nimi Reuter zorganizował prowizoryczny ośrodek w zamku w miejscowości Stolec, gdzie kierowani przeważnie z terenu Górnego Śląska Niemcy i volksdeutsche byli wtajemniczani w tajniki dywersji i sabotażu. Kurs trwał około 10 dni, a spośród osób, które go ukończyły, 8 ludzi wytypowano na przyszłych dowódców. Polecono im samodzielnie zorganizować własne grupy składające się z 4–5 ludzi. Do tego jednak nigdy nie dochodzi. W styczniu 1945 roku, w związku z ofensywą Armii Sowieckiej, Alfred Reuter otrzymuje polecenie udania się do Dusznik Zdroju, a następnie do Kłodzka, gdzie w okolicach tego miasta tworzy 4 grupy dywersyjne. W ich skład wchodzą wyłącznie Niemcy z komanda Reutera oraz młodzi Niemcy przysłani z komendy uzupełnień jako regularni żołnierze. W międzyczasie także Alfred Reuter otrzymuje transportem samochodowym i drogą kolejową kilka przesyłek ubrań, żywności, broni, min, zapalników, granatów i materiałów wybuchowych. Przysłany sprzęt i broń zostały rozdzielone pomiędzy dowódców 4 utworzonych grup celem ich ukrycia w rejonie górskim. Reuter zeznaje:

„W Habelschwerdt (Bystrzyca Kłodzka) w jednej z fabryk meblowych zamówiliśmy około 200 skrzyń drewnianych o wielkości ok. 70 cm długości ok. 50 szerokości i 40 cm wysokości. Były to skrzynie bardzo szczelne. Wewnątrz były wykładane specjalnym nasyconym tłuszczem papierem. Poza tym były te skrzynie nasycone wewnątrz tzw. karbolineum, które chroni drzewo od gnicia. W skrzyniach tych załadowaliśmy luźną broń i sprzęt, o którym mówiłem wyżej. Po załadowaniu skrzyń były one oblewane >>>

www.odkrywca.pl

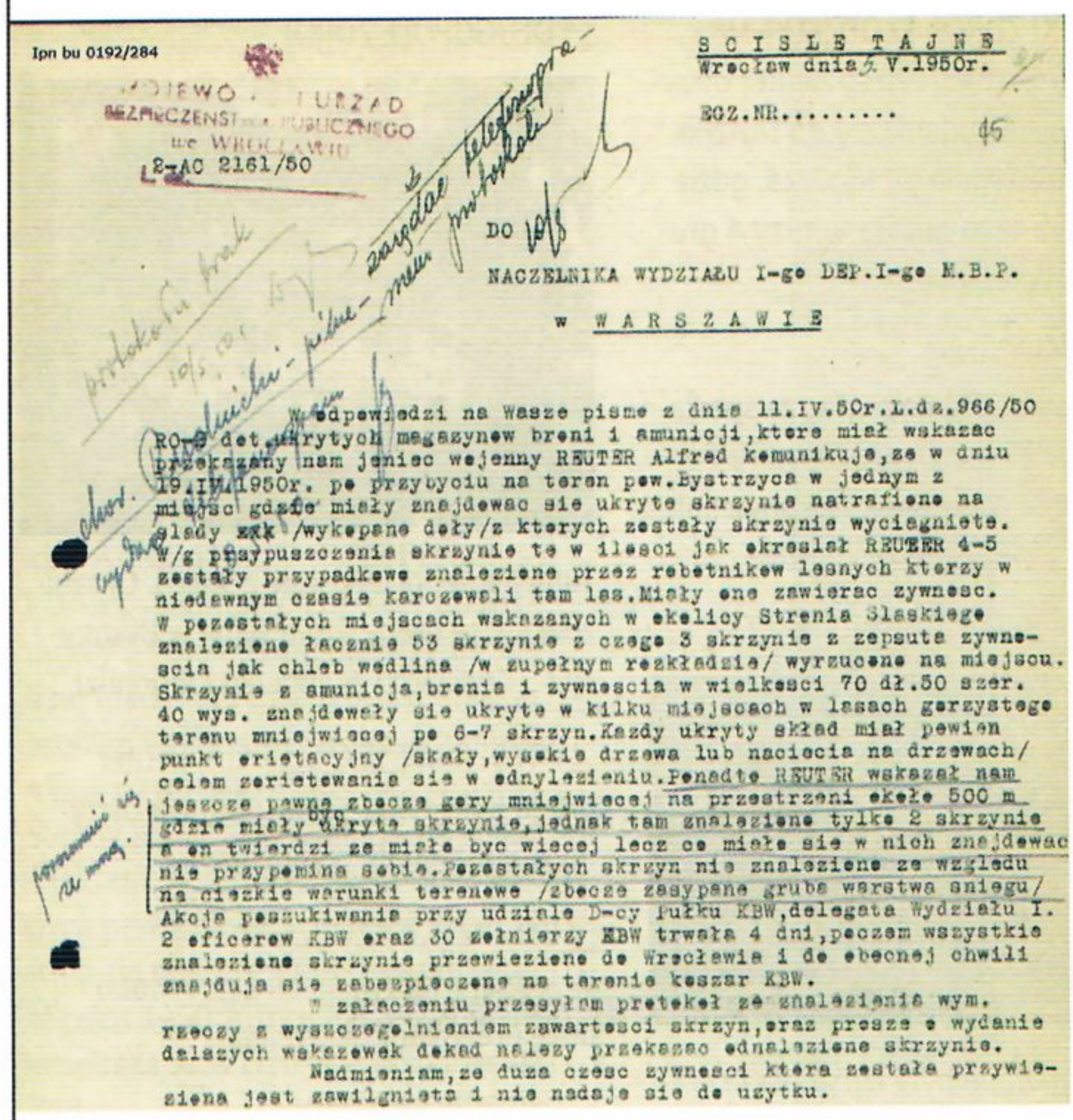
Ipn bu 0192/284

WOJEWÓDZKI URZĄD BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO we WROCŁAWIU
2-AC 2161/50

ŚCIŚLE TAJNE
Wrocław dnia 5.V.1950r.

EGZ.NR.....

DO

NACZELNIKA WYDZIAŁU I-go DEP.I-go M.B.P.

w WARSZAWIE

W odpowiedzi na Wasze pismo z dnia 11.IV.50r.L.dz.966/50 RO-G dot.ukrytych magazynow broni i amunicji,ktore miał wskazac przekazany nam jeniec wojenny REUTER Alfred komunikuje,ze w dniu 19.IV.1950r. po przybyciu na teren pow.Bystrzyca w jednym z miejsc gdzie miały znajdowac sie ukryte skrzynie natrafiono na slady zrk /wykopane doły/z ktorych zostały skrzynie wyciagniete. W/g przypuszczenia skrzynie te w ilosci jak okreslał REUTER 4-5 zostały przypadkowo znalezione przez robotnikow lesnych ktorzy w niedawnym czasie karczowali tam las.Miały one zawierac zywnosc. W pozostałych miejscach wskazanych w okolicy Strenia Slaskiego znaleziono łacznie 53 skrzynie z czego 3 skrzynie z zepsutą zywnoscia jak chleb wedlina /w zupełnym rozkładzie/ wyrzucone na miejscu. Skrzynie z amunicja,bronia i zywnoscia w wielkosci 70 dł.50 szer. 40 wys. znajdowały sie ukryte w kilku miejscach w lasach gorzystego terenu mniejwiecej po 6-7 skrzyn.Kazdy ukryty skład miał pewien punkt orientacyjny /skały,wysokie drzewa lub naciecia na drzewach/ celem zorientowania sie w odnalezieniu.Ponadto REUTER wskazał nam jeszcze pewne zbocze gory mniejwiecej na przestrzeni około 500 m gdzie miały ukryte skrzynie,jednak tam znalezione tylko 2 skrzynie a on twierdzi ze miało byc wiecej lecz co miało sie w nich znajdowac nie przypomina sobie.Pozostałych skrzyn nie znaleziono ze wzgledu na ciezkie warunki terenowe /zbocze zasypane gruba warstwą sniegu/ Akcja poszukiwania przy udziale D-cy Pułku KBW,delegata Wydziału I. 2 oficerow KBW oraz 30 żołnierzy KBW trwała 4 dni,poczem wszystkie znalezione skrzynie przewieziono do Wrocławia i do obecnej chwili znajduja sie zabezpieczone na terenie koszar KBW.

W załaczeniu przesyłam protokół ze znalezienia wym. rzeczy z wyszczegolnieniem zawartosci skrzyn,oraz prosze o wydanie dalszych wskazowek dokad nalezy przekazac odnalezione skrzynie.

Nadmieniam,ze duza czesc zywnosci ktora została przywieziona jest zawilgnieta i nie nadaje sie do uzytku.

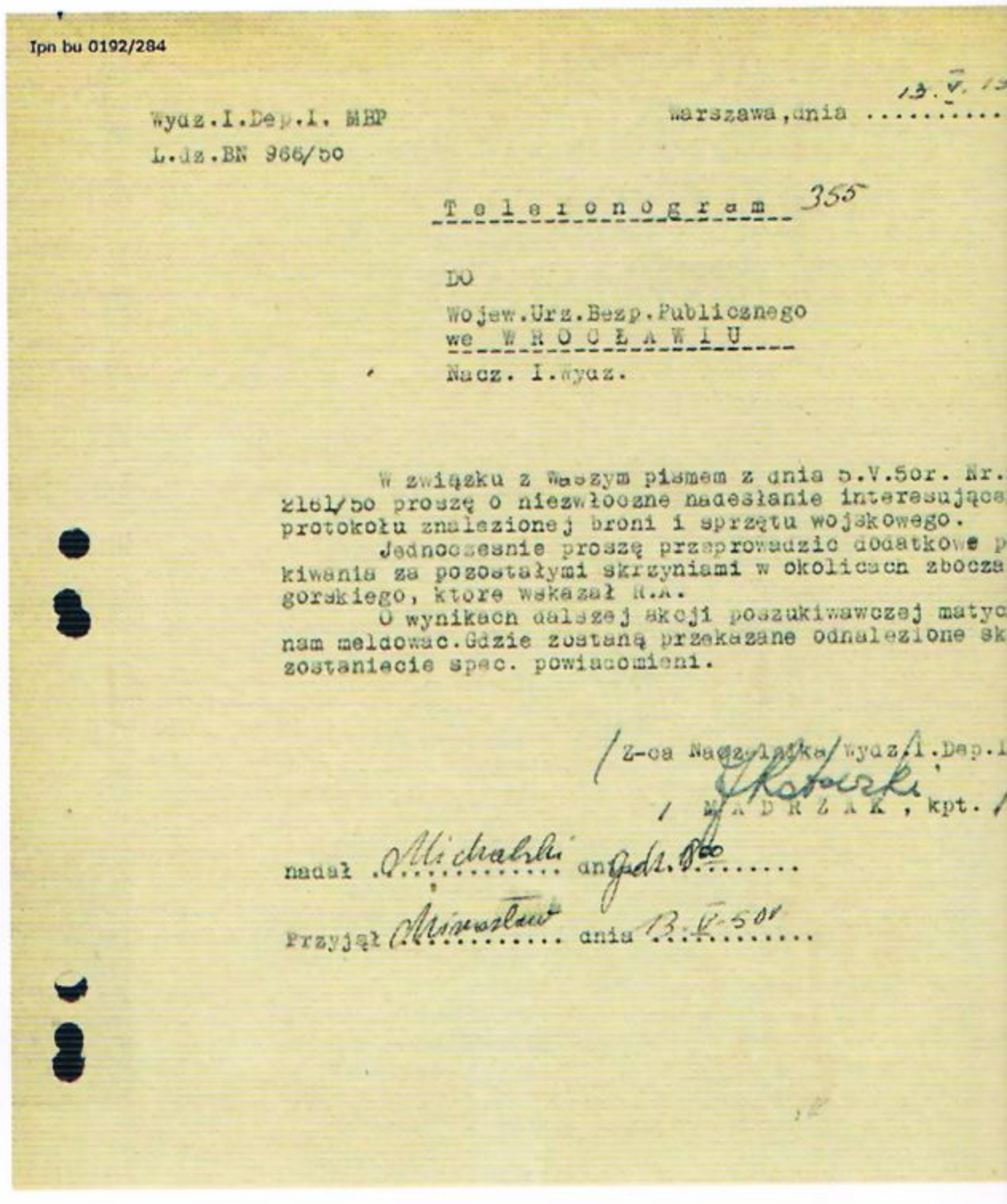
Ipn bu 0192/284

Wydz.I.Dep.I. MBP
L.dz.BN 966/50

Warszawa,dnia 13.V.50

Telegram 355

DO
Wojew.Urz.Bezp.Publicznego
we WROCŁAWIU
Nacz. I.wydz.

W związku z Waszym pismem z dnia 5.V.50r. Nr. 2161/50 proszę o niezwłoczne nadesłanie interesującego protokołu znalezionej broni i sprzętu wojskowego.

Jednocześnie proszę przeprowadzic dodatkowe poszukiwania za pozostałymi skrzyniami w okolicach zbocza gorskiego, ktore wskazał R.A.

O wynikach dalszej akcji poszukiwawczej matychnam meldowac.Gdzie zostaną przekazane odnalezione skrzynie zostaniecie spec. powiadomieni.

/z-ca Naczelnika Wydz.I.Dep.I/
/ WADRZAK, kpt. /

nadał Michalski dnia godz. 8.00

Przyjął Mirosław dnia 13.V.50r.

Sprzęt i broń przeznaczona dla naszej grupy zaczęliśmy zakopywać. Zakopywanie tego miało następujący przebieg. Było razem około 50 skrzyń z bronią, materiałem wybuchowym, amunicją, umundurowaniem itd. Akcję tę rozpoczęliśmy około drugiej połowy kwietnia 1945 roku. W tym czasie leżał jeszcze miejscami śnieg. Około 4 razy wyjeżdżałem z Langenau w teren, gdzie wyszukałem i oznaczyłem miejsca moim zdaniem odpowiednie dla tych celów".

3 maja 1945 roku Alfred Reuter otrzymuje polecenie, by dowództwo w swoim Komando przekazać porucznikowi Idenowi, a samemu udać się do dowództwa rezerw Heere Groupe Süd, które znajdowało się w miejscowości Deutsche Brod k/Pragi. Jak zeznał: „W drodze dowiedziałem się o powstaniu w Czechosłowacji, przyłączyłem się więc do dowództwa 17 Armii, z którą dostałem się do niewoli amerykańskiej". Po przekazaniu go Sowietom, w areszcie spotyka jednego z byłych żołnierzy porucznika Idena. Ten informuje go, że ludzie z grup mających operować na terenie Dolnego Śląska zostali przez kapitulację Rzeszy rozproszeni, a zakopane w ziemi skrzynie pozostały nienaruszone. „Broń na pewno została, gdyż miała zostać wykorzystana na tyłach frontu i w żadnym wypadku nie mogła być wykopana lub zniszczona przez byłych członków grup, gdyż szkic z rozmieszczeniem skrzyń posiadał tylko leutnant Iden, a o miejscach ukrycia wiedziałem tylko ja. Pojedynczy członkowie Komando wiedzieli tylko o paru skrzyniach, które przy takiej ilości nie grają roli, gdyby nawet zostały zabrane" dopowiada Reuter.

Pozyskana informacja elektryzuje przesłuchujących kapitana ubeków. Z ich strony natychmiast pada żądanie dokładnego wskazania miejsc ukrycia skrzyń, o których wyczerpująco opowiadał Reuter. Ten spełnia polecenie i mówi:

„Większość skrzyń została zakopana w okolicy wsi Bielendorf. Skrzynie były zakopywane każda z osobna. Reszta na południe od Wilhelmstahl /około 10 km./ i pojedyncze w okolicy leśnej, turystycznej restauracji leżącej na drodze od

www.odkrywca.pl

>>> specjalną mieszanką, która po zastygnięciu wyglądała jak lak i miała chronić skrzynie przed wilgocią. Skrzynie te, jak i inne, które przychodziły gotowe zostały tak samo przekazane do dyspozycji dowódców poszczególnych grup i przewiezione przez nich na ich teren działania. Przy nas w Langenau /Parkschlöschen/ pozostało jeszcze szereg skrzyń do naszej dyspozycji. W tym czasie otrzymałem rozkaz, aby z mojego Komando zorganizować specjalną grupę, o takim samym charakterze, jak poprzednio 4 grupy, i pozostałą po rozdziale broń zatrzymać dla siebie i przechować do swojej dyspozycji. Grupa ta rekrutowała się z członków naszego Komanda, którzy byli młodzi, zdrowi i chcieli zostać. Grupa liczyła razem ze mną 6 ludzi. Poza tym byli inni członkowie Komando, którzy mieli odejść, a byli jeszcze z nami chwilowo. Grupa ta miała specjalne zlecenie. Była dowództwem dla pozostałych grup, miała zadanie utrzymywać łączność z regularnymi oddziałami wojsk niemieckich i łączność między poszczególnymi grupami.

Hebelschwerdt do Seitenberg. W tej chwili bliższego położenia poszczególnych skrzyń określić nie mogę. Na miejscu mógłbym odnaleźć poszczególne skrzynie, gdyż w terenie można się lepiej zorientować. Osobiście byłem przy zakopywaniu wszystkich skrzyń, które pozostawiliśmy do wykorzystania przez naszą grupę".

Kierownictwo Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego we Wrocławiu bezzwłocznie podejmuje decyzję o zorganizowaniu wyjazdu w miejsca wskazane przez kapitana Reutera...

Po dotarciu na miejsce okazało się jednak, że te zostały zniszczone. Jak opisał to po latach sam Majcherek: „zastaliśmy je zburzone i wypalone". Zeznał także, że w okolicy Dusznik Zdroju schowki konstruowane były przez kilka niezależnych od siebie grup, lecz miejsca ich budowy znane było tylko ich członkom. Wówczas nikt jeszcze nie wiedział, że w przeciągu najbliższych lat pojawi się możliwość zweryfikowania prawdziwości jego słów... CDN. <

Maciej Bartków
Autor książek „Werwolf na Dolnym Śląsku" i „Strażnicy IV Rzeszy". Koordynator projektu „Tajemniczy Bytom".

Strażnicy IV Rzeszy. Dywersanci Hitlera na Dolnym Śląsku. Maciej Bartków.
Książka oparta w całości na nigdy wcześniej niepublikowanych materiałach archiwalnych. Maciej Bartków bezkompromisowo rozprawia się w niej z wieloma mitami i legendami, jakie na temat działalności na Dolnym Śląsku słynnego Werwolfu utrwalono w dotychczasowej literaturze przedmiotu. Dzięki wieloletniej pracy autora historia pohitlerowskiego podziemia na Ziemiach Odzyskanych została napisana na nowo.

Zamów na www.odk.pl tel. 42 631 10 97 42 630 71 41 Księgarnia Odkrywcy

REKLAMA

Ocalone pamiątki, zachowana pamięć

Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu ogłasza wielką zbiórkę pamiątek związanych z pobytem żołnierzy w niemieckich i radzieckich obozach jenieckich oraz w obozach internowania w państwach neutralnych podczas II wojny światowej. Ponieważ los jeńca był udziałem obywateli różnych krajów i osób wielu narodowości, dlatego naszej akcji nie ograniczamy do żołnierzy polskich.

Zbiórka odbędzie się pod hasłem *Ocalone pamiątki, zachowana pamięć*, a jej celem jest uchronienie od zapomnienia jenieckich rzeczy i ich dziejów, a wraz z nimi historii ludzi, z którymi były związane.

Muzeum czeka na wszelkiego rodzaju artefakty – przedmioty używane bądź wytworzone w niewoli, dokumenty, korespondencję, rysunki, fotografie, ubrania itp. – niezależnie od stanu ich zachowania.

Wszystkie dary wzbogacą zbiory Muzeum. Zostaną zabezpieczone i zinwentaryzowane. Dzięki temu staną się źródłem wiedzy i nośnikiem pamięci o jeńcach wojennych i internowanych, a tym samym o coraz bardziej odległej historii.

Osoby zainteresowane przekazaniem pamiątek do Muzeum, proszone są o kontakt osobisty, telefoniczny, listowny lub mailowy. Każda propozycja zostanie rozważona w możliwie krótkim czasie. Po zdigitalizowaniu obiektów darczyńcy otrzymają albumy z wizerunkami pamiątek, a także z ich zapisem cyfrowym.

Za zbiórkę odpowiedzialny jest Dział Zbiorów i Konserwacji Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu, ul. Muzealna 4, 48–316 Łambinowice, tel./fax +48 77 434 34 75

zbiorkapamiatek@cmjw.pl **www.cmjw.pl**

Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu
45–017 Opole, ul. Minorytów 3, tel./fax +48 77 453 78 72, 77 453 92 16

Projekt dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Marszałka Województwa Opolskiego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

RAKIETOWY OSTRZAŁ KRAJU WARTY

LESZEK ADAMCZEWSKI

Co najmniej kilkadziesiąt osób, Polaków i Niemców przypłaciło życiem testy rakiet V-2, które wystrzeliwano z Borów Tucholskich, by wkrótce mogły one przenosić głowice potwornie niszczycielskiej broni.

fot. Leszek Adamczewski, arch. autora

Był poniedziałek, 13 listopada 1944 roku. W ten jesienny dzień życie w okupowanym Inowrocławiu, który, przemianowany na Hohensalza, był stolicą jednej z trzech rejencji Kraju Warty, toczyło się w wojennych warunkach biedy i niedostatku. Odczuwali to zwłaszcza Polacy, chociaż ogłoszona przez hitlerowców wojna totalna dawała się też coraz bardziej we znaki i niemieckiej, w przeważającej mierze napływowej ludności miasta. Na potrzeby frontu wschodniego pełną parą pracował inowrocławski węzeł kolejowy, po ulicach kilku śródmiejskich ulic normalnie kursowały tramwaje jedynej w mieście linii, a górnicy miejscowej kopalni soli zapamiętali, że w tym mniej więcej czasie do klatki windy szybu zjazdowego ładowano tajemnicze skrzynie, które ponoć składano w podziemnych komorach wypłukanych w złożu soli...

Tego dnia nic nie zwiastowało tragedii. Przede wszystkim nie było słychać warkotu silników amerykańskich bombowców, które w dzień mogły pojawić się nad Hohensalza i zbombardować kolejową stację rozrządową, bo nic innego w mieście nie warte było takiego wysiłku sprzymierzonych. Dochodziła jedenasta, gdy miastem wstrząsnęła silna eksplozja. Z okien wyższych pięter budynków mieszkalnych zauważono, że chmura dymu formuje się w kształt grzyba z dala od centrum, nad peryferyjną dzielnicą Mątwy. Tam też popędziły wozy straży pożarnej.

Na miejscu okazało się, że tajemnicza eksplozja zniszczyła jeden z kilku identycznych dwurodzinnych budynków mieszkalnych przy Rungestrasse. Szybko ustalono, że pod zwałami gruzów zginęło dziewięć przebywających tam akurat osób: 54-letnia Katarzyna Mielcarek-Małachowska i Salomea Szumacher oraz nieznana z nazwiska rodzina niemiecka z Berlina, prawdopodobnie ewakuowana do Hohensalza przed skutkami alianckich bombardowań stolicy Rzeszy. Eksplozję przeżył tylko 14-letni Jan Małachowski, który akurat przebywał na poddaszu budynku przy Rungestrasse 12, odsypiając nocną zmianę w pobliskiej cukrowni. Siła wybuchu odrzuciła go wraz z łóżkiem i częścią konstrukcji dachowej na pobliskie ogródki działkowe, gdzie nieprzytomnego i ciężko poturbowanego znaleźli sąsiedzi jeszcze przed przyjazdem wozów strażackich.

Rakiety spadają na Tuliszków

Zarówno polscy, jak i niemieccy mieszkańcy Hohensalza eksplozję na Rungestrasse zaczęli natychmiast kojarzyć z hitlerowską Wunderwaffe, czyli ową „cudowną" bronią, która miała zmienić katastrofalnie już wówczas niekorzystny dla Rzeszy przebieg wojny. Mimo ograniczeń w podróżowaniu po Kraju Warty i milczeniu niemieckich gazet, do Inowrocławia docierały informacje, że do podobnych eksplozji w minionych tygodniach doszło w sąsiednich powiatach: Warthbrücken (Koło) i Konin.

To kolorowe zdjęcie, przedstawiające mieszkańców wojennego Inowrocławia na Rynku czekających na tramwaj, pochodzi mniej więcej z tego samego okresu, gdy na Hohensalza spadła rakieta V-2.

Przygotowanie do startu pocisku A-4, czyli rakiety V-2.

Wśród kilku relacji, które w 1988 roku nadesłali czytelnicy „Głosu Wielkopolskiego" po publikacji w tym dzienniku cyklu moich artykułów „V-2 nad Krajem Warty", był też list H. Kruczkowskiego z Poznania, który lata okupacji spędził w Tuliszkowie (miasteczku między Koninem a Turkiem). „W 1944 roku miałem 12 lat – pisał w liście. – Pamiętam, jak pewnego piątkowego dnia znalazłem się na tak zwanej Targowicy, gdzie odbywał się skup zwierząt rzeźnych. W pewnej chwili ktoś krzyknął i wskazał ręką w kierunku północno-wschodnim, gdzie zauważyliśmy duże czerwone »cygaro«. To »cygaro« spadło około 400–500 metrów od Targowicy, żłobiąc duży dół. Ziemia przysypała kilkoro polskich dzieci, które znajdowały się w pobliżu pod słomianym szałasem zwanym budą. Tegoż dnia, ale po południu, podobna bomba spadła za dzielnicą Tuliszkowa, zwaną Piaskami".

Kruczkowski nie podał daty tych zdarzeń, ale na podstawie >>>

www.odkrywca.pl

>>> zachowanego dokumentu niemieckiego udało mi się ustalić, że doszło do nich w piątek, 29 września 1944 roku.

„Następnego dnia była sobota – pisał dalej Kruczkowski. – Wieczorem około godziny 22:00 bomba spadła na gospodarstwo w Sarbicku, to jest około 3 kilometrów na południe od Tuliszkowa. Na skutek pożaru całe miasteczko Tuliszków było oświetlone. [...] Zginął wtedy jeden Polak zatrudniony u Niemca i spłonęło gospodarstwo. [...] Następnego dnia przed południem, a była to niedziela, bomba spadła na gospodarstwo w miejscowości Bagno, również około 3 kilometrów od Tuliszkowa, ale w kierunku zachodnim. Spłonęło całe gospodarstwo. [...] Potem jeszcze spadła bomba w okolicy Ogorzelczyna, czyli również około 3 kilometrów od Tuliszkowa, ale w kierunku wschodnim, lecz poza wyżłobieniem dużego dołu nie wyrządziła poważniejszych szkód".

I tak, zbierając okruchy informacji od różnych świadków, udało się zlokalizować kilkadziesiąt miejsc upadku w drugiej połowie 1944 i pierwszych dniach roku następnego testowych rakiet V-2 na ziemie Kraju Warty. Tu i ówdzie pozostały po nich albo zarośnięte chwastami leje, albo oczka wodne, gdy woda wypełniła wyżłobione eksplozjami dziury w ziemi. W niektórych miejscach leje zasypano, jak stało się to w Inowrocławiu. Przy obecnej ulicy Kwiatowej w miejscu zniszczonego budynku stoi standardowy domek jednorodzinny, który wyraźnie różni się od zbudowanych na początku XX wieku kilku identycznych budynków dwurodzinnych.

Wspomnienia nastolatków

W dziejach Trzeciej Rzeszy noc z 17 na 18 sierpnia 1943 roku była przełomowa. Gdy dymiły jeszcze ruiny wielu zbombardowanych w tamtą noc przez Brytyjczyków obiektów ośrodka doświadczalno-produkcyjnego broni odwetowej w Peenemünde i pobliskiego osiedla naukowców w Karlshagen na bałtyckiej wyspie Usedom (Uznam), w Berlinie i mazurskiej Kwaterze Głównej Führera podejmowano ważne decyzje przede wszystkim dla hitlerowskiego przemysłu zbrojeniowego. Miał on zacząć schodzić pod ziemię, do odpornych na bomby sztolni i tuneli. Jednocześnie postanowiono na terenie okupowanej Polski, w okolicach wiosek Blizna i Pustków koło Mielca w Generalnym Gubernatorstwie, urządzić poligon doświadczalny rakiet A-4, znanych bardziej jako V-2.

Na kilka tygodni przed wkroczeniem Armii Czerwonej na Rzeszowszczyznę, co nastąpiło późnym latem 1944 roku, poligon ten Niemcy przenieśli w Bory Tucholskie w okolice Wierzchucina, który Niemcy przemianowali na Lindenbusch. O testach z bronią rakietową, przeprowadzanych na ściśle tajnym poligonie Heidekraut (Wrzos), pisałem w „Odkrywcy" (nr 2 z 2005 roku) w artykule „V-2 nad Borami Tucholskimi". Sześć lat później do tego tematu wrócili w „Odkrywcy" (nr 5 z 2011 roku) Maciej Kulesza i Wojciech Mąka, zamieszczając artykuł „Na bydgoskich tropach Wunderwaffe". Nadal jednak wiedza na ten temat nawet wśród ludzi interesujących się nowymi rodzajami niemieckiej broni jest niedostateczna, o czym świadczy choćby starannie wydana w 2009 roku książka Łukasza Piechockiego „Niemiecka broń V-1 i V-2". Jej autor ani słowem nie zająknął się na temat poligonu Heidekraut w Borach Tucholskich. A oprócz V-2 odpalono stąd też kilka rakiet Rheinbote.

Wśród listów nadesłanych w 1988 roku do „Głosu Wielkopolskiego" był również i ten, napisany przez Edmunda Barylskiego z Wrześni: „W czasie okupacji mieszkałem na Pomorzu w małej wiosce Klonowo, 20 kilometrów na południe od Tucholi i około 15 kilometrów na południowy zachód od Wierzchucina. W 1944 roku miałem 10 lat. Będą to więc wrażenia małego wiejskiego chłopaka oraz to, co wówczas usłyszałem od dorosłych. Otóż nad naszym domem często

Znacznie ponad sto takich rakiet Niemcy przeznaczyli na testowe strzały z Borów Tucholskich.

przelatywały rakiety V-2 wystrzeliwane z okolic Wierzchucina. Wpierw było słychać huk połączony z detonacją, a za chwilę widać było na niebie przesuwającą się białą smugę, jak przy samolocie odrzutowym. W tym mniej więcej czasie następował drugi huk; dzisiaj domyślam się, że było to w chwili przekraczania przez rakietę »bariery dźwięku«. Zastanawiałem się, ile takich rakiet wystartowało i jak długo to trwało? Otóż w niektóre dni na pewno było więcej startów niż jeden, wydaje mi się, że w sumie więcej niż sto, najwięcej latem i wczesną jesienią.

www.odkrywca.pl

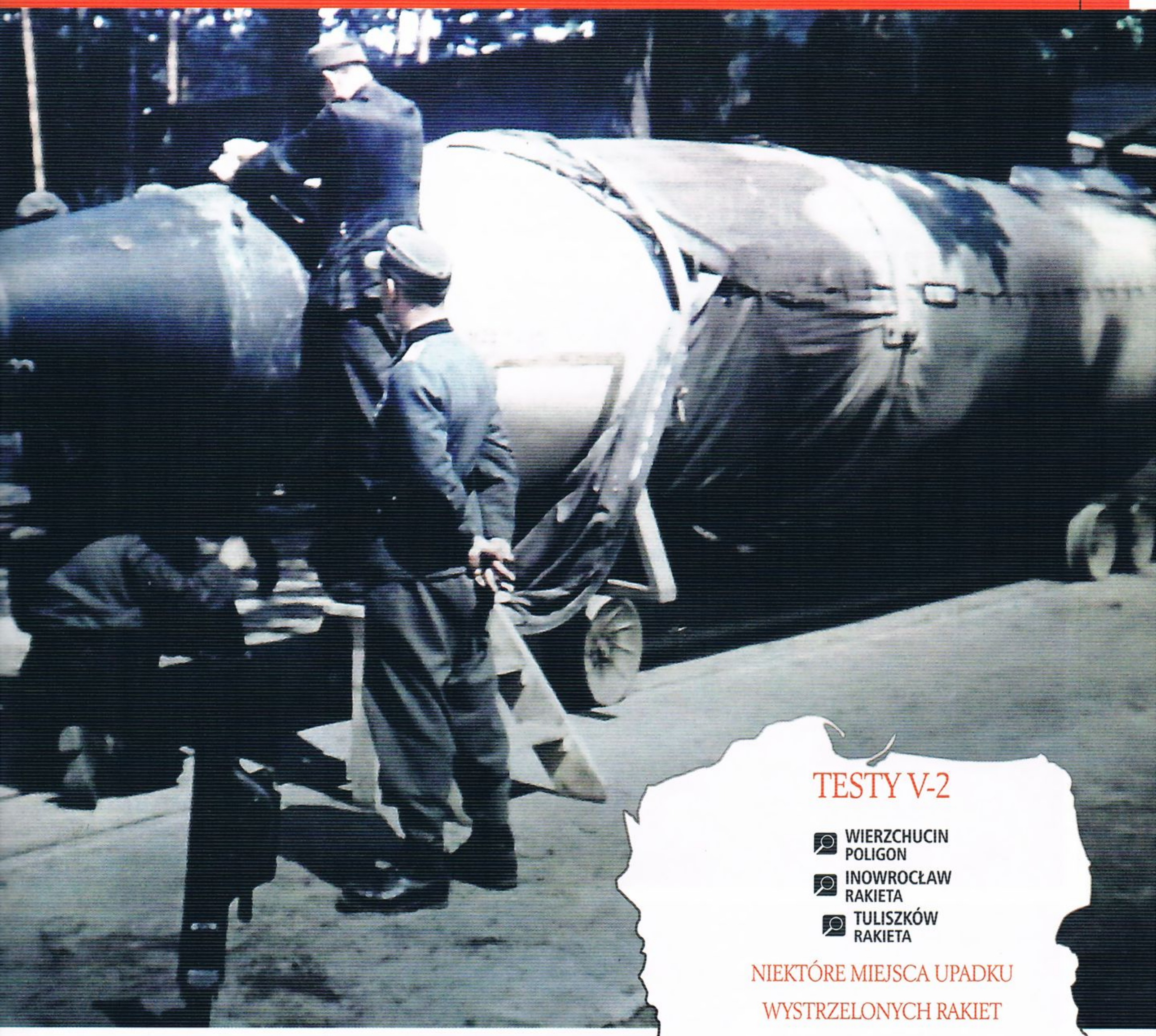

TESTY V-2

- WIERZCHUCIN POLIGON
- INOWROCŁAW RAKIETA
- TULISZKÓW RAKIETA

NIEKTÓRE MIEJSCA UPADKU WYSTRZELONYCH RAKIET

Natomiast kiedy się to zaczęło, nie jestem już pewien".

Dorośli sąsiedzi Barylskiego z okolicznych wiosek wspominali po wojnie, że pierwsi żołnierze niemieccy z obsługi poligonu rakietowego pojawili się w tej okolicy na początku lata 1944 roku. Wysiedlono mieszkańców wioski Suchom, a ich domy stały się kwaterami żołnierskimi. Drogi leśne przegrodzono szlabanami, a na bocznicy stacji Lindenbuch pojawiły się wagony z rakietami. Według niemieckiej dokumentacji, pierwszą rakietę V-2 wystrzelono stąd 31 lipca 1944 roku o godzinie 19:09. Start był udany. Przeleciała ona >>>

Miejsca upadku rakiet w okolicy Tuliszkowa.

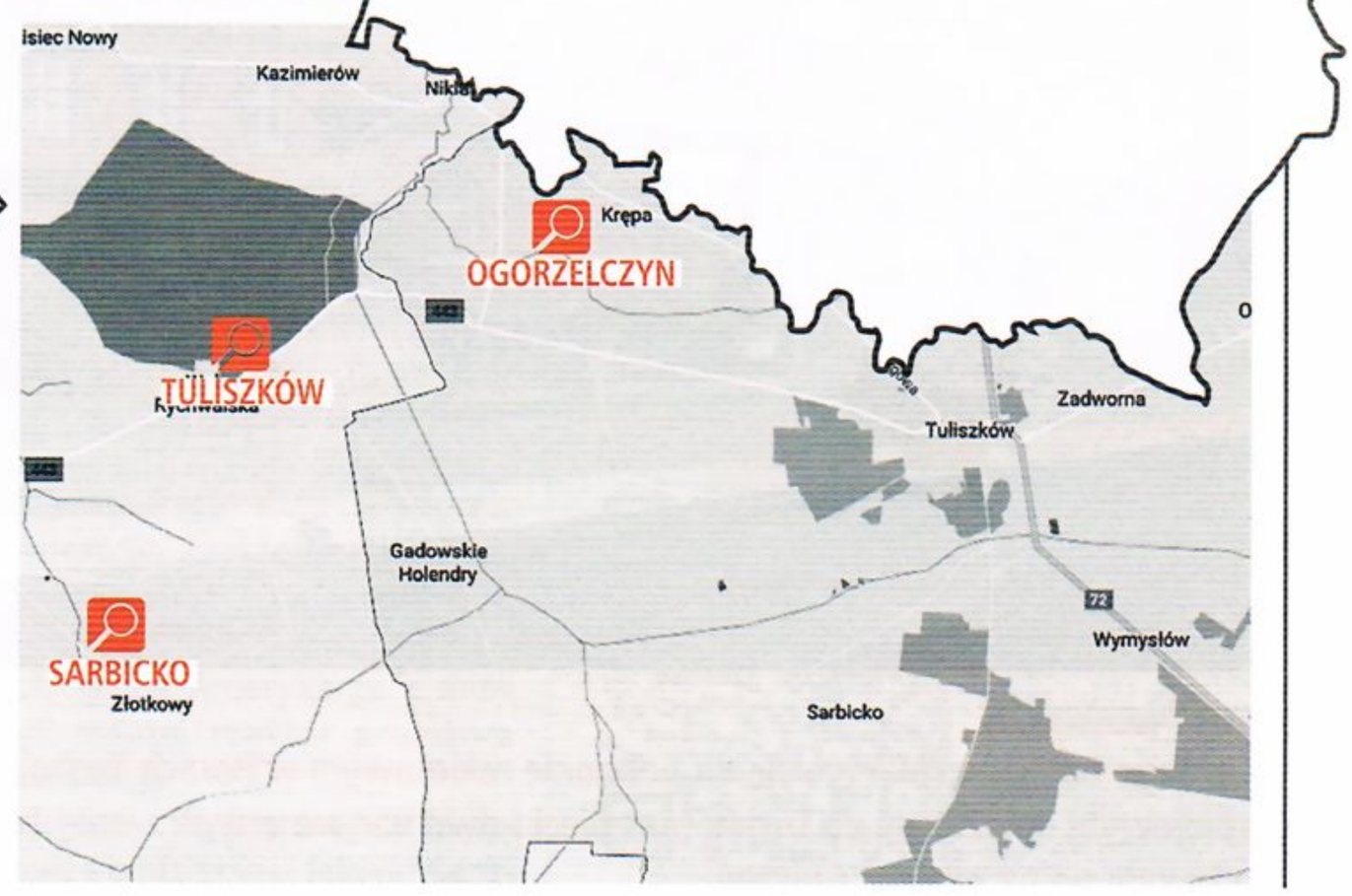

www.odkrywca.pl

>>> 265,1 kilometrów i od założonego celu zboczyła o prawie 10 kilometrów. Trzecia z wystrzelonych z poligonu Heidekraut rakiet, a było to 1 sierpnia 1944 roku krótko przed godziną 20, przeleciała zaledwie 1,6 kilometra i spadła na ziemię w wiosce Lischin (Lisiny) tuż koło zabudowań gospodarstwa Babińskich.

Krótko przedtem 14-letni Zygfryd Babiński wszedł do obory. Nagle zadrżały jej mury, a okolicą wstrząsnęła potężna eksplozja. Chłopak padł na podłogę. Gdy wszystko się uspokoiło, wyszedł z obory i zobaczył, że w odległości zaledwie 50 metrów znajduje się duży lej o średnicy mniej więcej 10 metrów, a wokół walały się jakieś metalowe szczątki.

„Podszedłem bliżej – wspominał Babiński, gdy w przedostatni dzień 1998 roku rozmawiałem z nim w Lisinach – i poczułem intensywny zapach alkoholu. Po kilkunastu minutach na miejscu eksplozji byli już Niemcy. Mimo zapadającego zmroku, rozpoczęli zbierać szczątki. W budynkach stojących w pobliżu leju szyby wyleciały z okien, a spadające odłamki poczyniły sporo szkód. Niemcy zresztą zobowiązali się je naprawić, ale gdy na Lisiny spadły kolejne rakiety, ewakuowano nas".

Lej po upadku rakiety V-2 1 sierpnia 1944 roku koło zabudowań Babińskich w Lisinach.

Obsługa baterii szkolących się na poligonie rakietowym w Borach Tucholskich transportem kolejowym dojeżdżały do Tuchel (na zdjęciu dworzec we współczesnej Tucholi), skąd piechotą udawały się na miejsce ćwiczeń.

Zygfryd Babiński przeżył tamten sierpniowy wieczór tylko dlatego, że pocisk V-2, który spadł koło gospodarstwa Babińskich, nie był uzbrojony w głowicę bojową, co w przypadku testowych rakiet nie było wcale regułą.

Strach Führera

Rakietowe testy przeprowadzano w drugiej połowie 1944 roku, a więc już w sytuacji, gdy od września pociski V-2 były w użyciu bojowym. Wielokrotnie – i wtedy, i po wojnie – zadawano pytanie, czy przeznaczenie drogich rakiet na kolejne strzały specjalne (Sonderschiessen) nie było aby zwykłym marnotrawstwem?

Komendant stacji doświadczalnej broni rakietowej w Peenemünde generał Walter Dornberger pisał po wojnie, że testy te miały za zadanie wypróbowanie zmodyfikowanych egzemplarzy V-2 dostarczanych z podziemnej montowni koło Nordhausen, lepsze poznanie działania poszczególnych ich mechanizmów i aparatury sterującej oraz zachowanie się rakiet z różnymi głowicami i ilością zatankowanego paliwa. Ważnym kryterium była też celność pocisków, co nie było ich mocną stroną. No i – odpowiadał Dornberger w swych powojennych wspomnieniach – próby potrzebne były również do szkolenia załóg wyrzutni.

Do śledzenia wystrzeliwanych z Borów Tucholskich rakiet startował specjalny samolot i ruszały patrole zmotoryzowane, które dokładnie oznaczały miejsca upadku poszczególnych V-2 i porównywały z wyznaczonym celem, a także miejsca te zabezpieczały przed gapiami i zbierały resztki pocisków. Liczono się również z ofiarami śmiertelnymi nie tylko wśród Polaków, ale także wśród mieszkających w Kraju Warty Niemców, o stratach materialnych już nie wspominając.

Jak zatem widać, w obliczu totalnej klęski Wielkoniemieckiej Rzeszy władze hitlerowskie gotowe były poświęcić i poświęcały wiele, by kolejne testy rakiet V-2 odbywały się bez przeszkód. W tej sytuacji trzeba

www.odkrywca.pl

zadać pytania: Czy Niemcom chodziło tylko o konwencjonalną broń rakietową? Czy może stawka była dużo wyższa…?

Rochus Misch zmarł w 2013 roku w wieku 96 lat. Był ostatnim żyjącym człowiekiem z grona tych, którzy w latach wojny służyli w Kwaterze Głównej Führera (FHQu). W stopniu oberscharführera (sierżanta) SS obsługiwał centralę telefoniczną, a doraźnie angażowano go też do innych zadań, choćby kurierskich. I właśnie Misch przypomniał sobie rozmowę z jednym z adiutantów Hitlera, który gdzieś pod koniec 1944 roku miał mu powiedzieć o spotkaniu Hitlera z ministrem Poczty Rzeszy Wilhelmem Ohnesorgem, członkiem starej gwardii nazistowskiej i jednym z bardziej wykształconych ministrów w jego rządzie. Ohnesorge był matematykiem i fizykiem oraz nie ukrywał, że Niemcy powinny dążyć do zdobycia własnej broni jądrowej, za pieniądze resortu finansując badania grupy młodych i zdolnych atomistów. Führer i jego minister – według Mischa – dyskutowali o użyciu bomby uranowej. Niemcy mieli mieć siedem takich bomb, ale Hitler odrzucił pomysł ich użycia, bojąc się zemsty aliantów. Oni – miał powiedzieć – „zgromadziliby 15 000 bombowców i załatwiliby całe Niemcy gazem trującym". A gazu Hitler bał się panicznie, mając uraz po poważnym zatruciu podczas pierwszej wojny światowej, gdy o mały włos nie stracił wzroku.

Nie da się zweryfikować słów Mischa. Trzeba pamiętać, że wypowiedział je starzec, mający za sobą tragiczne doświadczenia z radzieckiej niewoli. Na zapamiętane z lat służby w FHQu wydarzenia i rozmowy nałożyła się wiedza na ten temat z lat powojennych. Jest mało prawdopodobne, by Hitler mówił o bombach uranowych (Uranbomben). Zapewne – jeśli Misch czegoś nie przekręcił – użył on innego określenia. Jak po wojnie twierdził jeden ze stenografów nocnych monologów Hitlera, doktor Henry Picker, Führer mówił o Uraniumbomben, pod którym to określeniem kryła się jakaś nowa, ale nie atomowa broń.

Od ludzi z najbliższego otoczenia Hitlera Misch miał usłyszeć, że Führer uważa, że prawdziwym zagrożeniem dla aliantów będzie dopiero połączenie >>>

fot. Leszek Adamczewski, arch. autora

POSZUKIWANIA BOMBY HITLERA

W najlepszym czasie antenowym latem 2015 roku drugi program niemieckiej telewizji publicznej (ZDF) wyemitował zrealizowany przez Andreasa Sulzera, Stefana Brauburgera i Christiana Frey'a film dokumentalny „Die Suche nach Hitlers Atombombe" („W poszukiwaniu bomby atomowej Hitlera"). Już zapowiedzi antenowej projekcji tego filmu wywołały krytykę niemieckiej prasy, głównie prawicowej. Rzesza Hitlera nie miała bomby atomowej – grzmieli dziennikarze i wtórujący im historycy.

Posiłkując się zdjęciami ze starych kronik filmowych i domowych archiwów oraz sekwencjami inscenizowanymi, wspierając się opiniami historyków (między innymi Marka Walkera z USA, Reinera Karlscha i Matthiasa Uhla z Niemiec oraz Władimira Sacharowa z Rosji) twórcy filmu próbowali udowodnić, że Niemcy pod koniec wojny mieli broń jądrową, która jednak siłą rażenia i wielkością zasadniczo różniła się od tych bomb atomowych, które spadły na Hiroszimę i Nagasaki. I o poszukiwaniach tejże broni jest to film.

Za pomocą animacji komputerowej i scen z udziałem statystów w filmie odtworzono jedną z testowych eksplozji na poligonie koło Ohrdrufu w Turyngii w marcu 1945 roku, by stamtąd przenieść się na poligon w Hillersleben koło Magdeburga, skąd penetrujący ten teren amerykański pułkownik Keck raportował do Waszyngtonu: „Znalazłem tutaj dowody, że Niemcy zaszli bardzo daleko, dzięki czemu zbliżyli się do celu, jakim było skonstruowanie bomby atomowej". Z Hillersleben przenosimy się do podberlińskiego Kummersdorfu, gdzie doświadczenia reaktorowe prowadził doktor Kurt Diebner z Urzędu Uzbrojenia Wojsk Lądowych Wehrmachtu oraz do Haigerloch, gdzie Amerykanie z misji ALSOS odkryli ostatni reaktor profesora Wernera Haisenberga.

W drugiej części filmu jego twórcy zabierają widzów w okolice podziemnej fabryki Bergkristall koło austriackiej miejscowości Sankt Georgen, gdzie pod koniec wojny Niemcy produkowali samoloty Me262. Uczestniczymy tam w poszukiwaniach „zagubionych" sztolni o łącznej długości dochodzącej do 40 kilometrów, gdzie miano produkować broń jądrową. Podziemia te w latach 2013–2015 namierzyła georadarem Birgit Kühnast. Historia ta przypomina nieco niedawne poszukiwania mitycznych podziemi pod Walimiem w Górach Sowich…

O spiskową teorię dziejów ociera się natomiast opowieść zaproszonego przed kamerę ZDF doktora Johna Richardsona. Jego ojciec Donald był oficerem wywiadu amerykańskiego OSS, czyli Office of Strategic Service. Przed śmiercią zdradził synowi, że żołnierzom US-Army udało się ująć obergruppenführera SS i generała Waffen SS doktora inżyniera Hansa Kammlera (nadzorował on program rakietowy hitlerowskich Niemiec), który zaoferował Amerykanom 70 kilogramów uranu schowanego w sztolniach wspomnianej fabryki Bergkristall. Po przetransportowaniu do USA Kammler był poddawany ostrym przesłuchaniom i w tamtejszym więzieniu w 1947 roku miał popełnić samobójstwo.

To piramidalna bzdura. Gotowi do współpracy z Amerykanami naziści z połowy XX wieku komuś pomylili się z arabskimi terrorystami z początku XXI wieku.

Poszukiwacze z ZDF bomby atomowej Hitlera nie znaleźli. W umysłach wielu telewidzów zasiali jednak wątpliwości.

OBEJRZYJ FILM

„W poszukiwaniu bomby atomowej Hitlera" – 43 min, język niemiecki, możliwość włączenia napisów w jęz. niemieckim.

www.odkrywca.pl

>>> nowej broni z rakietami V-2. Rakiety te oglądał on latem 1943 roku w „Wilczym Szańcu", gdy Walter Dornberger i Wernher von Braun wyświetlili mu kolorowy film przedstawiający testy w Peenemünde. Czyżby Niemcy – za aprobatą Hitlera – przygotowywali się do startu rakiety V-2 z głowicą nieznanej nam dziś broni? Wiadomo, że latem 1944 roku w rozmowie z wysłannikiem regenta Węgier generałem Bela Miklósem i rumuńskim dyktatorem marszałkiem Ionem Antonescu Hitler broń tę nazywał V-4. Miał to być całkowicie nowy materiał wybuchowy, który w promieniu od 3 do 4 kilometrów od miejsca uderzenia zniszczy wszelkie ludzkie istnienie.

Ostatnie strzały specjalne

Poligon Heidekraut funkcjonował do połowy stycznia 1945 roku, gdy w warunkach srogiej zimy został ewakuowany w okolice Wolgastu w prowincji pomorskiej Rzeszy (dzisiaj to terytorium RFN). Według niemieckiej dokumentacji, ostatnią rakietę V-2 wystrzelono 11 stycznia. Walter Dornberger, który przez lornetkę obserwował jej start i kilka minut lotu, napisał, że było to w nocy, krótko po godzinie 23:00. Celem tej rakiety były lasy koło Pokrzywniaka na południe od Błaszek na ziemi sieradzkiej. Faktycznie poleciała ona kilometr dalej i zboczyła z kursu aż o 8 kilometrów.

Na te okolice Kraju Warty – albo w rejon wspomnianego Pokrzywniaka, albo nieco dalej na południe, w rejon Lututowa – spadło wiele rakiet wystrzeliwanych z okolic Wierzchucina. Pokonywały one odpowiednio 225 lub 245 kilometrów w linii prostej.

Jeśli mieszkańcy tych okolic, a rozmawiałem z nimi na początku 2000 roku, dobrze zapamiętali wydarzenia ostatnich dni wojny, jedna z rakiet 7 stycznia 1945 roku spadła na wioskę Dzięcioły niedaleko wymienionych wyżej miejscowości.

„Mogło być koło szóstej wieczorem – wspominał mieszkaniec tej wioski, Tadeusz Pietrucha. – Gdy spadł ten pocisk, nie było silnej eksplozji. Tylko świst i huk. Wybiegłem z chałupy. A tu ciemno i mglisto. Ludzie krzyczą, że to świństwo spadło na dom Desków. Po minucie byłem na miejscu. Cały dom zniszczony. Z ruin wynieśliśmy na prześcieradle Deskową. Już nie żyła. Jej mąż dawał jeszcze znaki życia, ale zmarł w drodze do szpitala w Kaliszu. Ich małe dzieci uratował masywny stół, pod którym się właśnie bawiły. To nie był jedyny pocisk, który uderzył w Dzięcioły. Wcześniej co najmniej kilka z nich spadło na pola i lasy otaczające naszą wioskę. Po każdej eksplozji nad Dzięciołami pojawiał się mały samolot. Przylatywali nim Niemcy, którzy lokalizowali miejsca upadku pocisków. Później przyjeżdżały samochody ciężarowe, na które ładowano to, co z nich zostało. Raz nawet pomagałem Niemcom szukać miejsca, gdzie spadł pocisk. W tej ekipie był ktoś, kto mówił po polsku. Spojrzał na mapę i powiedział, że pocisk poszedł o 7 kilometrów za daleko…

Filmowa wizja podziemi

Nieco ponad dwa miesiące później, 16 marca 1945 roku, doszło do zagadkowego wydarzenia. Wspominała o tym Cläre Werner, mieszkanka zamku Wachsenburg w Turyngii. Tegoż dnia późnym wieczorem, a właściwie już w nocy, na zamkowej wieży pojawiły się osoby z Rady Badań Naukowych Rzeszy. Towarzyszył im przyjaciel pani Werner, Hans Rittermann, który – według jej słów – był „pełnomocnikiem do spraw projektów specjalnych Poczty Rzeszy i Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu". Panowie mieli lornetki i patrzyli w stronę Ichtershausen, w którego rejonie znajdowała się niewielka fabryka zbrojeniowa Muna Rudisleben.

„Około jedenastej zrobiło się bardzo jasno, coś wzbiło się w niebo, ciągnąc za sobą długi warkocz ognia, wznosiło się i kierowało na północ. Hans Rittermann powiedział, że nie wolno nam wspominać o tym, co widzieliśmy" – mówiła Cläre Werner.

Jej słowa zinterpretowano w ten sposób, że widziała ona start międzykontynentalnej rakiety A-9/A-10 uzbrojonej w jakąś prymitywną głowicę jądrową. To niemożliwe. Prace nad tą dwustopniową rakietą nie wyszły bowiem ze stadium projektowania, a fabryka Muna Rudisleben nie miała gigantycznych podziemi na wzór tych, które wyczarował Michael Anderson w zrealizowanym w połowie lat 60. XX wieku wielkim widowisku filmowym z Sophią Loren w roli głównej „Operacja KUSZA". Tam rzeczywiście niemieccy uczeni pracowali nad rakietą, która miała dolecieć do Nowego Jorku. Ale to tylko filmowa fantazja. Niemcy nie mieli A-9/A-10. Jeśli jednak start rakiety V-2, bo inna nie mogła wchodzić w rachubę, obserwowały tuzy z Rady Badań Naukowych Rzeszy, to musiał to być jakiś pocisk niezwyczajny. A więc uzbrojony w nietypową głowicę bojową: albo jakąś namiastkę broni jądrowej, o której mowa jest w zrealizowanym przez ZDF w 2015 roku filmie dokumentalnym „Die Suche nach Hitlers Atombombe" [informacja na poprzedniej stronie], albo mieszaninę drobno zmielonego pyłu węglowego i ciekłego powietrza w proporcji 40 do 60 procent lub też podobny w działaniu ładunek nadciśnieniowy, o którym podczas internowania w Farm Hall wspominał profesor Werner Heisenberg.

Historia milczy, dokąd poleciała ta rakieta i czy głowica bojowa w ogóle zadziałała. Jedno wszelako nie ulega wątpliwości. Po to, by ją wystrzelić, potrzebne były testy z poligonu w Borach Tucholskich. Ale na jakiś militarny sukces choćby tylko o znaczeniu taktycznym Niemcom zabrakło już czasu. <

Leszek Adamczewski

Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor ponad 20 książek, cieszących się wielkim zainteresowaniem czytelników, poświęconych tajemniczym zdarzeniom z czasów II wojny światowej. W czerwcu ubiegłego roku ukazała się „Klęska gauleitera. Sensacje z Kraju Warty". Wkrótce ukaże się najnowsza książka „Prusy w ogniu".

Najbardziej merytoryczny magazyn historyczny w Internecie

Histmag.org to najświeższe newsy, rzetelne artykuły popularnonaukowe, wnikliwe recenzje i zajmująca publicystyka. Wszystko co najlepsze w papierowych czasopismach, dzięki nam znajdziesz także online. Całkowicie za darmo!

HISTMAG.ORG

Łączy nas historia!
www.histmag.org

Książka już w sprzedaży!

Polecamy także m.in.:

almapress

Alma-Press, ul. Lędzka 44a, 01-446 Warszawa
tel. (22) 877 27 04
e-mail: alma@almapress.com.pl
www.almapress.com.pl

RAJD RADZIECKIEJ GRUPY ROZPOZNAWCZEJ W KIERUNKU GROSZOWIC NAD ODRĄ

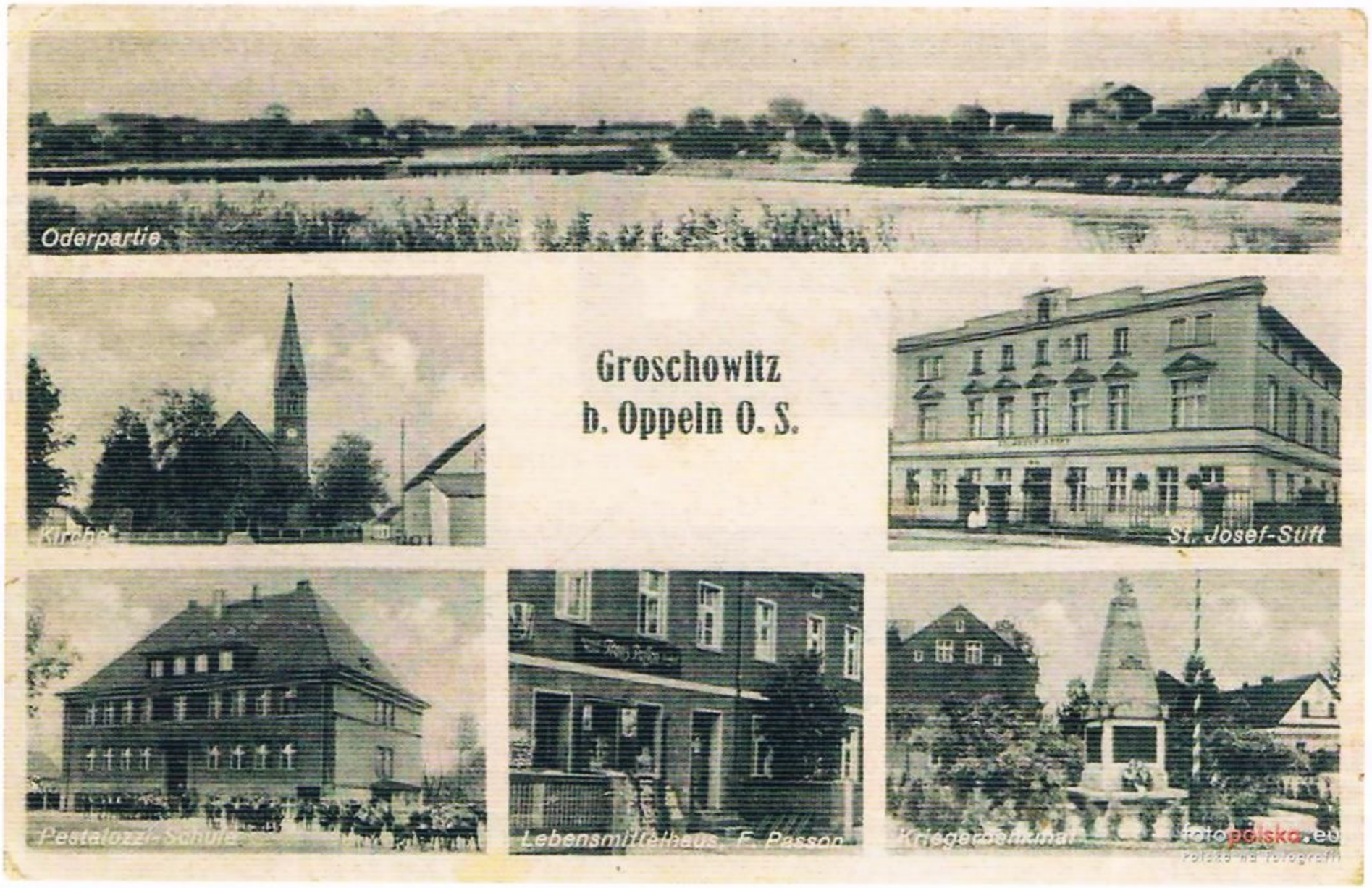

MACIEJ SZCZEREPA

Rajd ten zdecydował o niespodziewanie szybkim zdobyciu śluzy i przyczółku na zachodnim brzegu Odry.

W styczniu 1945 roku wojska 1 Frontu Ukraińskiego w szybkim tempie zmierzały ku Odrze. W szeregach frontu walczyła 3 Armia Pancerna Gwardii, która po przekroczeniu dawnej granicy polsko–niemieckiej otrzymała w dniu 21 stycznia 1945 roku rozkaz natarcia w kierunku Opola i zdobycia przyczółka na zachodnim brzegu Odry na odcinku Groszowice – Zimnice Wielkie. Dowódca armii, generał pułkownik Paweł Rybałko, powierzył to zadanie 7 Korpusowi Pancernemu Gwardii generała majora Siergieja Iwanowa. Miał on wykonać energiczne uderzenie na ogólnym kierunku Murów, Biadacz, Chrząstowice, zlikwidować cofającego się przeciwnika i do końca 22 stycznia zdobyć Chrząstowice oraz Tarnów Opolski, a następnie nawiązać kontakt z 31 Korpusem Pancernym działającym w rejonie Strzelec Opolskich.

Groszowice na dawnej pocztówce sprzed 1945 roku.

Istotnym elementem tego zadania było opanowanie przez czołowy oddział korpusu przeprawy i śluzy w rejonie Groszowic oraz utworzenie przyczółku na zachodnim brzegu Odry. Przyjrzyjmy się zatem, jak wyglądała realizacja tego punktu zadania.

www.odkrywca.pl

W godzinach wieczornych 21 stycznia 1945 roku wchodząca w skład 7 Korpusu Pancernego Gwardii 54 Brygada Pancerna Gwardii, dowodzona przez pułkownika Iwana Czugunkowa, złamała opór 133 Zapasowego Pułku Grenadierów i opanowała miejscowość Pokój, po czym przeszła do obrony okrężnej, oczekując na dalsze rozkazy. Te z dowództwa korpusu nadeszły bardzo szybko. Zgodnie z nowymi wytycznymi Czugunkow został wyznaczony na dowódcę grupy bojowej, w skład której – oprócz jego brygady – weszły między innymi następujące formacje: 1419 Pułk Artylerii Pancernej (dowódca: major Wiaczesław Szczawliński), 23 Brygada Zmotoryzowana Gwardii (dowódca: pułkownik Aleksander Gołowaczew) oraz kompania saperów 121 Samodzielnego Batalionu Saperów. Jej zadaniem było uderzenie w kierunku Groszowic, zdobycie przeprawy, śluzy na Odrze oraz przyczółka na zachodnim brzegu rzeki. Rosjanie do przebycia mieli ok. 25 km w terenie bronionym przez oddziały niemieckie. Całość sił podzielono na kilka części. Z przodu podążała grupa rozpoznawcza, pełniąca rolę „oczu i uszu" całego zgrupowania.

Grupa rozpoznawcza wchodzi do akcji

Na dowódcę grupy rozpoznawczej został wyznaczony doświadczony frontowiec i zwiadowca major Kirył Konoplicki. Był on szefem wydziału rozpoznawczego w brygadzie Czugunkowa. W skład oddziału rozpoznawczego weszły trzy czołgi T–34/85 z desantem fizylierów na pancerzu (po 15 na każdym czołgu), dwa transportery opancerzone, trzy motocykle, grupa zwiadowców i saperów oraz dwóch żołnierzy – specjalistów z rozpoznania chemicznego.

Akcja rozpoczęła się około południa 22 stycznia 1945 roku. Jako pierwsza ruszyła grupa rozpoznawcza. Podążała ona kilka kilometrów przed głównymi siłami, rozpoznając teren i siły przeciwnika. Utrzymywano łączność radiową. Oddział Konoplickiego wyruszył z Pokoju szosą w kierunku Biadacz, gdzie zamierzał przeprawić się przez Małą Panew.

Na początku operacji radziecka grupa rozpoznawcza poruszała się bez większych problemów. W mijanych miejscowościach (Krzywa Góra, Kup, Świerkle, Biadacz) nie zetknięto się z żadnym oporem ze strony Niemców. Drogi, którymi poruszała się grupa Konoplickiego, były drożne. Niemcy nie wysadzili także mostów na tym odcinku, o czym oczywiście drogą radiową poinformowano dowództwo brygady. Pierwszy poważny problem pojawił się po minięciu Biadacz, gdy pojazdy grupy rozpoznawczej dotarły około godziny 16.00 do Małej Panwi, w rejonie Folwarku Krzyżowskiego.

Major Kirył Konoplicki.

Okazało się, że tutejszy most został przez Niemców wysadzony, a warunki terenowe uniemożliwiały przeprawę grupy. O zaistniałej sytuacji poinformowano dowództwo brygady. Ostatecznie major skierował grupę na Osowiec, aby następnie skręcić w kierunku na Węgry. Zwiadowcom tym razem dopisało szczęście. Most na Małej Panwi był w nienaruszonym stanie i został przez nich błyskawicznie opanowany. Grupa rozpoznawcza osiągnęła wieś Węgry, gdzie została zaatakowana przez niemieckie lotnictwo. Atak lotniczy zbiegł się z ostrzałem wsi i dopiero co zajętego mostu przez niemieckie wyrzutnie rakietowe Nebelwerfer. Ich stanowiska znajdowały się na północnym skraju zagajnika, 2 km na południe od Węgier. Grupie Konoplickiego udało się bez strat opuścić sektor ostrzału.

Akcja była kontynuowana, a zwiadowcy skierowali się na Zawadę. Szybko jednak okazało się, że kierunek ten jest zabezpieczony przez Niemców. W rejonie Zawady radzieckie pojazdy natknęły się na niemiecką zasadzkę. Według Rosjan uczestniczyły w niej cztery niemieckie Pantery. Niemcy zauważyli zwiadowców i ich ostrzelali. Konoplicki nie ryzykował starcia. Nakazał zmienić trasę i grupa rozpoznawcza odeszła na Kotórz Mały, gdzie natknęła się na kolejną zasadzkę, tym razem artyleryjską. Na miejscowej stacji kolejowej stanowiska ogniowe zajmowały cztery działa 88 mm, które otworzyły ogień w kierunku radzieckiego zgrupowania. Jeden radziecki transporter opancerzony został trafiony, ale pozostałe pojazdy na pełnej prędkości przemieściły się w kierunku Kotórza Wielkiego, aby następnie skryć się w kompleksie leśnym na południe od tej wsi.

Po konsultacjach drogą radiową z dowództwem brygady grupa rozpoznawcza otrzymała rozkaz kontynuowania zadania i skierowania się na Groszowice przez Chrząstowice. Do sztabu przekazano też informacje o zasadzkach niemieckich. >>>

Radzieckie czołgi T-34 z desantem fizylierów.

fot. www.fotopolska.eu, www.warbutin.ru

www.odkrywca.pl

>>> Około godziny 23.00 22 stycznia 1945 roku radziecka grupa rozpoznawcza, przemieszczając się leśnymi drogami, osiągnęła rejon Niwki, gdzie została ostrzelana przez baterię moździerzy. Rosjanie obeszli jej pozycje i około północy zbliżyli się do Chrząstowic. Przejazd przez wieś nie był jednak możliwy. W północnej i północno-wschodniej części Chrząstowic rozłożona była niemiecka piechota. W okolicach kościoła pojazdy radzieckie natknęły się na zorganizowany opór i zmuszone zostały do wycofania się na przedpole wsi. Po zajęciu bezpiecznych pozycji w kierunku zabudowań wysłano pieszy zwiad z zadaniem zdobycia tzw. „języka". Akcja zakończyła się sukcesem. Na północnym skraju Chrząstowic schwytano niemieckiego żołnierza, którego doprowadzono do dowództwa grupy rozpoznawczej, przesłuchano, a następnie prawdopodobnie zlikwidowano. Jeniec należał do 5 Batalionu Zapasowego. Zeznał, że liczy on około 600 żołnierzy i otrzymał zadanie obrony Chrząstowic. Zdobyte informacje natychmiast drogą radiową przekazano do dowództwa brygady.

Opanowanie śluzy na Odrze i zdobycie przyczółka

Major Konoplicki ze względu na sytuację w Chrząstowicach musiał ponownie zmienić trasę swojej grupy. Dowództwo ponaglało go do działania, nakazując osiągnięcie Odry przed świtem 23 stycznia 1945 roku. Grupa rozpoznawcza 54 Brygady Pancernej Gwardii obeszła bronione Chrząstowice i o godzinie 6.30 wyszła w pobliżu Falmirowic. Tu po raz kolejny Niemcy zmusili Rosjan do zmiany planów. Okazało się bowiem, że na północno-wschodnim przedpolu tej wsi zorganizowali zasadzkę złożoną z dwóch czołgów i jednego działa szturmowego. I tym razem major Kirył Konoplicki nie zaryzykował starcia. Jego grupa bojowa ominęła wieś i półtorej godziny później osiągnęła okolice Maliny (obecnie dzielnica Opola). Była

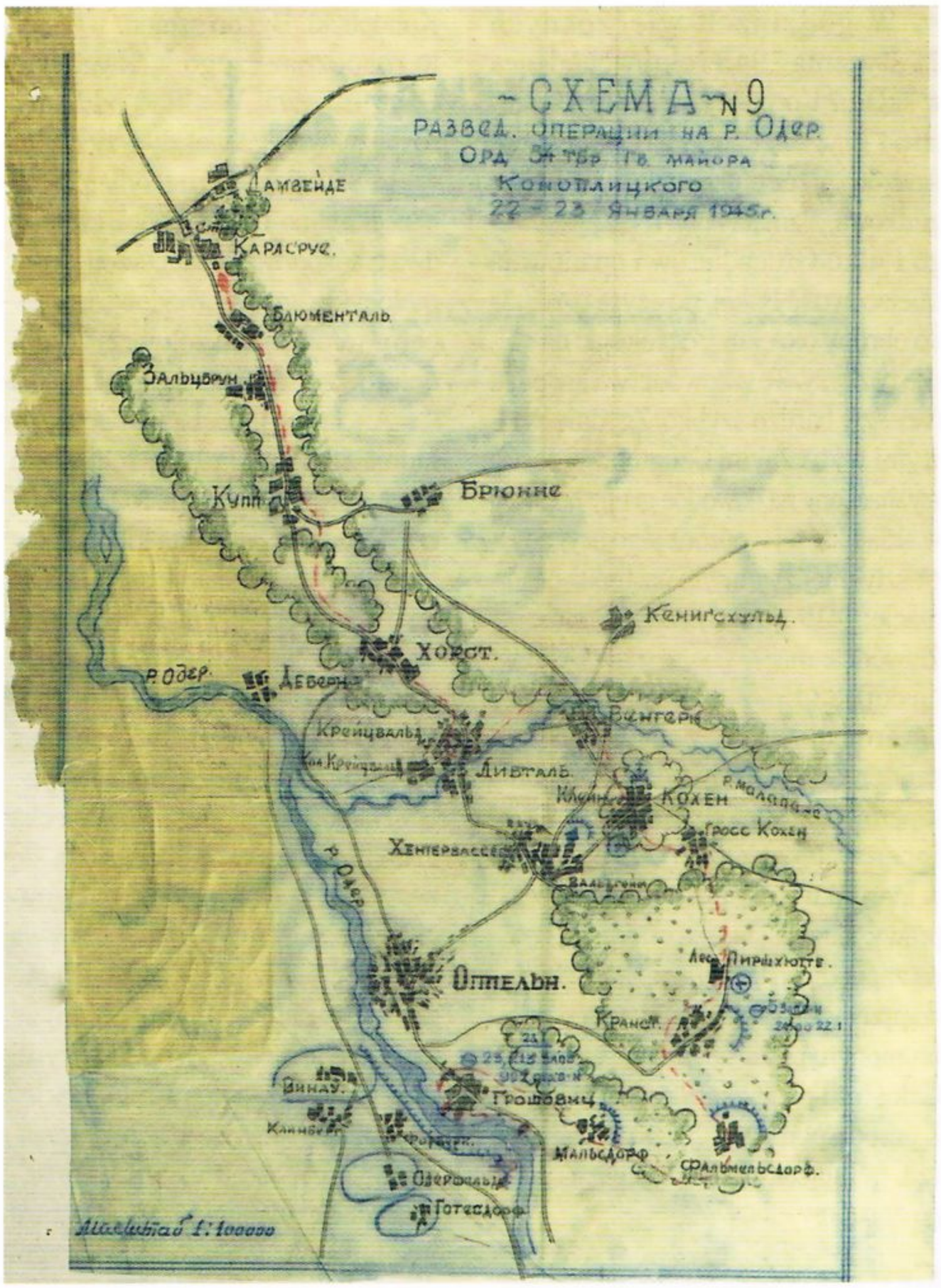

Mapka archiwalna przedstawiająca rajd grupy rozpoznawczej majora Konoplickiego w kierunku Odry w dniach 22-23 stycznia 1945 roku.

to ostatnia wieś na drodze do Groszowic. Rosjanie na dużej prędkości wjechali do wsi (na czele jechały czołgi), rozpędzając nielicznych żołnierzy niemieckich, a następnie, wykorzystując element zaskoczenia, o 8.30 wdarli się do Groszowic i skierowali w stronę śluzy. Garnizon Groszowic, złożony z co najmniej dwóch batalionów piechoty, jeszcze spał. Nagłe pojawienie się czerwonoarmistów spowodowało wybuch paniki. Niemcy wybiegli z budynków i otworzyli chaotyczny, ale niecelny ogień. Rosjanie tymczasem wykorzystali sytuację i podeszli do śluzy na Odrze, której broniło 20 żołnierzy z dwoma kaemami i jednym działem przeciwlotniczym. Z informacji charakteryzujących postawę majora Konoplickiego w czasie wykonywania tego zadania wynika, że była ona przygotowana przez Niemców do wysadzenia. Atak Rosjan był tak szybki i zaskakujący, że ochrona śluzy nie zdołała jej wysadzić, a sama została zlikwidowana bądź rozproszona. Śluzę zabezpieczyli zwiadowcy.

Tymczasem główne siły 54 Brygady Pancernej Gwardii, które podążały 5–6 km za grupą rozpoznawczą, zostały poinformowane stosownym radiogramem o sytuacji w Groszowicach. Czołgi Czugunkowa o godz. 9.50 uderzyły na Groszowice i je opanowały. Za 54 Brygadą Pancerną Gwardii podążała 23 Brygada Zmotoryzowana Gwardii. Miejscowości – jak wynikało z zeznań wziętych do niewoli Niemców – broniły elementy 23 i 213 Batalionów Zapasowych oraz 660 Batalionu Ochrony.

Zanim główne siły uderzyły i opanowały Groszowice, grupa czerwonoarmistów na czele z majorem

fot. AMO FR

www.odkrywca.pl

RAJD GRUPY MAJORA KIRYŁA KONOPLICKIEGO

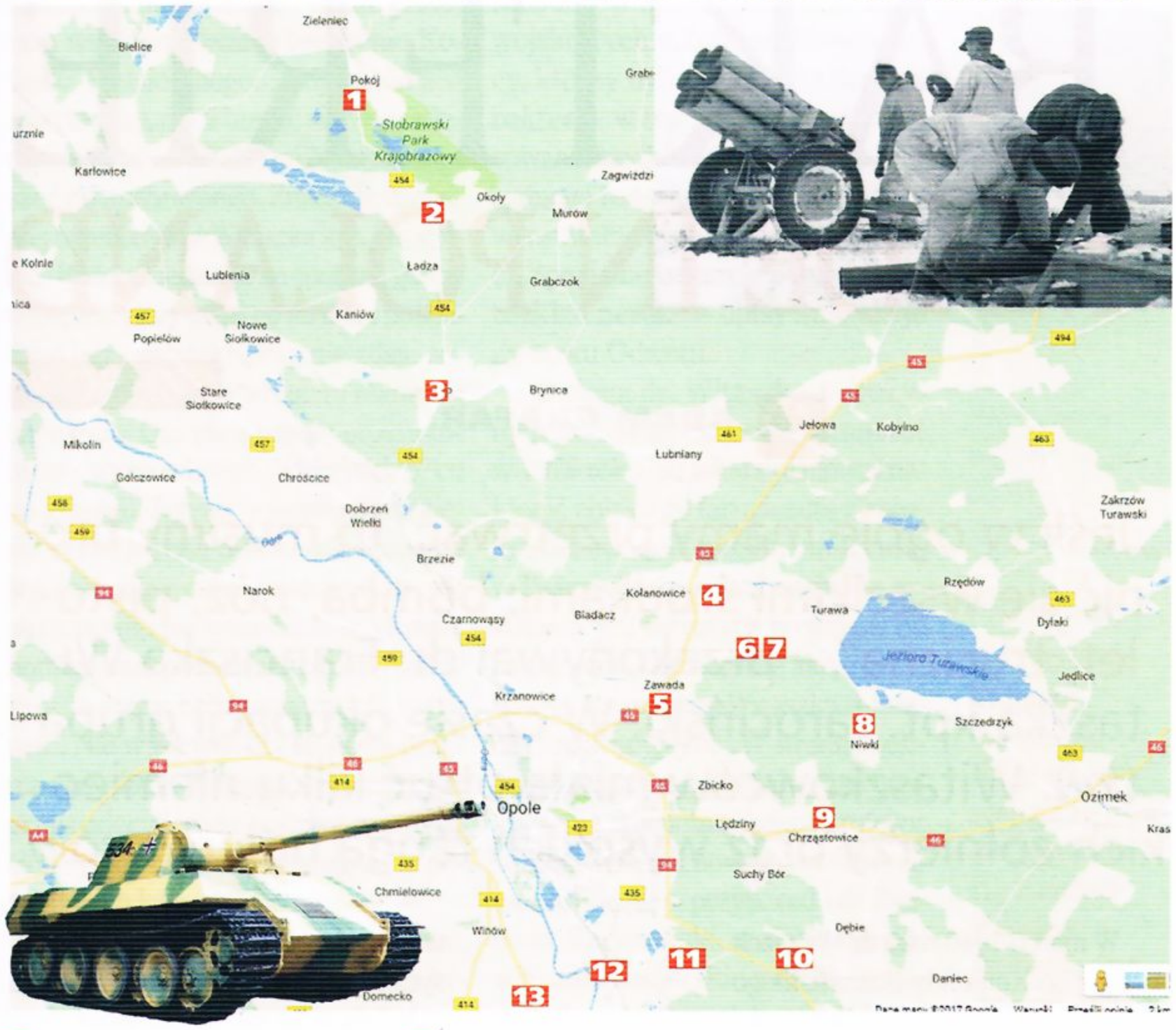

1 Pokój – w godzinach wieczornych 21 stycznia 1945 roku dowodzona przez płk. Iwana Czugunkowa jednostka złamała opór 133 Zapasowego Pułku Grenadierów i opanowała miejscowość Pokój, po czym przeszła do obrony okrężnej, oczekując na dalsze rozkazy.

2 Krzywa Góra, Kup, Świerkle, Biadacz – w tym kierunku około południa 22 stycznia 1945 roku ruszyła grupa rozpoznawcza. W Biadaczu zamierzała przeprawić się przez Małą Panew.

3 Folwark Krzyżowski – ok. godz. 16.00. Okazało się, że tutejszy most został przez Niemców wysadzony, a warunki terenowe uniemożliwiały przeprawę grupy. Dowódca kieruje grupę na Osowiec, aby następnie skręcić w kierunku na Węgry.

4 Węgry – grupa rozpoznawcza osiągnęła wieś, gdzie została zaatakowana przez niemieckie lotnictwo. Atak lotniczy zbiegł się z ostrzałem wsi i dopiero co zajętego mostu przez niemieckie wyrzutnie rakietowe Nebelwerfer. Ich stanowiska znajdowały się na północnym skraju zagajnika, 2 km na południe od Węgier. W efekcie zwiadowcy kierują się na Zawadę.

5 Zawada – natknięto się na niemiecką zasadzkę. Według Rosjan uczestniczyły w niej cztery niemieckie „Pantery". Niemcy zauważyli zwiadowców i ich ostrzelali. Konoplicki nie ryzykował starcia. Nakazał zmienić trasę na Kotórz Mały.

6 7 Kotórz Mały – na stacji kolejowej znajdowały się cztery działa 88 mm, które otworzyły ogień w kierunku radzieckiego zgrupowania. Jeden radziecki transporter opancerzony został trafiony, ale pozostałe pojazdy na pełnej prędkości przemieściły się w kierunku Kotórza Wielkiego, aby następnie skryć się w kompleksie leśnym na południe od tej wsi.

8 Niwki – ok. godziny 23.00 22 stycznia grupa rozpoznawcza, przemieszczając się leśnymi drogami, osiągnęła rejon Niwki, gdzie została ostrzelana przez baterię moździerzy. Rosjanie obeszli jej pozycje w kierunku Chrząstowic.

9 Chrząstowice – we wsi rozłożona była niemiecka piechota. W okolicach kościoła pojazdy radzieckie natknęły się na zorganizowany opór i zmuszone zostały do wycofania się na przedpole wsi. Po zajęciu bezpiecznych pozycji w kierunku zabudowań wysłano pieszy zwiad z zadaniem zdobycia tzw. „języka". Akcja zakończyła się sukcesem.

10 Falmirowice – grupa rozpoznawcza o godzinie 6.30 23 stycznia wyszła w pobliżu Falmirowic. Okazało się, że na północno–wschodnim przedpolu tej wsi zorganizowali zasadzkę złożoną z dwóch czołgów i jednego działa szturmowego. Grupa bojowa ominęła wieś i półtorej godziny później osiągnęła okolice Maliny.

11 Maliny – Rosjanie na dużej prędkości wjechali do wsi, a następnie, wykorzystując element zaskoczenia, o 8.30 wdarli się do Groszowic.

12 Groszowice – atak Rosjan był tak szybki, że ochrona śluzy nie zdołała jej wysadzić, a sama została zlikwidowana bądź rozproszona. Śluzę zabezpieczyli zwiadowcy.

13 Chrzowice – godz. 9.30 Rosjanie przeprawili się po śluzie, przenosząc jedno zdobyczne działo na zachodni brzeg Odry, gdzie przejęła transzeję niemiecką w pobliżu Chrzowic. Czołgi grupy rozpoznawczej zajęły stanowiska bojowe na wschodnim brzegu Odry, naprzeciwko wsi Folwark.

Konoplickim o godz. 9.30 przeprawiła się po śluzie, przenosząc jedno zdobyczne działo na zachodni brzeg Odry, gdzie przejęła transzeję niemiecką w pobliżu Chrzowic. Czołgi grupy rozpoznawczej zajęły stanowiska bojowe na wschodnim brzegu Odry, naprzeciwko wsi Folwark.

Tymczasem na zachodnim brzegu Odry Niemcy zaalarmowani wydarzeniami w Groszowicach pośpiesznie szykowali się do kontrataku. Ich oddziały skoncentrowane w miejscowościach Winów, Chrzowice, Boguszyce z rana miały obsadzić pozycje nad Odrą, ale się spóźniły. Zauważywszy Rosjan na zachodnim brzegu rzeki, hitlerowcy rozpoczęli zaciekłe kontrataki z Winowa i Chrzowic z zadaniem oczyszczenia z Rosjan tego odcinka. Okazały się one nieskuteczne. Wspomagani ogniem czołgów czerwonoarmiści odparli je, a o godz. 10.00 przez śluzę przeprawił się batalion 23 Brygady Zmotoryzowanej Gwardii, który nie tylko wzmocnił obronę, ale także zdołał nieco rozszerzyć przyczółek do nadejścia sił głównych. <

Maciej Szczerepa
Historyk, regionalista i publicysta. Zainteresowania: działania militarne na Śląsku i Łużycach w 1945 roku. Współautor książek „Bóbr 1945. Za liniami wroga", „Legnica 1945" .

ŹRÓDŁA I LITERATURA:

1. Materiały Archiwum Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej (AMO FR):
– Działania 2 Batalionu 54 Brygady Pancernej Gwardii podczas zdobycia Groszowic i przepraw na rzece Odrze,
– Dziennik działań bojowych 3 Armii Pancernej Gwardii,
– Dziennik działań bojowych 54 Brygady Pancernej Gwardii,
– Raport bojowy sztabu 3 Armii Pancernej Gwardii z 23.01.1945 r.,
– Sprawozdanie o organizacji i działaniach bojowych rozpoznania w śląskiej operacji zaczepnej 3 Armii Pancernej Gwardii w dniach 12.01.–2.02.45 r.

2. GUNTER GEORG, **Ostatni wawrzyn. Geneza i dzieje walk na Górnym Śląsku od stycznia do maja 1945 roku**, Oświęcim 2016.

http://tankfront.ru/

www.odkrywca.pl

BAKTERIE MADE IN POLAND

CZĘŚĆ 2

ADAM GAAFAR

„Jeśli w ogóle mamy przetrwać, to musimy bronić się wszelkimi środkami: bomba, nóż, pistolet, trucizna" – przekonywał dr. Franciszka Witaszka kpt. Jarociński. W czasie okupacji grupa tzw. Witaszkowców miała otruć kilku niemieckich żołnierzy oraz wysokich rangą hitlerowców.

W poprzednim numerze „Odkrywcy" przedstawiliśmy zarys prac przedwojennych polskich bakteriologów nad niebezpiecznymi bakteriami. Teraz prześledzimy losy poznańskiego Związku Odwetu, który w czasie hitlerowskiej okupacji prowadził przeciwko Niemcom akcje dywersyjne z użyciem toksyn. Mikroby miały być dosypywane do kawy w lokalach odwiedzanych przez SS i gestapo oraz wcierane w poręcze schodów w niemieckich szpitalach wojskowych. Członkowie grupy zapłacili za swoją działalność najwyższą cenę.

Narodziny „Witaszkowców"

8 września 1908 roku. W Śmiglu przychodzi na świat Franciszek – kolejny syn Stanisława i Zofii Witaszków. Od dziecka przejawia ponadprzeciętną inteligencję. Dorasta w zgodzie z harcerskimi wartościami, którym pozostanie wierny aż do śmierci. W 1925 roku zdaje maturę i dostaje się na wydział lekarski Uniwersytetu Poznańskiego. Dyplom uzyskuje w 1931 roku, a rok później jest już doktorem nauk medycznych. Żeni się z Haliną Muszyńską, z którą ma cztery córki: Mariolę, Iwonę, Alodię i Darię. Ich jedyny syn, Krzysztof, przychodzi na świat już w czasie okupacji.

Dom Franciszka jest pełen miłości. Lekarz uwielbia zabawy ze swoimi dziećmi. Sielankę rodziny przerywa wybuch wojny. W pierwszych tygodniach września dr Witaszek opatrywał rany polskim żołnierzom. 1 października 1939 roku wrócił wraz z rodziną do swojego poznańskiego mieszkania. Tego samego dnia otworzył praktykę lekarską, w której miał leczyć wyłącznie Polaków. W swoim gabinecie ulokowanym w kamienicy przy ul. Zamkowej 3 przyjmował z początku za darmo. W krótkim czasie zyskał ogromną popularność wśród mieszkańców Poznania.

W marcu 1940 roku dr Witaszek wstąpił do Komendy Poznańskiego Związku Walki Zbrojnej, gdzie objął dowodzenie III Wydziałem Sanitarnym. Miesiąc później rozkazem płk. Stefana „Grota" Roweckiego wyodrębniono z ZWZ jednostkę sabotażowo-dywersyjną: Związek Odwetu. W czerwcu tego samego roku dr Witaszek został dowódcą Okręgu Poznań. Członków kierowanej przez niego grupy ochrzczono w późniejszym czasie mianem „Witaszkowców". Z inicjatywy dr. Witaszka zorganizowano na terenie Poznania sześć tajnych laboratoriów, w których produkowano związki toksyczne, bomby termiczne oraz środki zakażające zboże. Działalność grupy miała głównie polegać na zatruwaniu żywności w niemieckich młynach i magazynach.

Od samego początku z poznańskim Związkiem Odwetu współpracowała laborantka Helena Siekierska (pseudonim „Lusia"). Była jedyną Polką zatrudnioną podczas okupacji w Zakładzie Mikrobiologii Lekarskiej Niemieckiego Uniwersytetu Poznańskiego. Nie zważając na niebezpieczeństwo, dostarczała „Witaszkowcom" surowicę, którą ci wstrzykiwali koniom w niemieckich stadninach wojskowych. Unieszkodliwione w ten sposób zwierzęta nie mogły być już użyte przez Wehrmacht na froncie wschodnim.

Stefan „Grot" Rowecki miał raportować, że polskie podziemie uśmierciło przy użyciu trucizn 149 hitlerowców.

Dylematy doktora

Z czasem przełożeni zaczęli domagać się od dr. Witaszka coraz śmielszych akcji. Chcieli, aby używał toksyn do likwidowania Niemców. Franciszek Witaszek miał jednak skrupuły. Jako lekarz, który przysięgał nieść pomoc potrzebującym, nie był do końca przekonany do tej formy walki.

fot. Wikimedia Commons, NAC

www.odkrywca.pl

O swoich wątpliwościach opowiedział biskupowi Walentemu Dymkowi, z którym współpracował w tworzeniu Kościoła Podziemnego. „Gdy naród jest mordowany, musi bronić się wszystkimi możliwymi środkami" – miał usłyszeć od duchownego. Znacznie dosadniej przekonywał Witaszka kpt. Jarociński. Podczas jednego ze spotkań grupy konspiracyjnej wziął go na bok i powiedział bez ogródek: „Pan nie zdaje sobie sprawy, z jakim wrogiem mamy do czynienia. Oni chcą nas po prostu totalnie wymordować. Wszystkich, co do jednego. Zetrzeć z powierzchni ziemi, żeby ślad po Polakach nie pozostał. Jeśli w ogóle mamy przetrwać, to musimy bronić się wszelkimi środkami: bomba, nóż, pistolet, trucizna. Każdy sposób dobry, bo jak nie my ich, to oni nas". Nie wiadomo, czy te słowa przemawiały do dr. Witaszka. Niemniej jego grupa zdecydowała się użyć w swoich akcjach toksyn produkowanych w poznańskich laboratoriach.

W maju 1957 roku Halina Witaszek wspominała w rozmowie z historykiem Edwardem Serwańskim, że grupa jej męża miała początkowo wcierać groźne toksyny w poręcze schodów w niemieckich szpitalach wojskowych. „Żołnierze niemieccy, którzy byli ranni i wrażliwi na bakterie, w ten sposób ginęli. Stosowane środki chemiczne były specjalnego rodzaju, ponieważ nie były wyczuwalne bezpośrednio po śmierci. Specjalne bakterie powodowały rozkład nerek" – opisywała akcje Związku Odwetu.

Kolega dr. Witaszka z drużyny harcerskiej przyznał natomiast w 1979 roku, że lekarz planował nakłonić polskiego farmaceutę z apteki „Czerwonej" na Starym Rynku w Poznaniu, aby przygotował dla gestapo 5 tys. zatrutych proszków od bólu głowy. Ostatecznie akcję przerwano, co znajomy Witaszka tłumaczył następująco: „W imieniu elity intelektualnej Polaków, dawniejszy mój katecheta szkolny, profesor seminarium duchownego w Poznaniu, X [ksiądz – przyp. red.] dr Zygmunt Baranowski, znając moje powiązania harcerskie z dr W., zobowiązał mnie do przekazania dr W., iż odpowiedzialna opinia publiczna nie zgadza się na walkę z gestapowcami przy pomocy trucizny. Niełatwą miałem przeprawę z dr W., który w końcu uległ argumentom polskiej opinii, i zrezygnował ze swoich planów".

Tyfus na dnie filiżanki

W wielu powojennych relacjach dotyczących „Witaszkowców" przewija się wątek zakonspirowanych kelnerów, pracujących w lokalach oznaczonych jako „Nur für Deutsche" („Tylko dla Niemców"). Jest o nich mowa również w dwóch dokumentach sporządzonych przez gestapo. Trudno jednak odtworzyć przebieg tych operacji, ponieważ wspomnienia świadków i osób blisko związanych ze Związkiem Odwetu są bardzo niespójne.

Zdaniem Haliny Witaszek grupa miała przeprowadzić kilka akcji w niemieckich hotelach (m.in. w słynnym hotelu Continental). Z jej relacji wynika, że zakonspirowani kelnerzy dolewali żołnierzom do herbaty i trunków środki chemiczne oraz bakterie tyfusu. Żona dr Witaszka twierdziła, że >>>

Dr Franciszek Witaszek (za stołem, drugi od prawej) na zjeździe Związku Lekarzy Państwa Polskiego w Poznaniu. Październik 1937 r.

Bp Walenty Dymek przekonywał dr. Witaszka, że w obliczu zagłady narodu trzeba walczyć z wrogiem przy użyciu wszelkich środków.

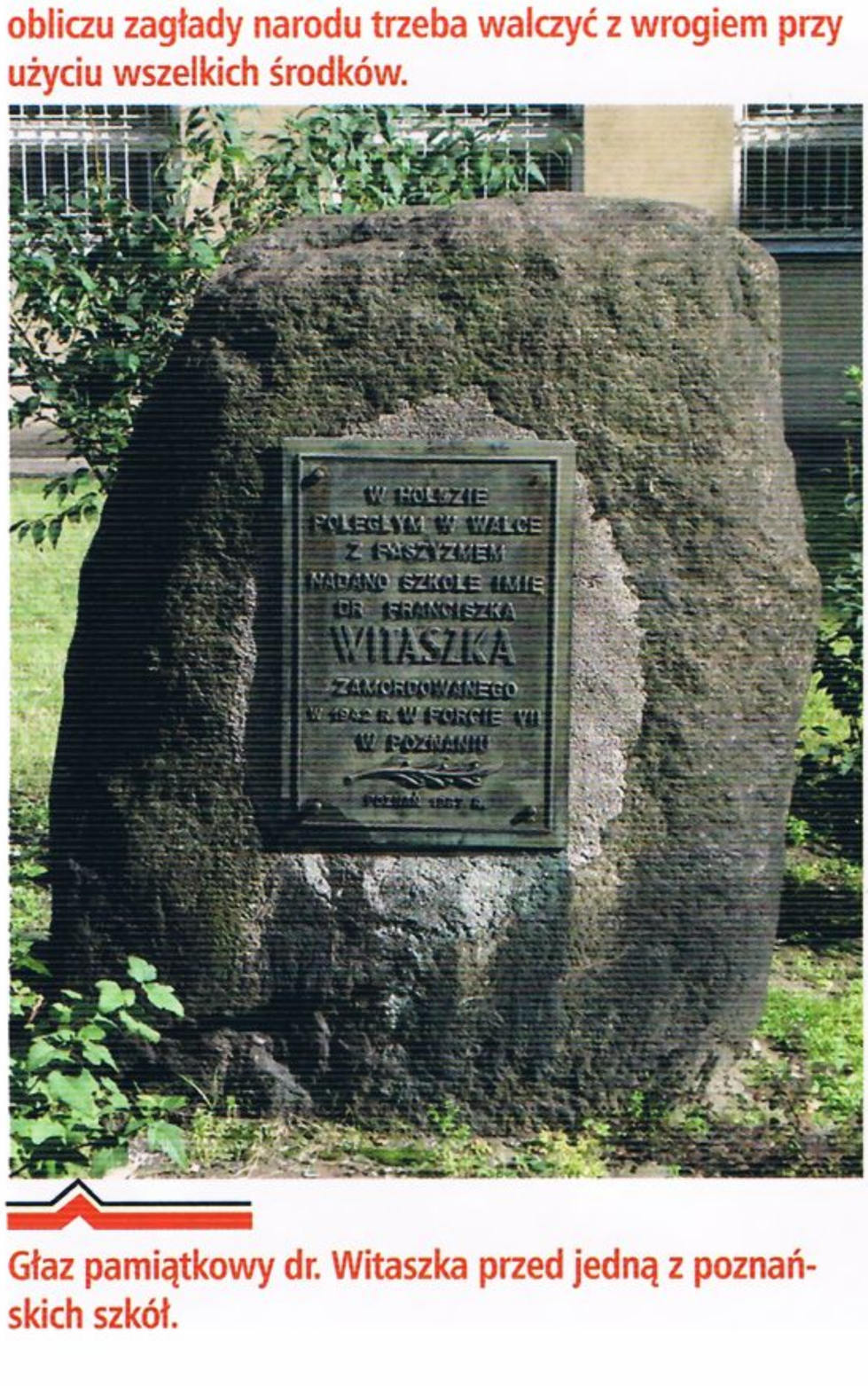

Głaz pamiątkowy dr. Witaszka przed jedną z poznańskich szkół.

>>> „działalność ta trwała dość długo, a jej ofiarą padło szereg osób, m.in. dwóch czy trzech wybitnych hitlerowców". „W wyniku przeprowadzonej sekcji zwłok w tych ostatnich przypadkach, podpadło Niemcom, że przyczyny śmierci były identyczne, mianowicie rozkład nerek. Zakomunikowano o tym gestapo, które wszczęło śledztwo i prawdopodobnie przez konfidenta dotarło do grupy konspiracyjnej mego męża" – wspominała. W innych źródłach można też znaleźć wzmianki o kelnerach, którzy podali zatrutą kawę przeprowadzającym inspekcję w Poznaniu wyższym oficerom SD z Berlińskiej Centrali RSHA (Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy). Wspomniany już kolega dr. Witaszka z czasów działalności harcerskiej twierdził z kolei, że akcja została przeprowadzona tylko raz przez kelnera, który zaserwował zatrutą kawę pięciu gestapowcom jadącym z Francji do ZSRR. Nie wspomina, co się z nimi stało, ale łatwo można wywnioskować, że spożycie napojów doprowadziło do ich śmierci. Do sytuacji miało dojść niedługo po tym, jak dr Witaszek postanowił zaniechać trucia Niemców. Niektóre źródła uzupełniają tę informację podając, że akcję przeprowadzono w kwietniu 1942 roku, a jej ofiarami padli oficerowie Abwehry, którzy jechali do Kijowa na inspekcję frontu. Wywiad gestapo miał dotrzeć do rzeczonego kelnera, a przez niego do dr. Witaszka i jego współpracowników.

Podobnie przedstawiały ten wątek raporty samego gestapo. Niemcy oskarżyli grupę Witaszka o otrucie ośmiu osób na terenie Kraju Warty, w tym sześciu na terenie Poznania. Badający historię „Witaszkowców" dr Marian Woźniak z Instytutu Zachodniego twierdził natomiast, że otruli oni nie więcej niż trzech Niemców. Znacznie wyższe szacunki podawał za to „Grot" Rowecki, który w połowie 1941 roku informował w raporcie wysłanym do Londynu, że podziemie uśmierciło przy użyciu toksyn aż 149 hitlerowców. Warto dodać, że te wszystkie sensacyjne doniesienia kwestionowała najstarsza córka dr. Witaszka, Mariola, która uważała, że grupa jej ojca nie prowadziła żadnych akcji tego typu. Dr Woźniak był jednak innego zdania. W jego ocenie dr Witaszek mógł zrezygnować z tych akcji, ale i tak je przeprowadzano, ponieważ w konspiracji panowała bardzo duża samowola. Jak było naprawdę, pewnie jeszcze długo się nie dowiemy.

Tragiczny koniec

25 kwietnia 1942 roku do gabinetu lekarskiego przy ul. Wrocławskiej 5 wtargnęło pięciu gestapowców. Wyprowadzili z pomieszczenia trzech lekarzy i ich pacjentów. Wśród zatrzymanych znajdowali się dr Franciszek Witaszek i jego żona. Halina Witaszek wspominała, że oprócz niej i męża aresztowano m.in. stomatologa Franciszka Pokorę, ginekologa dr Marię Grabską oraz Romana Kamerdułę – właściciela stolarni, który był łącznikiem dr. Witaszka do Generalnej Guberni. Przywódcę Związku Odwetu zaprowadzono do Domu Żołnierza (ówczesnej siedziby gestapo) i poddano brutalnym przesłuchaniom. Potem umieszczono go w celi nr 66 w hitlerowskim obozie mieszczącym się w kazamatach Fortu VII. W trakcie tortur padła propozycja współpracy – Witaszek otrzymał możliwość wyjechania z rodziną do III Rzeszy, w zamian za pracę na rzecz niemieckiej nauki. Hitlerowcom nie udało się go jednak złamać: odrzucił ofertę i nie wydał żadnego z członków podziemia. Żonę dr. Witaszka, która przebywała w celi z dr Grabarską, zwolniono 8 maja. Nie nacieszyła się jednak długo wolnością – w 1943 roku osadzono ją w obozie Auschwitz-Birkenau. W ciągu tygodnia od aresztowania Franciszka Witaszka w ręce gestapo wpadli kolejni członkowie Związku Odwetu, w tym m.in. lekarz Henryk Günther, kelner Stanisław Witkowski, laborantka Sonia Górzna, farmaceuta Czesław

fot. Wikimedia Commons, By MOs810 (Own work) [CC BY-SA 4.0], via Wikimedia Commons

Wachowiak i bankowiec Sylwester Ulmański.

15 maja 1942 roku aresztowano Helenę Siekierską, którą poddano dwutygodniowym przesłuchaniom. Następnie osadzono ją w celi nr 17 Fortu VII. Śledztwo w sprawie dr. Witaszka trwało od lipca tego samego roku. W tym czasie wielokrotnie przewożono go na przesłuchania do siedziby gestapo. „Jak mi wiadomo – wspominała Halina Witaszek – mąż w ostatnich dniach swego życia operował zwykłym kawałkiem szkła współwięźniowi wielki ropień na ręce. Pogodnym uosobieniem podtrzymywał on na duchu współtowarzyszy". W Berlinie zdecydowano o dalszym losie działaczy konspiracyjnych. Wydano najwyższy wyrok – wszyscy mieli zostać powieszeni.

8 stycznia 1943 roku, tuż przed godziną 10.00, wyprowadzono z celi 24 mężczyzn. Niedługo potem dołączyło do nich 6 kobiet. Po odczytaniu wyroku gestapowiec zadał skazanym druzgocący cios: zakomunikował, że decyzją władz niemieckich na ich rodziny również wydano wyroki śmierci, które zostaną wykonane w najbliższym czasie. Chociaż nie był to blef, wyroki te zamieniono wkrótce na dożywotni pobyt w obozach koncentracyjnych. W stosunku do niektórych „Witaszkowców" okupant uznał natomiast, że jednorazowa kara śmierci to za mało. Na „Lusi" wyrok wykonano dwukrotnie: najpierw powieszono ją w Forcie VII, potem jej zwłoki zgilotynowano w więzieniu przy ul. Młyńskiej. To samo zrobiono z dr. Witaszkiem i jego trzema kolegami.

Upamiętnienie

W obozach koncentracyjnych zginęła matka dr. Witaszka oraz trzech jego braci. Dwie jego córki – Alodia i Daria – trafiły do obozu dziecięcego, skąd po przejściu selekcji zostały wysłane do tzw. domu rasowego. Pozostała trójka była ukrywana do końca wojny przez rodzinę. Podobny los okupant zgotował wielu innym pociechom „Witaszkowców". Poddane germanizacji były wysyłane w głąb III Rzeszy i oddawane pod opiekę niemieckim rodzinom. Jeśli któreś dziecko miało mniej szczęścia i nie przeszło pomyślnie selekcji rasowej, mogło trafić nawet do dziecięcego obozu pracy. Aloida i Daria odnalazły się dopiero w 1947 roku. Mówiły tylko po niemiecku i minęło wiele czasu, zanim przyzwyczaiły się do swojej biologicznej matki.

Po wojnie Halina Witaszek dowiedziała się, że po egzekucji Niemcy zgilotynowali jej męża oraz czterech pozostałych działaczy jego grupy konspiracyjnej. Głowy umieszczono w słojach z formaliną i przekazano do Zakładu Medycyny Sądowej Niemieckiego Uniwersytetu w Poznaniu. Planowano przeprowadzić na nich badania, których zaniechano z nieznanych przyczyn. Przez cały okres okupacji przechowywali je dwaj polscy laboranci: Andrzej Szymański i Michał Woroch. Na słoju z głową dr. Witaszka Niemcy umieścili napis: „Der Kopf eins intelligenten polnischen Massenmörders Dr Franz Witaszek" („Głowa inteligentnego polskiego mordercy dr. Franciszka Witaszka"). 25 listopada 1945 roku biskup Walenty Dymek poprowadził manifestacyjny pogrzeb na Cmentarzu Bohaterów Polskich w Poznaniu. W grobach złożono głowy Henryka Günthera i Franciszka Witaszka oraz jego laborantki, Soni Górznej. Pozostałych dwóch głów nie udało się zidentyfikować, dlatego pozostały one w Zakładzie. Dopiero 20 kwietnia 1967 roku dwóm siostrom udało się rozpoznać głowę „Lusi".

Dr Franciszek Witaszek i jego grupa ponieśli męczeńską śmierć w walce o polską niepodległość. Tę niebywałą odwagę mieli podobno docenić sami oprawcy. „Jak oświadczył laborant Zakładu Medycyny Sądowej UP, Niemcy byli pełni podziwu dla nadzwyczajnego bohaterstwa mego męża, który mając żonę i kilkoro dzieci nie wahał się podjąć niebezpiecznej walki z hitlerowcami" – przypominała z dumą Halina Witaszek.

Autor składa gorące podziękowania dr. Bogumiłowi Rudawskiemu za udostępnienie materiałów o grupie dr. Witaszka, znajdujących się w zbiorach Archiwum II Wojny Światowej Instytutu Zachodniego. Podczas pisania korzystałem również z: książki „Opowieść o doktorze Franciszku Witaszku" Zdzisławy Jackowiak oraz artykułu „Uwagi w związku z akcją doktora Witaszka: Helena Siekierska („Lusia") Edmunda Chróścielewskiego (Przegląd Lekarski, Rok XXV, Seria II, Nr 1/1969). <

Adam Gaafar
Dziennikarz i publicysta historyczny. Specjalizuje się w tematach związanych z dziejami propagandy politycznej i II wojną światową. Publikował m.in. w „Focusie Historia" i Wirtualnej Polsce.

REKLAMA

www.pawlo.sklep.pl

OFERUJEMY WYKRYWACZE:
- GARRETT,
- XP,
- TEKNETICS,
- MINELAB,
- RUTUS

ORAZ INNYCH PRODUCENTÓW.

W NASZEJ STAŁEJ OFERCIE POSIADAMY RÓWNIEŻ MYJKI ULTRADŹWIĘKOWE.

FHU „PAWLO" Paweł Piec
65-124 Zielona Góra, ul. Wołodyjowskiego 8
tel.: +48 603 469 561, fax: +48 68 41 43 222, e-mail: pawel@pawlo.sklep.pl

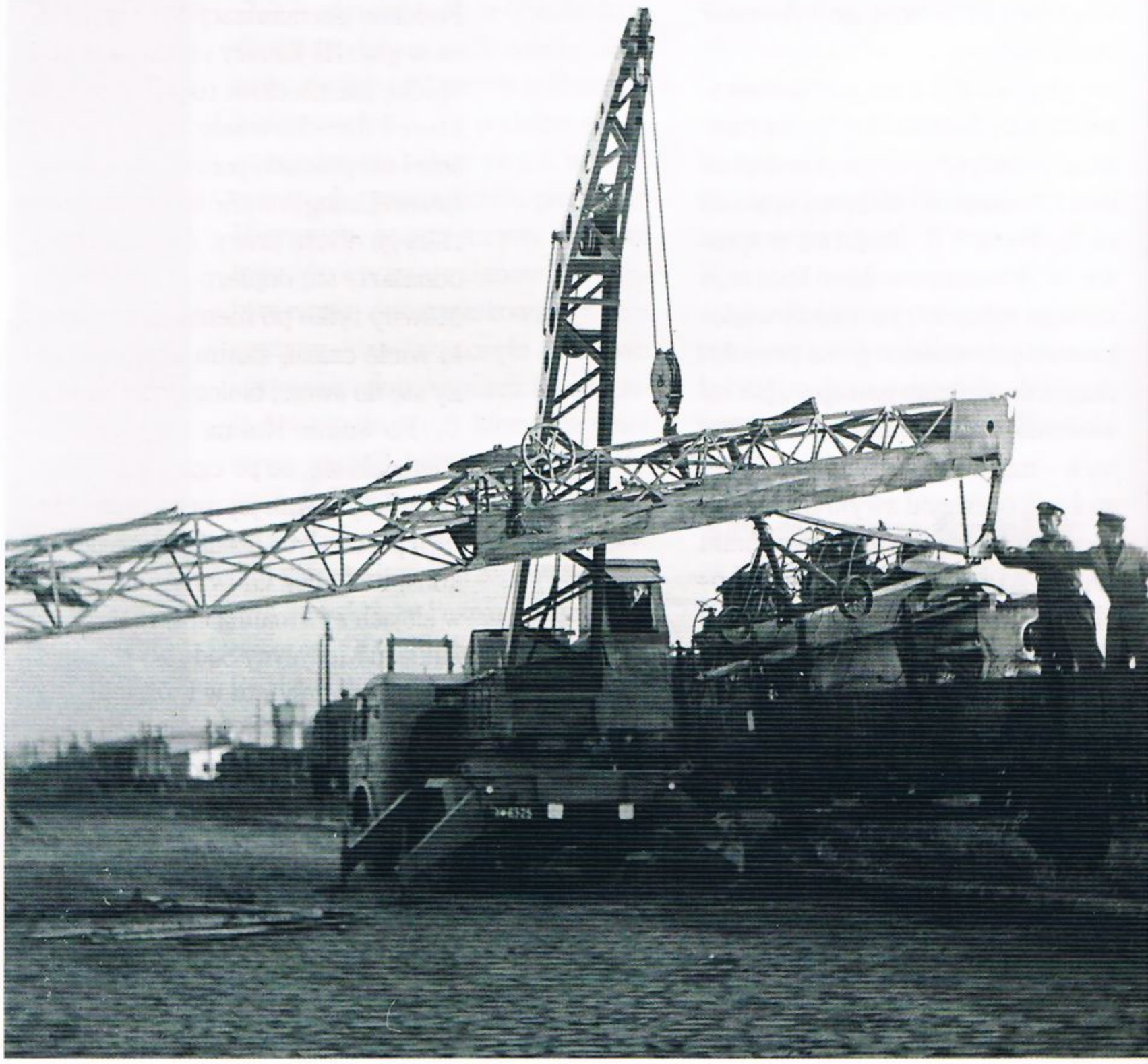

SAMOLOT JEANNIN „STAHLTAUBE". ZAPOMNIANY DEPOZYT W BERLIŃSKIM MUZEUM TECHNIKI

Odnaleziona jesienią 1945 roku pod Kuźnicą Czarnkowską część eksponatów Niemieckiej Kolekcji Lotniczej z Berlina dopiero po 18 latach trafiła do Ośrodka Ekspozycji Sprzętu Lotniczego w Krakowie. Zabytkowe samoloty czekały następne 17 lat na decyzję o restauracji w Krakowie. Dopiero w 1990 roku zadecydowano o pracach konserwatorskich zabytkowych samolotów w krakowskim Muzeum. Decyzja ta zapewne była konsekwencją zerwania porozumienia z Muzeum Komunikacji i Techniki w Berlinie Zachodnim, zawartego przez Muzeum Lotnictwa i Astronautyki w Krakowie 15 stycznia 1986 roku. Wywiezione do Berlina dwa samoloty: Jeannin „Stahltaube" i Albatros L.30 uzyskały zgodę na czasowy wywóz i ekspozycję w berlińskim Muzeum do 31 grudnia 1989 roku. Albatros powrócił do Krakowa w 1987 roku a Jeannin „Stahltaube" do dnia dzisiejszego jest eksponowany w Muzeum Techniki w Berlinie. Czyżby Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie zapomniało o swoim depozycie?

Tułaczka eksponatów DSL

Uroczyste otwarcie Deutsche Luftfahrt Sammlung (DSL) – Niemieckiej Kolekcji Lotniczej w Berlinie nastąpiło 20 czerwca 1936 roku. Na wystawie zgromadzono 80 samolotów i 100 silników, a sale wystawowe zajmowały powierzchnię 1300 metrów kwadratowych. Honorowy patronat nad placówką muzealną objął Hermann Göring, dowódca Luftwaffe, pokrywając jednocześnie połowę kosztów utrzymania zbiorów. W okresie II wojny światowej do Berlina docierały także eksponaty lotnicze z krajów podbitych przez III Rzeszę. Z Polski berlińską kolekcję „wzbogaciły": PZL P. 11c – myśliwiec z 1935 roku, PWS-26 – szkolny dwupłatowiec z 1937 roku i PZL P. 38/II „Wilk" – prototyp bombowca z 1938 roku. Od 1941 roku rozpoczęły się pierwsze alianckie naloty na Niemcy, co skłoniło władze Berlina do zamknięcia DLS. W czerwcu 1943 roku

JAN NOWICKI

Wywieziony do Berlina samolot Jeannin „Stahltaube" na czasową ekspozycję miał do nas wrócić do 31 grudnia 1989 roku...

www.odkrywca.pl

podjęto decyzję o przeniesieniu większości muzealnych zbiorów w bezpieczne miejsca na wschód od Odry, na tereny nieobjęte alianckimi bombardowaniami.

Ocalenie części eksponatów lotniczych DLS, znajdujących się obecnie w Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie, zawdzięczamy przedwojennemu działaczowi organizacji LOPP, Janowi Czarneckiemu. Pod jego kierownictwem został utworzony w marcu 1945 roku w Poznańskiej Dyrekcji Kolei Wydział Organizacyjny Lotnictwa. Głównym celem Wydziału było odnajdywanie i zabezpieczanie pozostawionego po działaniach wojennych sprzętu lotniczego: samolotów, szybowców, silników lotniczych, wyposażenia lotnisk. Jesienią 1945 roku Jan Czarnecki został powiadomiony przez Milicje Obywatelską, że 5 km od Czarnkowa za Notecią znajduje się sprzęt lotniczy o dziwnej konstrukcji. Okazało się, że leżały tam 23 zabytkowe samoloty, szczątki skrzydeł szybowca Horten HO II, gondola silnikowa Zeppelin-Staaken R VI oraz silniki lotnicze pochodzące z berlińskiej kolekcji. Zostały one przetransportowane na stację kolejową w Czarnkowie, skąd wagonami w ciągu 3 dni były wywiezione do Centralnych Magazynów Ministerstwa Komunikacji Departamentu Lotnictwa Cywilnego w Gądkach pod Poznaniem.

Rok 1950 wiąże się z przeprowadzką zgromadzonych w Gądkach zbiorów lotniczych do Pilawy. Eksponaty złożono w parowozowni, która pełniła role magazynu. Nie prowadzono jakichkolwiek prac konserwatorskich zgromadzonych eksponatów, co w połączeniu z fatalnymi warunkami przechowywania przyczyniło się do pogorszenia ich stanu technicznego. Kolejna, już czwarta przeprowadzka zabytkowych eksponatów, miała miejsce w 1954 roku. Tym razem z Pilawy zabytki lotnicze przewieziono do Wrocławia i złożono w dwóch drewnianych pawilonach pozostałych po Wystawie Ziem Odzyskanych. Przez następne 9 lat zbiory przyszłego muzeum powiększały się, jednak w dalszym ciągu nie prowadzono żadnych prac konserwatorskich sprzętu lotniczego i nie był on katalogowany. Od 1945 roku minęło już 17 lat i niezbędnym stało się znalezienie obiektów o dużej powierzchni, które byłyby przystosowane zarówno do celów wystawienniczych, jak i magazynowych.

Pierwszych oględzin zmagazynowanego we Wrocławiu cennego sprzętu lotniczego dokonał na początku 1962 roku komisyjnie mjr Izydor Koliński – Szef Wydziału Historycznego w Dowództwie Wojsk Lotniczych. Rozważano przewiezienie zgromadzonych we Wrocławiu eksponatów do Warszawy, jednak ostatecznie zapadła decyzja przetransportowaniu ich do Krakowa na lotnisko Czyżyny. Jednocześnie przy Zarządzie Głównym Aeroklubu PRL utworzono Komisję Organizacji Muzeum Lotnictwa i Budowy Domu Lotnika. Po wielu przeprowadzkach zabytkowe eksponaty lotnicze trafiły do Krakowa, do Ośrodka Ekspozycji Sprzętu Lotniczego powołanego przez Zarząd Główny Aeroklubu PRL. W 1963 roku do Krakowa przywieziono 37 samolotów, 13 szybowców, 1 motoszybowiec, 1 gondolę silnikową, 78 silników lotniczych. Na początku 1964 roku z Wrocławia sprowadzono pozostałe 2 samoloty, 2 szybowce, 2 śmigłowce, 7 silników lotniczych. Ze względu na zły stan techniczny kilka eksponatów pozostawiono we wrocławskich magazynach(!).

Powstałe w 1967 roku Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie było jedyną placówką posiadającą tak bogate zbiory lotnicze. Wydawało by się, że bezcenne eksponaty z berlińskiej kolekcji doczekały się lepszych czasów. Po przeprowadzce do Krakowa musiały czekać kolejne 27 lat na podjęcie decyzji o ich remoncie. Decyzja o restauracji zabytkowych samolotów zapadła dopiero 15 marca 1990 roku. Jednak nie podjęto na szerszą skalę >>>

Zdjęcie z lewej: Wrocław 1963 rok – załadunek Levavasseur IV Antoinette z 1909 roku.

Zdjęcie z prawej: Wrocław 1963 rok, załadunek De Havilland DH-9a z 1918 roku.

fot. zbiory Muzeum Techniki w Warszawie

www.odkrywca.pl

>>> akcji poszukiwania pozostałych eksponatów lotniczych DLS, rozproszonych na „Ziemiach Odzyskanych", pomimo istnienia dokumentów wskazujących miejsca ich przechowywania.

Niejasne losy samolotu Jeannin „Stahltaube"

W dniu 15 stycznia 1986 roku Muzeum Lotnictwa i Astronautyki (MLiA) w Krakowie zawarło porozumienie z Muzeum Komunikacji i Techniki (MKiT) w Berlinie Zachodnim o współpracy naukowo-technicznej. Współpraca między muzeami miała dotyczyć rekonstrukcji sprzętu lotniczego. Porozumienie zostało zawarte na podstawie upoważnienia Ministra Komunikacji oraz uzgodnione z Ministerstwem Kultury i Sztuki, Ministerstwem Spraw Zagranicznych, Ministerstwem Handlu Zagranicznego, Ministerstwem Finansów i Ministerstwem Spraw Wewnętrznych.

MLiA w Krakowie wystąpiło do Urzędu Miasta Krakowa, Wydziału Ochrony Zabytków (WOZ) z pismem z dnia 17 stycznia 1986 roku o zgodę na wywóz do Berlina Zachodniego dwóch samolotów: Albatros L.30 nr inwentarzowy MLiA–14 z 1919 roku i Jeannin „Stahltaube", nr inwentarzowy MLiA–5, z 1913 roku. Samoloty miały być eksponowane na wystawie w MKiT w Berlinie Zachodnim do 1989 roku.

Kadłub Jeannin „Stahltaube" z numerem 118/13 w krakowskim muzeum

Jeannin „Stahltaube" po renowacji w berlińskim muzeum ze zmienionym numerem na kadłubie – A. 180/14

Ogółem do Berlina miało być przewiezionych 20 samolotów. Harmonogram wywozu i ekspozycji w Berlinie obejmował całość kolekcji najstarszych samolotów w perspektywie do 2015 roku.

Ministerstwo Komunikacji Dyrekcji Generalnej Lotnictwa Cywilnego wydało 7 lutego 1986 roku zezwolenie na wywóz do Berlina Zachodniego z MLiA samolotów Albatros L-30 i Jeannin „Stahltaube". Zezwolenie zakładało także możliwość przedłużenia pobytu na ekspozycji w MKiT w Berlinie Zachodnim samolotu Jeannin „Stahltaube" jako depozytu stanowiącego własność MLiA w Krakowie. Także WOZ Urzędu Miasta Krakowa wydał 19 lutego 1986 roku zgodę na wywóz dwóch samolotów na zasadzie odprawy celnej warunkowej. Zgoda została zatwierdzona przez mgr Aleksandrę Kydryńską, Dyrektora Wojewódzkiego WOZ w Krakowie. Czasowy wywóz samolotów był uzgodniony z Ministerstwem Komunikacji Dyrekcji Generalnej Lotnictwa Cywilnego oraz z Ministerstwem Kultury i Sztuki a warunki odprawy celnej z Ministerstwem Kultury i Sztuki oraz z Głównym Urzędem Ceł. Po przeprowadzeniu odprawy celnej warunkowej w Urzędzie Celnym w Krakowie eksponaty lotnicze zostały wywiezione do Niemiec 9 kwietnia 1986 roku. Samoloty zostały wycenione na 40 000 zł oraz 10 000 zł tytułem zabezpieczenia zwrotu eksponatów do Krakowa. Jednocześnie Urząd Celny w Krakowie jako termin powrotu eksponatów z Berlina wyznaczył dzień 9 kwietnia 1989 roku. MLiA w Krakowie zobowiązało się do pokrycia należności celnych w przypadku niedochowania terminu powrotu wywiezionych do Berlina samolotów. Albatros L-30 powrócił do Krakowa 17 kwietnia 1987 roku, przechodząc odprawę celną w Urzędzie Celnym w Krakowie. Samolot Jeannin „Stahltaube" pozostał w Berlinie.

W dniu 7 lutego 1989 roku MLiA wystąpiło do WOZ w Krakowie o wydanie zgody na przedłużenia do 1995 roku zezwolenia na czasowy wywóz zabytkowego samolotu Jeannin „Stahltaube" oraz o zezwolenia na czasowy wywóz do Berlina Zachodniego czterech kolejnych samolotów: Sopwith Camel F.1, Curtiss Export Hawk II, LFG Roland D.VIb, Halberstadt CL.II. Pismem z dnia 29 maja 1989 roku WOZ w Krakowie odmówił udzielenia zezwolenia na czasowy wywóz do Berlina Zachodniego czterech w/w samolotów oraz na przedłużony pobyt w Berlinie Zachodnim do 1995 roku samolotu Jeannin „Stahltaube". Jednocześnie nakazał przywóz tego samolotu do Polski w terminie do 31 grudnia 1989 roku. Ministerstwo Kultury i Sztuki decyzją z 12 lipca 1989 roku uchyliło decyzję Wydziału

fot. zbiory A. Siewierski, zbiory J. Nowicki

www.odkrywca.pl

URZĄD MIASTA KRAKOWA
Wydział Ochrony Zabytków
pl. Wiosny Ludów 3/4
31-004 Kraków

OZ-I/2841/89 Kraków, dnia 1989-05-29

D E C Y Z J A

Na podstawie art.41 w zw. z art.1, 3 ust.2 Ustawy z dn. 15 lute 1962 r. o ochronie dóbr kultury i o muzeach /Dz.U. Nr 10, poz.48 i z 1983 r. Nr 38, poz.173/ oraz§1 ust.1 pkt.3, ust.3, §5 pkt.2, §11 w zw. z §7 i 8 Rozporządzenia Ministra Kultury i Sztuki z dn. 30.VI.1965 r. w sprawie trybu zgłaszania wniosków oraz wydawania zaświadczeń i zezwo na wywóz za granicę dobra kultury /Dz.U. Nr 31, poz.26/, po rozpatrzen wniosków Muzeum Lotnictwa i Astronautyki, Al. Planu 6 Letniego 17 z dn. 07.02.89 MLiA/Dyr/68/89 i z 07.04.89 MLiA/Dyr/172/89 w sprawie przedłużenia do 1995 r. zezwolenia na czasowy wywóz zabytkowego samolo typu Jeannin Stahltaube i w sprawie zezwolenia na czasowy wywóz do Ber na Zachodniego czterech samolotów /Sopwith Camel F.1, Curtiss Export Hawk II, LFG Roland D.VIb, Halberstadt/

odmawia udzielenia zezwolenia

Muzeum Lotnictwa i Astronautyki, Kraków, Al. Planu 6-letniego na:

1/czasowy wywóz do Berlina Zachodniego czterech następujących samolotów stanowiących eksponaty będące w posiadaniu Muzeum Lotnictwa i Astrona tyki w Krakowie:
- Sopwith Camel F.1
- Curtiss Export Hawk II
- LFG Roland D.VIb
- Halberstadt CL.II

2/na przedłużony pobyt w Berlinie Zachodnim do 1995 r. samolotu Jeannin Stahltaube, nakazując przywóz tego obiektu do Polski w terminie do 31.III.1989 roku.

Decyzja Wydziału Ochrony Zabytków w Krakowie z 29.05.1989 roku.

Ochrony Zabytków Urzędu Miasta Krakowa z dnia 29 maja 1989 roku i przekazało sprawę do ponownego rozpatrzenia przez WOZ w Krakowie. MLiA w Krakowie złożyło ponownie w dniu 29 lipca 1989 roku wniosek do WOZ w Krakowie o udzielenie zezwolenia na czasowy wywóz do Berlina Zachodniego 4 samolotów: Sopwith Camel F.1, Curtiss Export Hawk II, LFG Roland D.VIb, Halberstadt CL.II. oraz przedłużenie pobytu w Berlinie Zachodnim do 1995 roku samolotu Jeannin „Stahltaube". WOZ w Krakowie po przeprowadzeniu postępowania wyjaśniającego (zebraniu nowych dokumentów, zasięgnięciu opinii specjalistów, środowisk lotniczych, konserwatorskich i społecznych) nie udzieliło zezwolenia.

Porozumienie zawarte pomiędzy Muzeum Lotnictwa i Astronautyki w Krakowie a Muzeum Komunikacji i Techniki w Berlinie o współpracy naukowo-technicznej zawierało istotne wady prawne. Dokument 14 stycznia 1986 roku wraz z załącznikami nie określał osób działających w imieniu stron zawierających to porozumienie. Także porozumienie uzupełniające z dnia 22 marca 1989 roku wraz z załącznikami również posiadało te same wady. Żaden z dokumentów nie uwiarygodniały pieczęcie instytucji i osób zawierających porozumienia. Nie określono warunków chroniących stronę polską w razie uszkodzenia, zniszczenia, kradzieży itp., nie określono także wartości rynkowej eksponatów. Strona niemiecka nie uznała jednoznacznie praw własności Polski do kolekcji zabytkowych maszyn, które były przedmiotem porozumienia pomiędzy muzeami. Zawarcie w dniu 22 marca 1989 r. porozumienia uzupełniającego zostało „przyjęte do wiadomości" przez Departament Kultury i Sztuki, Muzeów i Plastyki w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Dopiero po przeprowadzeniu przez WOZ w Krakowie drugiego postępowania na wniosek MLiA udało się ustalić, kto podpisał porozumienie. Okazało się, że w imieniu „Dyrektor Muzeum Lotnictwa i Astronautyki" porozumienie z załącznikami podpisał Pan Pawłowicz, naczelnik wydziału w ówczesnej Dyrekcji Generalnej Lotnictwa Cywilnego Ministerstwa Komunikacji. Osoba ta nie była dyrektorem MLiA w Krakowie i nie posiadała upoważnienia MLiA do podpisania dokumentów w imieniu muzeum.

Szczególnie interesujący jest fragment pisma Ministerstwa Kultury i Sztuki z dnia 17.05.1986 r. do Ministerstwa Komunikacji, Dyrekcji Generalnej Lotnictwa Cywilnego: „W związku z pismem nr DLC-T3/MLiA/21 z dnia 1986–04–02 uprzejmie informujemy: Skreślenie z inwentarza MLiA w Krakowie dwóch wspomnianych w piśmie samolotów może nastąpić pod koniec ważności dokumentów odprawy warunkowej, na wniosek Ministerstwa Komunikacji do Ministra Kultury i Sztuki, który wyłącznie może wydać decyzje o skreśleniu z inwentarza obu samolotów i przekazaniu ich do muzeum w Berlinie Zachodnim".

Na szczęście porozumienie pomiędzy muzeami zostało zerwane i wstrzymano wywóz kolejnych samolotów do Berlina Zachodniego. Kto i dlaczego chciał skreślić z inwentarza MLiA w Krakowie samoloty Albatros L.30 i Jeannin „Stahltaube"? Która z instytucji upomni się o zwrot depozytu będącego własnością Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie, figurującego w księdze inwentarzowej pod numerem 005? Depozytu, który od 27 lat powinien być eksponowany w krakowskim muzeum! <

Jan Nowicki
Eksplorator i pasjonat historii Pomorza, autor monografii „Kamp-Rogowo, zapomniane lotniska". Obecnie przygotowuje publikację pt.: „Zaginione eksponaty Niemieckiej Kolekcji Lotniczej z Berlina".

LITERATURA

CZARNECKI J., **Rekonstrukcja**, Kronika Wielkopolski nr 2(3), 1974
Decyzja Urzędu Miasta Krakowa, Wydziału Ochrony Zabytków z dnia 19.01.1986 r.
Decyzja Urzędu Miasta Krakowa, Wydziału Ochrony Zabytków z dnia 29.05.1989 r.
Decyzja Urzędu Miasta Krakowa, Wydziału Ochrony Zabytków z dnia 25.10.1989 r.
Dowód odprawy celnej z dnia 9.04.1986 r.
HUNDERTMARK M., STEINLE H., **Phoenix aus der Asche. Die Deutsche Luftfahrt Sammlung Berlin**, Berlin 1985
KOLIŃSKI I., **Z lat wypędzenia i lotniczej wachty**, Warszawa 2011
KRZYŻAN M., **Samoloty w muzeach polskich,** Warszawa 1983
RADWAN K., **Ochrona zabytków techniki lotniczej w latach 1944-1989,** Rocznik - Polskie Towarzystwo Historii Techniki III, 2001
STEINLE H., **Berlin Aviation Collection Lost without Trace in Pomerania**, Spoils of Wars
STEINLE H., **Die Berliner Luftfahrtsammlung**, Bauwelt 44/2010
Zezwolenie Ministerstwa Komunikacji z dnia 7.02.1986 r.
Zgoda Urzędu Miasta Krakowa, Wydziału Ochrony Zabytków z dnia 19.02.1986 r.

www.odkrywca.pl

AMUNICJA MAŁOKALIBROWA Z MATERIAŁÓW ZASTĘPCZYCH

CZĘŚĆ 2

PIOTR J. BOCHYŃSKI

Badania rozwojowe nad łuskami amunicji małokalibrowej z materiałów zastępczych w okresie II Rzeczypospolitej

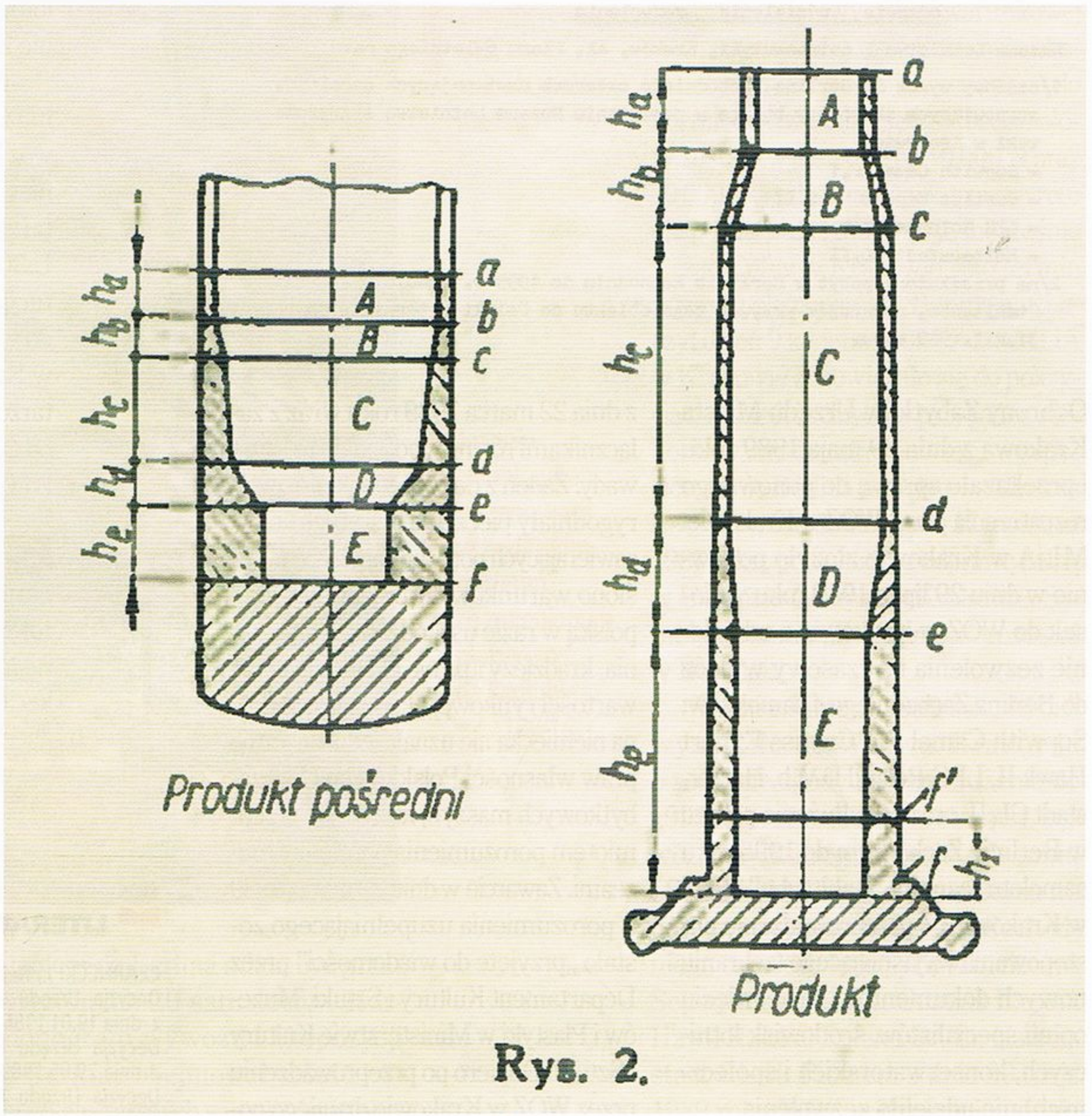

Rys. 2.

Niniejszy artykuł to próba zapisania kolejnych białych kart naszej historii dotyczącej polskiego przemysłu amunicyjnego w okresie II Rzeczypospolitej, a dotyczy w tym wypadku konkretnie badań i prób wdrożenia do produkcji amunicji karabinowej wykonanej z materiałów zastępczych (w stosunku do mosiądzu). Artykuł ten, mam nadzieję, nie będzie tylko podsumowaniem dotychczasowej wiedzy, ale dopełni nieznane do tej pory informacje i szczegóły w tym temacie.

W części pierwszej artykułu przedstawiony został stan obecny wiedzy w tym zakresie oraz zakres wymagań, jakie stawiano przed oczekiwanymi rozwiązaniami.

Przeprowadzone próby

Opierając się na tych wynikach, uzbrojeni w wiedzę w tym zakresie znaną z literatury technicznej, przystąpiono do pierwszych krajowych prób wykonania łusek karabinowych z materiałów zastępczych, do czego doszło dość wcześnie, bo już na przełomie lat 20/30.

Na podstawie analizy wyszukanych źródeł tekstowych można przyjąć, że pierwsze prace w tym kierunku rozpoczęły się na Politechnice Warszawskiej pod kierunkiem prof. W. Broniewskiego, a bezpośrednio z nimi był związany kpt. inż. W. Robowski. Ze strony przemysłu na pewno zaangażowanie w tym temacie płynęło ze strony zakładów Spółki Akcyjnej Fabryk Metalowych „Norblin, Bracia Buch i T.Werner" w Warszawie oraz być może Walcowni Metali „Dziedzice", jednak w tych przypadkach brak jest bezpośredniego potwierdzenia tego faktu.

Przegląd Mechaniczny 1936 r.

www.odkrywca.pl

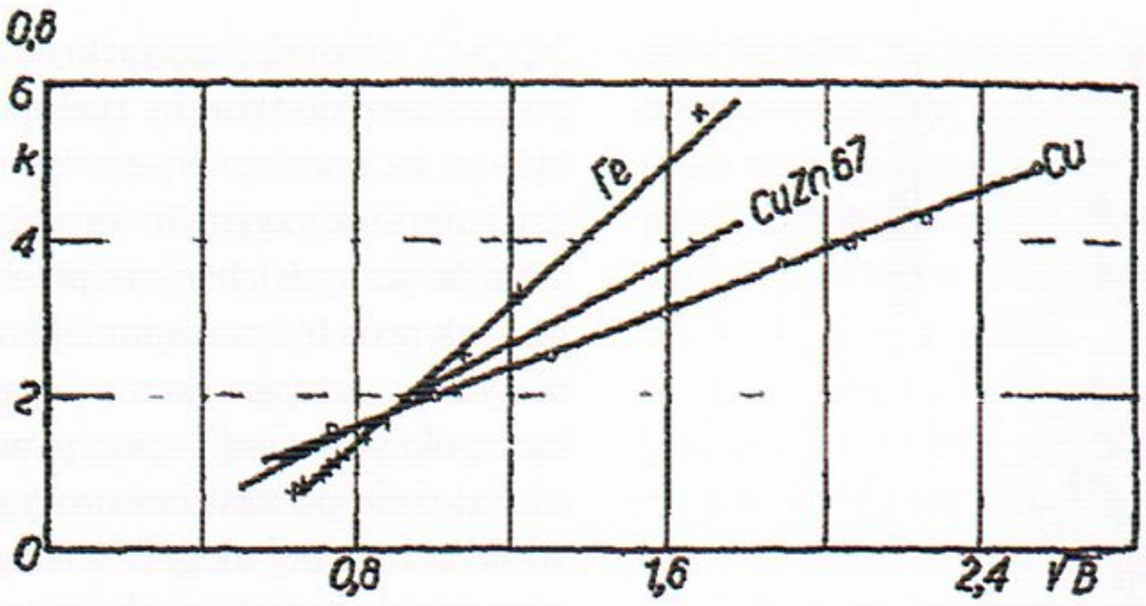

Rys. 4. Zależność $k = f(B)$.

Linia Cu została wykreślona według wzoru teoretycznego na podstawie próby rozerwania Prostą Fe wyznaczono z danych Prof W. Broniewskiego i Króla (1933) Bieg linii Cu/Zn 67 oparto na wynikach Prof. W Broniewskiego i I Pełczynskiego (1934)

Wykres porównawczy wytrzymałości żelaza, mosiądzu, miedzi na rozciąganie.

Stal stopowa niskochromowa

Pierwszym materiałem, który poddano testom, była stal stopowa niskochromowa o składzie chemicznym zawierającym: C: 0,09%; Cr: 4,48%; Mn: 0,3%; S+P+Si: 0,05%; Fe: 95%, która miała spełnić oczekiwania i wymagania w kontekście założonego rezultatu.

Wybór tego materiału był podyktowany w założeniach teoretycznych pełną wytrzymałością mechaniczną do granicy 400°C oraz dużą odpornością na utlenianie w temperaturach poniżej 650°C podczas obróbki cieplnej, nie wpływając jednak ujemnie na właściwości ciągliwości i plastyczności podczas dalszych operacji technologicznych, a w gotowym wyrobie miał wykazywać silną odporność na rdzewienie. Ponadto jego zaletą była dostępność na rynku, bowiem nie wymyślano go specjalnie na próby. Stale niskochromowe o podobnych właściwościach były stosowane dość powszechnie w przemyśle chemicznym i rafineryjnym w urządzeniach i elementach pracujących pod dużym ciśnieniem i w wysokich temperaturach.

Do zakładu (niestety, nie udało się ustalić do jakiego) materiał na próby miał być dostarczany w postaci pasków o grubości 3,4 mm i szerokości 52 mm, nie znalazła się tam informacja o ich długości, ale należy przypuszczać, że miały około 1–1,5 m.

Początkowy okres badań upłynął na długim szeregu prób, które zaowocowały opracowaniem i sporządzeniem kilkaset nowych sztuk narzędzi i oprzyrządowania do wykonywania łusek karabinowych z wymienionego materiału. Była to konieczna nauka, gdyż surowiec wymagał znacznie odmiennego traktowania niż dotychczas postępowano z powszechnie stosowanymi łuskami mosiężnymi.

Najpoważniejszym problemem, na jaki natrafiono podczas tych prób, poza wspominanym wcześniej wykonaniem specjalnych narzędzi, było odpowiednie wyżarzanie półfabrykatów po operacji ciągnięcia. Wynikało to z konieczności zapobiegania tzw. zendrowaniu, czyli efektu utleniania żelaza w podwyższonej temperaturze, co miało bezpośrednio wpływ na zmiany wymiarowe wykonywanych elementów.

Efektem tego było opracowanie postępowania polegającego na zabezpieczeniu półfabrykatów poprzez układanie ich w skrzyniach przy ograniczonym dostępie powietrza poprzez zastosowanie przesypywania zendrą, grafitem lub sproszkowanym węglem drzewnym czy też pełnym uszczelnieniem hermetycznym skrzyni.

Stosowane w tym celu piece normalnie przystosowane do niższych temperatur, jak to miało miejsce przy stosowaniu mosiądzu (ok. 500°C), w tym przypadku ulegały szybszemu zużywaniu, gdyż proces przebiegał nie tylko w wyższych temperaturach (ok. 680÷700°C), ale również trwał dłużej, w zależności od etapu operacji ciągu wynosił od 1,5 do 6 godzin.

Wykonane łuski w celu zabezpieczenia przed korozją poddawano miedziowaniu w kąpieli z rozcieńczonego siarczanu miedzi (metodą miedziowania chemicznego) lub powlekano cyną.

Ta druga metoda napotkała jednak na opory z powodu kapryśności stosowania kąpieli cynującej spowodowanej kształtem samej łuski zawierającej szereg zagłębień oraz wyfrezowań, co utrudniało równomiernie nakładanie warstwy cyny.

Ta pierwsza wykonana w ten sposób partia łusek miała liczyć w sumie około 50 000 sztuk.

Poddano je pierwszej próbie polegającej na złożeniu ich do składu magazynowego na okres jednego roku, wynik tych prób był zadowalający pod kątem odporności na rdzewienie. Dopiero po tych próbach łuski poddano elaboracji i przystąpiono do dalszego etapu prób polegających na poddaniu ich próbom strzelania. I niestety, tu ich wynik był negatywny.

Schemat wytłoczonej miseczki, Przegląd Mechaniczny 1936 r.

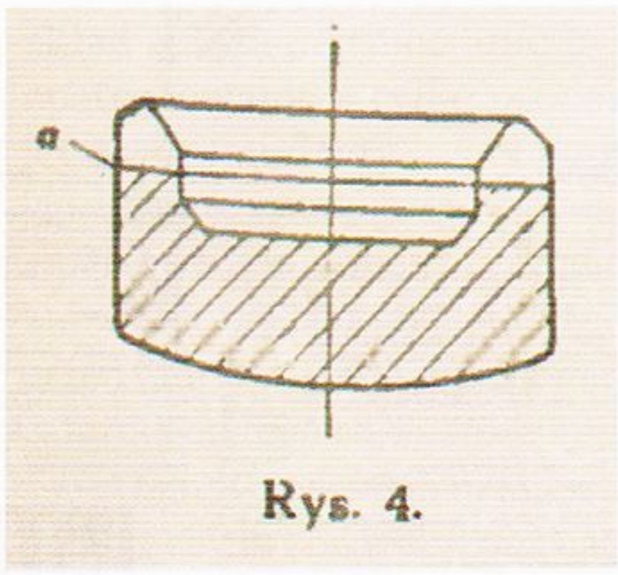

Rys. 4.

Zaobserwowano podczas nich, że łuski ulegają trwałemu odkształceniu w komorze nabojowej pod wpływem wysokiego ciśnienia, a powstające w ten sposób silne tarcie łuski o ściany komory nabojowej skutkowało wywołaniem trudności z otwarciem zamka po strzale. Często dochodziło w karabinach ręcznych do niewyciągnięcia łuski, natomiast w broni maszynowej prawie wszystkie ulegały zerwaniu kryzy. >>>

www.odkrywca.pl

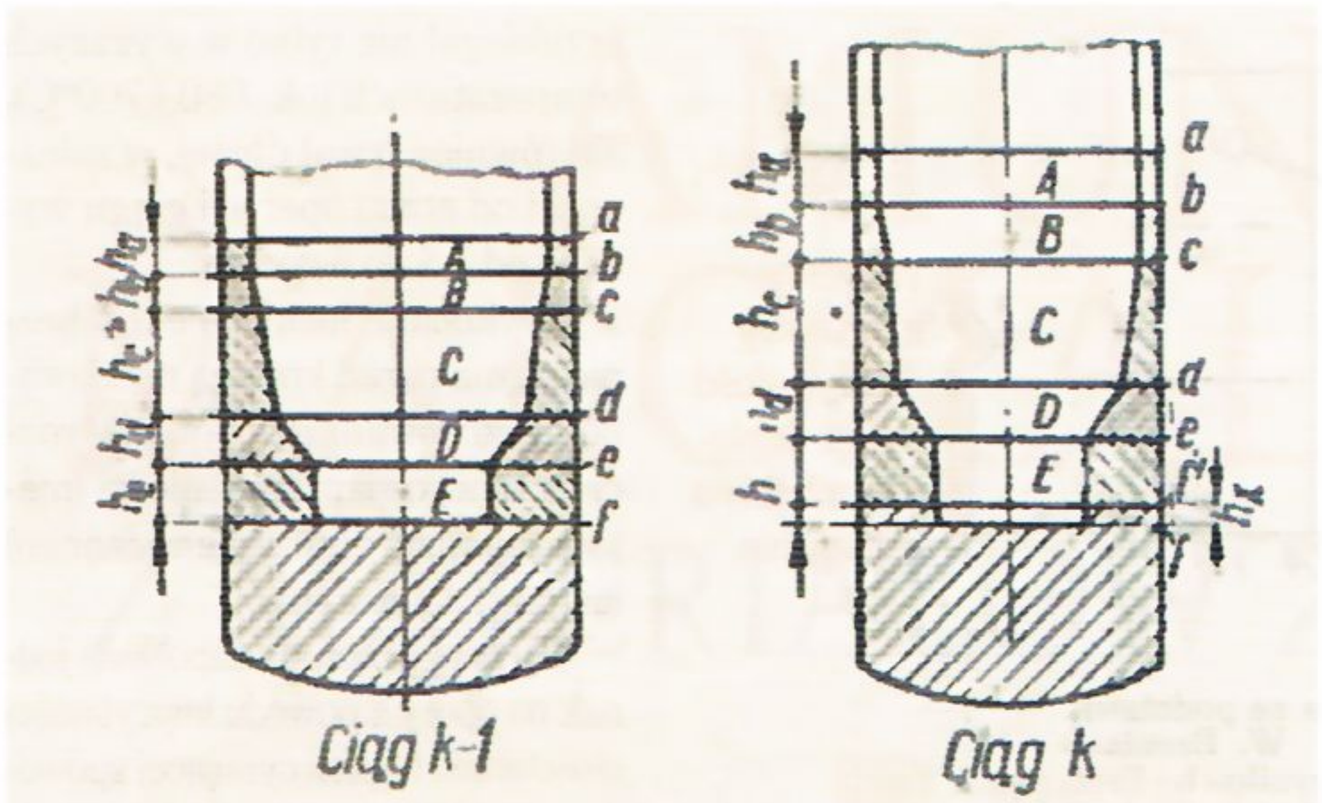

Rys. 5.

Schemat wytłoczenia produktów pośrednich.

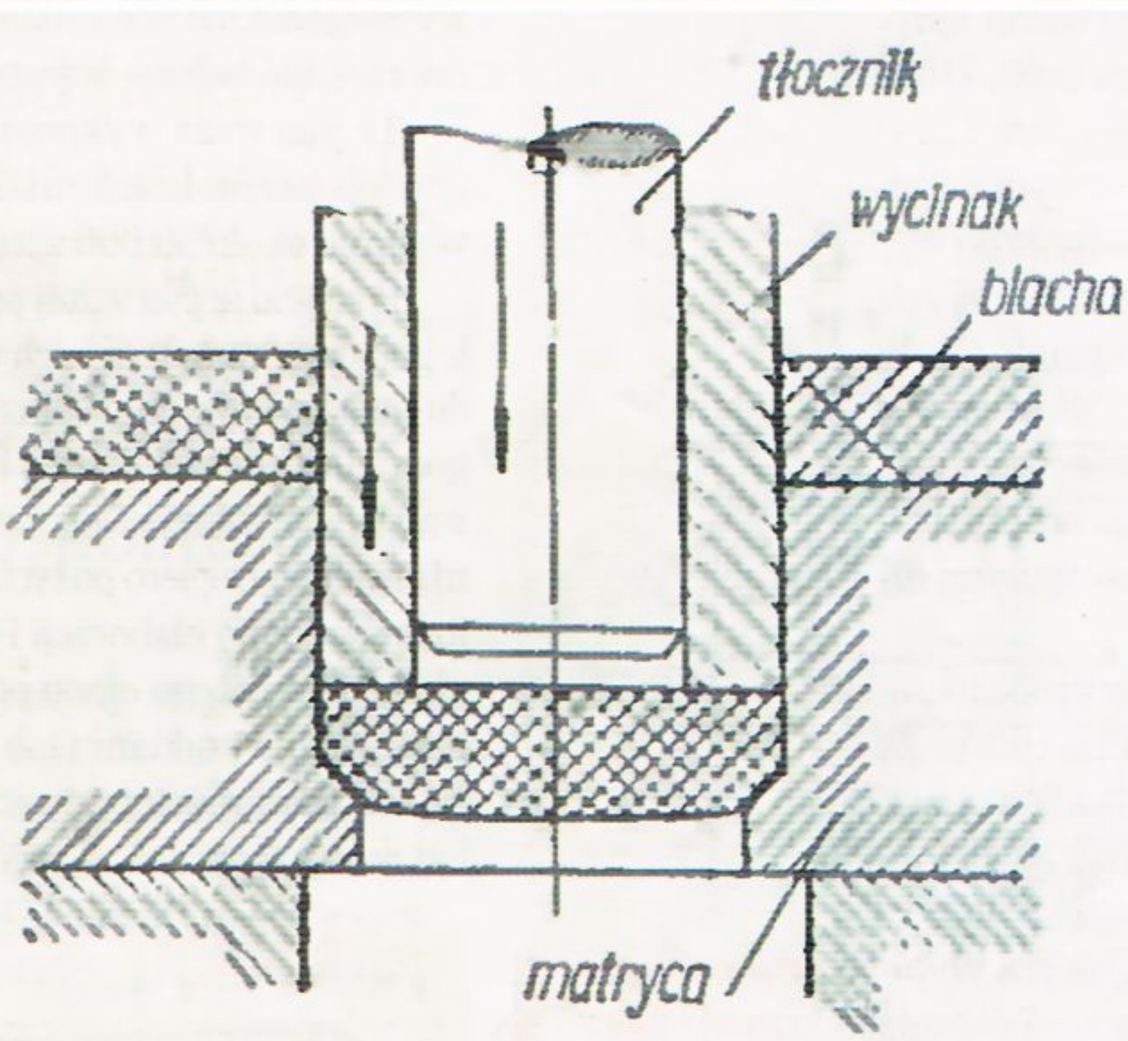

. 9.

Proces wytłaczania miseczki.

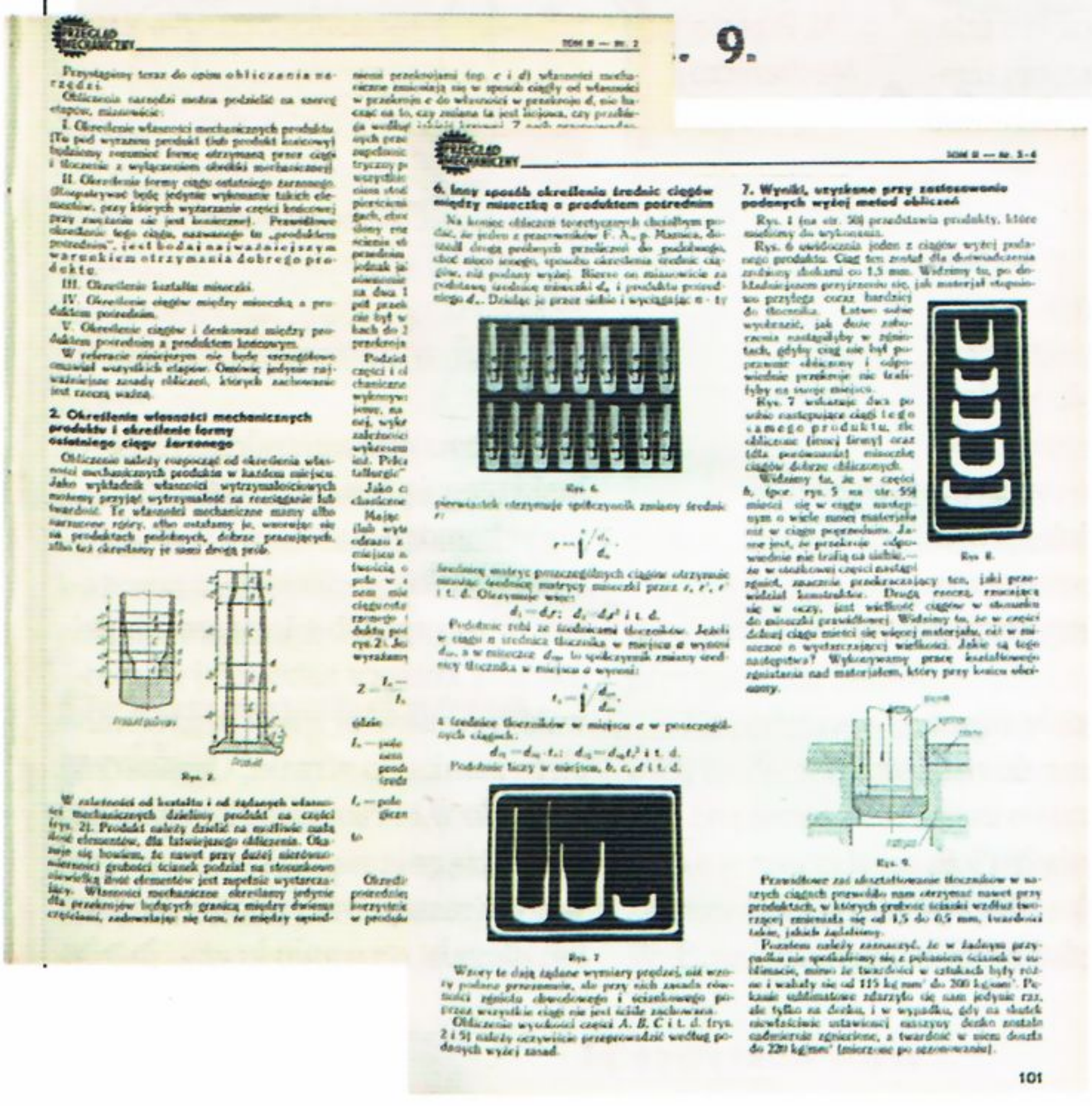

Przegląd Mechaniczny 1936 rok, nr 3-4.

Przegląd Mechaniczny 1936 rok, nr 13-14.

>>> Niejako dodatkowym gwoździem do trumny tych prób było to, że amunicja wystawiona na działanie niekorzystnym warunków atmosferycznych [choć opis przebiegu tych prób był co najmniej enigmatyczny, cytując: „letnią porą na łące pokrytej rosą" – przyp. aut.] niezależnie od zastosowanej powłoki ochronnej ulegała w znacznym stopniu korozji (pordzewieniu).

Podsumowaniem tych prób było jednak stwierdzenie, że pomimo zauważenia niekorzystnych cech w postaci deformacji łusek podczas strzału, to prawdopodobnie udałoby się je wyeliminować i poprawić poprzez odpowiednie zmiany w procesie obróbki termicznej i mechanicznej półfabrykatów polegające na zwiększeniu odporności na ciśnienie gazów prochowych oraz wprowadzenie odpowiedniego natłuszczania łusek, aby zmniejszyć ich przyleganie do komory i tym samym ułatwić ich ekstrakcje.

Problemem jednak nadal pozostawało przeciwdziałanie korozji tak wykonanej amunicji chroniącej jej przed szkodliwymi wpływami atmosferycznymi.

Na podstawie wcześniejszych prób założono tym razem, że kierunek badań powinien pójść w kierunku poszukiwania materiału odpornego na działanie warunków atmosferycznych, przy tym spełniającego wymagania w zakresie odpowiedniej obróbki.

Żelazo „Armco"

Jako materiał wyjściowy do dalszych prób wybrano żelazo „Armco" (dziś zakwalifikowalibyśmy go do gatunku stali miękkich) produkowane i sprzedawane przez amerykańską firmę (posiadającą również swoje oddziały w Anglii, Francji i Niemczech)

Pod względem składu chemicznego materiał zawierał sumę wszystkich domieszek na gwarantowanym poziomie do 0,16% (C: 0,03%; Mn: 0,05%; P: 0,02%; S: 0,05%; Si: 0,005%; Cu:0,05 %), dziś byśmy określili ten materiał jako gatunek stali miękkiej.

www.odkrywca.pl

Prowadzone badania nad nim pozwoliły określić, że właściwości mechaniczne są prawie analogiczne z krzywymi mosiądzu CuZn33 stosowanego do wyrobu łusek karabinowych, co pozwalało przypuszczać podobne zachowanie przy ich produkcji. Dodatkowymi zaletami była duża podatność na głębokie tłoczenie na zimno (ciągliwość) niewiele ustępującą miedzi, co pozwalało przypuszczać, że będzie możliwe zmniejszenie ilości operacji przy ciągnięciu łuski, dużej podatności do pokrywania metalami, takimi jak miedź, cyna, cynk. Najważniejszą zaletą jednak, która skłoniła do testów tego materiału, była wysoka odporność na korozję.

Wykonano wtedy partię łusek z zastosowaniem blachy wykonanej z żelaza „Armco", jednak w trakcie tych prób musiano uwzględnić dodatkowe utrudnienia, które wynikły w czasie ich trwania. Otóż materiał na próby dostarczono w postaci taśm o grubości 3 mm zamiast 3,4 mm, co okazało się za małą grubością. Stąd wynikła konieczność wprowadzenia dodatkowych operacji w opracowanym poprzednio procesie technologicznym polegająca na spęcznieniu naparstka celem osiągnięcia wymaganej grubości denka łuski. Dodatkowo problemem okazało się cynowanie przed operacjami ciągnienia. Udało się jednak rozwiązać te zagadnienia w pozytywny sposób dla przebiegu wszystkich operacji i wykonana próbna partia łusek bez żadnej dodatkowej powłoki ochronnej została zelaborowana i poddana strzelaniu.

Uzyskane wyniki testów potwierdziły słuszność założeń, łuski zachowywały się bowiem zupełnie dobrze zarówno w broni ręcznej, jak i maszynowej i nie występowały jak poprzednio problemy z ich zakleszczaniem w komorze nabojowej czy też zrywaniem kryzy. Oceniano je nawet jako zbliżone pod względem właściwości użytkowych do łusek mosiężnych. Zauważono co prawda pewnego rodzaju wadę w postaci pękania podłużnego szyjek, ale miało ona miejsce dopiero przy próbie rekonstrukcji łusek, co zresztą nie miało ujemnego wpływu na funkcjonowanie broni maszynowej na tak wykonanej amunicji.

Łuski poddane testowi na odporność warunków atmosferycznych wykazały się zadowalającą odpornością na rdzewienie i w tym względzie znacznie przewyższały poprzednie próby. Jednak podobnie

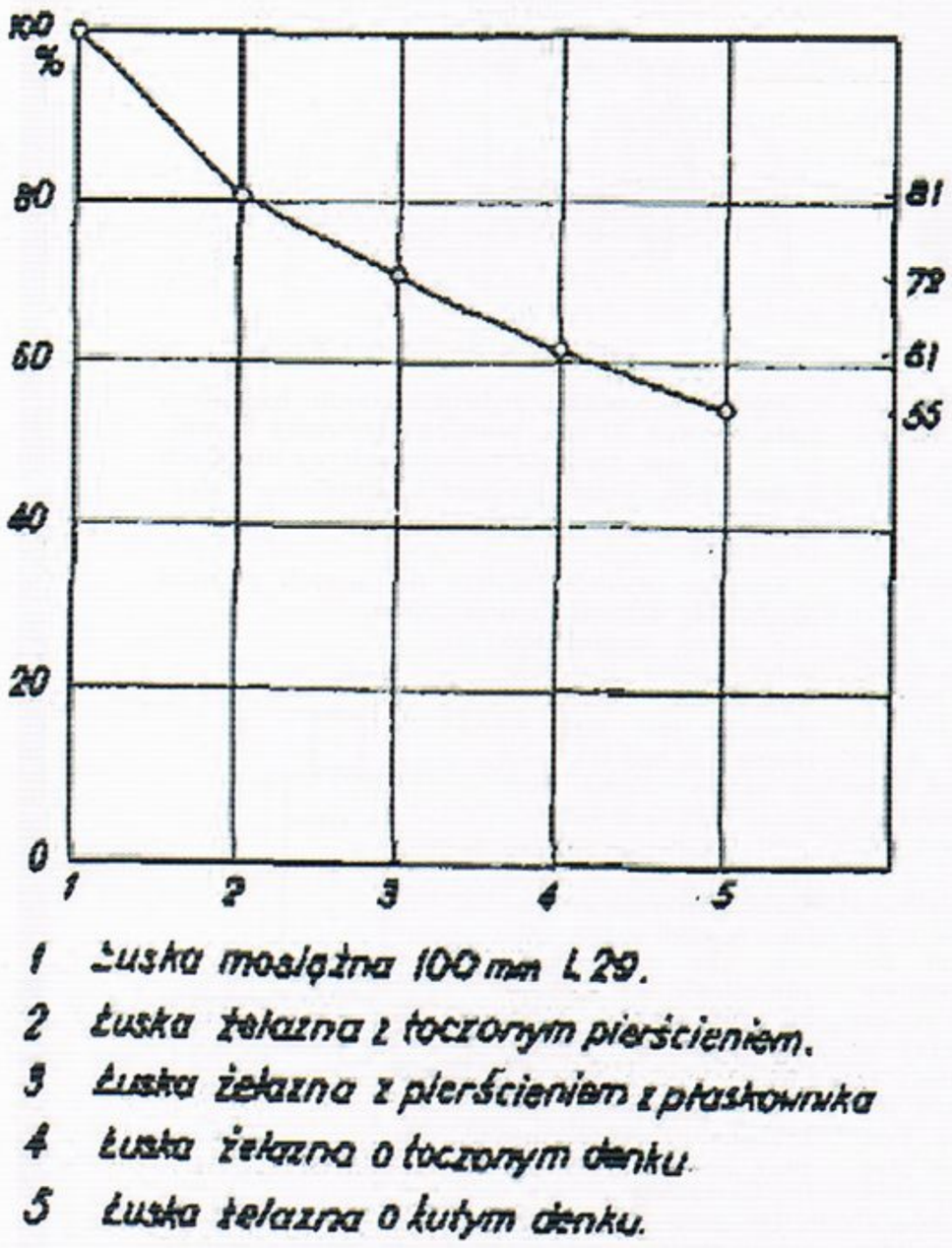

Rys. 24.

jak w poprzednich testach łuski nie były odporne na wewnętrzną korozję spowodowaną erozyjnym działaniem gazów prochowych.

Wszystkie te wymienione wady stanowiły jednak drugorzędny aspekt, bowiem zakładano, że od łusek żelaznych (stalowych) nie będzie się wymagało konieczności zdolności do ponownego użytku po ich rekonstrukcji. Tak więc te wady oraz inne mogące się ujawnić po strzale uważano za dopuszczalne, oczywiście stojąc przy założeniu że nie będą miały ujemnego wpływu na funkcjonowanie zarówno broni ręcznej, jak i maszynowej.

Podsumowaniem tych pierwszych prób było stwierdzenie zapisanie przez nadzorującą temat Komisję, że wykonane próby potwierdzają możliwość wykonania łusek z materiałów zastępczych tańszych od stosowanego mosiądzu, dając przy tym właściwości użytkowe zbliżone do niego zarówno w broni ręcznej, jak i maszynowej i zachowując odporność na rdzewienie.

Pomimo pozytywnego wyniku tych prób nie rozwiązano jednak całkowicie zasadniczej kwestii, a mianowicie samowystarczalności przemysłu w tym zakresie. W ówczesnym czasie i tak trzeba byłoby sprowadzać ten surowiec z zagranicy, gdyż w kraju go podówczas nie produkowano. Pozostawała w tym momencie do rozstrzygnięcia kwestia, czy zakupić bezpośrednio patent i produkcję licencyjną „Armco", czy też dążyć wysiłkiem krajowego przemysłu hutniczego do wyprodukowania surowca o podobnych właściwościach użytkowych, czy też może nawet lepszych.

Wybrano tę drugą drogę postępowania, zwłaszcza że sam skład żelaza „Armco" nie był opatentowany, a tylko proces jego wyrobu. Huty miały podjąć w tym kierunku odpowiednie studia i przygotowania materiału, który odpowiadałby postawionym przed nim zadaniom. Jednak niezależnie od tego najważniejszym aspektem tych działań było również to, aby był on wykonany całkowicie w kraju i najlepiej z krajowych surowców.

Wiadomo w tym względzie, że próby w tym kierunku podejmowane były przez hutę Zakładów Starachowickich, która w drugiej połowie lat 30. próbowała wykonać partie żelaza o właściwościach zbliżonych do „Armco" wraz opracowaniem jego odpowiedniej technologii obrabiania przy wytwarzaniu.

Żelazo „Armco", oprócz swych niewątpliwych zalet >>>

www.odkrywca.pl

PRZEGLĄD MECHANICZNY — TOM II — Nr. 13-14

prób Erichsena posłużył nam materjał o składzie chemicznym, mieszczącym się w granicach podanych powyżej, zwalcowany o 40%, ofiarowany nam przez zakłady Norblin, B-cia Buch i Werner, pod postacią taśm o grubości 2, 1,5, 1, 0,5 i 0,3 mm. Wyżarzanie tych blach przeprowadziliśmy w sposób taki sam, jak materjału poprzedniego.

Krążki do badań wycinaliśmy zapomocą wycinaka i matrycy na maszynie Amslera.

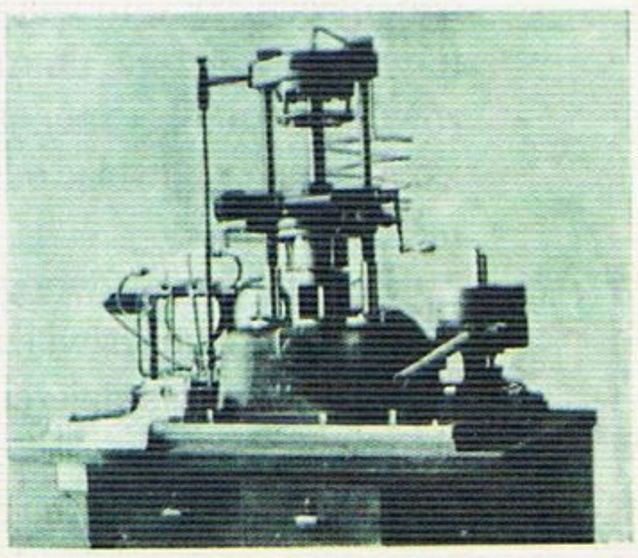

Rys. 1. Tłoczarka Wazau'a.

Blachy (paski) przed wycięciem krążków trawiono w roztworze kwasu siarkowego, a krążki przed założeniem na tłoczarkę obustronnie smarowano przetopionym łojem.

Do określania siły maksymalnej i pracy tłoczenia służyła nam tłoczarka Wazau'a, której ogólny wygląd podaje rys. 1, a sposób działania pokazuje schemat podany na rys. 2.

Na żeliwnym kadłubie *A* zamocowany jest z tyłu silnik elektryczny 1,5 kW, 1420 obr./min, napędzający za pośrednictwem ślimacznicy *B* i kół zębatych *C* oraz drążków *E* poprzeczkę *D*. Do poprzeczki tej przytwierdzony jest tłocznik *F* w ten sposób, że ciśnienie wywierane na niego od dołu przekazywane jest do manometrów: wskaźnikowego i rejestrującego. Druga poprzeczka *G* jest niezależna od pierwszej i posiada ruch w dół i w górę na kolumnach współśrodkowych z drążkami poprzeczki pierwszej. Korba *H*, ślimaki *S* i ślimacznice *K* służą do uruchamiania tej poprzeczki. Do tej drugiej poprzeczki przymocowany jest dociskacz pierścieniowy również w ten sposób, że nacisk jego może być odczytywany na manometrach (wskaźnikowym i rejestrującym), przyczem nacisk wywierany przez dociskacz jest regulowany przez akumulator hydrauliczny. Podtrzymywacz matrycy *L* jest zaopatrzony w pierścień środkujący dla matrycy *M* i pierścień środkujący dla krążka *N* oraz ściągacz naparstków *P*.

Dzięki pierwszemu urządzeniu można nie tylko odczytywać maksymalną siłę, potrzebną w danym wypadku do przetłoczenia blachy na naparstek, ale również i obliczyć przez planimetrowanie odpowiednią pracę zużytą na to wytłoczenie, gdyż druga współrzędna na wykresie odpowiada drodze tłocznika.

Drugie urządzenie pomiarowe pozwala zorjentować się co do stałości docisku podczas całego procesu wytłaczania. Docisk ten może być zmieniany w granicach od 0 do 3500 kg przez odpowiednie obciążenie akumulatora.

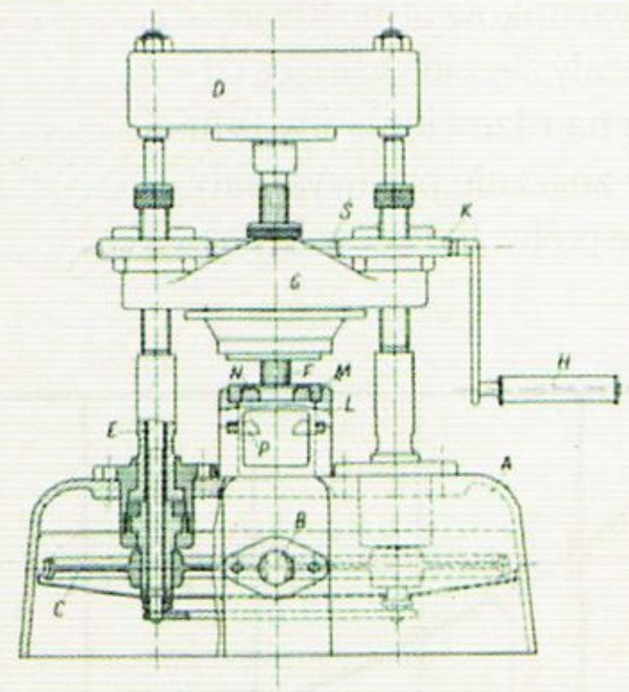

Rys. 2. Schemat działania tłoczarki Wazau'a.

Średnica tłocznika była w naszych badaniach stała i równa 30 mm, promień krzywizny tłocznika — 3,5 mm, średnica otworu matrycy dla blach 3 mm — 36,05 mm, promień zaokrąglenia matrycy — 4 mm. Rys. 3 podaje narzędzia, stosowane przez nas.

Średnice otworów matryc dla innych grubości blach były odpowiednio mniejsze.

Z tego pobieżnego opisu naszej tłoczarki wynika, że szybkość tłoczenia jest stała — równa 1,6 mm/sek — i że ogólny docisk jest przez cały czas stały.

Dla ustalenia wpływu kierunkowości w blachach znaczono wszystkie krążki w ten sposób, aby znaki były równoległe do kierunku walcowania. Znaki wybijano w środku krążka.

Planimetrowanie wykresów wykonywano przy pomocy planimetru Corradiego.

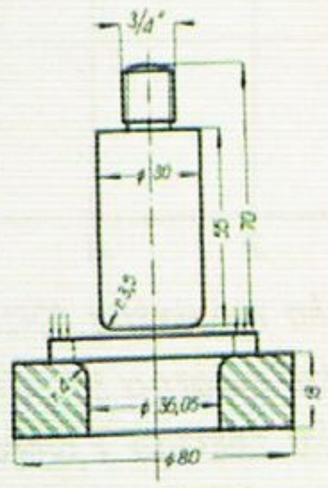

Rys. 3. Narzędzia do tłoczenia miseczek.

Do prób Erichsena użyliśmy aparatu Mohra i Federhaffa, dostosowanego do maszyn wytrzymałościowych, i przeprowadzaliśmy je na prasie Amslera, dzięki czemu można było określać nie tylko głębokość tłoczenia (liczba Erichsena), ale również odczytywać obciążenie rozrywające.

497

>>> jako materiał zastępczy na łuski, posiadało też swoje wady w zakresie obróbki technologicznej. Wymagało ono wysokiej temperatury topnienia, co pociągało za sobą konieczność stosowania specjalnej wyprawy w piecach martenowskich. Następnym problemem były trudności w jego walcowaniu lub kuciu z powodu jego wąskiego zakresu, co doprowadzało do spękań lub nawet rozpadaniu na kawałki obrabianego materiału.

Innym problemem było uzyskanie składu zbliżonego do oryginalnej receptury, której powodem było zanieczyszczenie naszego złomu dodatkiem miedzi w ilości do 0,15%, choć, jak stwierdzono, nie wpływało to ujemnie na właściwości takich stopów.

Żelazo „Tonkan"

Prawdopodobnie innym obranym kierunkiem poszukiwań było również badanie stopów zbliżonych jakościowo do innego materiału o nazwie handlowej żelaza „Tonkan", które pod względem chemicznym różniło się tym, że zawierało w swym składzie dwa razy więcej węgla oraz 4 razy więcej manganu od „Armco" oraz dodatkowo miedź i molibden. Jednak jego zaletą było to, że posiadało wysoką łatwość obróbki na gorąco, dając wysokie właściwości fizyko-mechaniczne, ale bez niebezpiecznego przedziału obróbki jak u konkurenta. Impulsem do tego mogły być pozytywne wyniki uzyskiwane w tym zakresie przez Niemcy czy Rosję.

Na pewno również rozpatrywano szereg innych materiałów, które mogły być użyteczne w tym względzie, jak np. stale miedziowe, czy też podejmowano badania nad platerowaniem stali różnymi powłokami. Zagadnienie te jednak są tak szerokie, że nie mieści się w ramach tego artykułu i bardziej się nadaje na techniczne opracowanie niż historyczną pogawędkę.

Postępowanie testowe

Jeśli chodzi o samo postępowanie testowe potencjalnych nowych materiałów zastępczych, to przygotowany przez huty miał być dostarczany do dalszych prób do wytwórni w postaci standardowych taśm o wymiarach grubość: 3,4 mm, szerokość: 52 mm i długości 1÷1,5 m i przesyłany w kilkunastokilogramowych partiach. Wytwórnie łusek po wstępnych próbach miały dać odpowiedź co do jego jakości, a dopiero na tej podstawie przystąpić do realizacji większych partii łusek.

Wykonana z tych łusek amunicja miała być poddawana szeregowi prób podczas testowych strzelań z broni ręcznej i maszynowej oraz próbom odporności na działanie warunków atmosferycznych. Dodatkowo próby miały być rozciągnięte w kierunku sprawdzenia stopnia zużycia broni przy

Przegląd Mechaniczny 1936 rok, nr 13-14.

www.odkrywca.pl

stosowaniu takiej amunicji. Dopiero na podstawie wyników tych badań i ich analizy miano jednoznacznie odpowiedzieć, czy uzyskany materiał nadaje się do masowej produkcji łusek z niego.

Zdawano sobie bowiem całkowicie sprawę z tego, że dopiero pełny rozruch masowej produkcji może być miernikiem i wskaźnikiem rozwiązania zagadnienia materiału zastępczego na łuski karabinowe. Dopiero wtedy można byłoby wskazać nieprzewidziane trudności, które przy mniejszych wielkościach partii mogły być niedostrzeżone. Miano na uwadze to, że materiał ten będzie miał swoje specyficzne właściwości i czasem nawet może niczym niewytłumaczone kaprysy, brano pod uwagę również aspekt częściowo większego zużycia narzędzi i oprzyrządowania, większej liczby niektórych maszyn (wiertarki, frezarki) w porównaniu do produkcji łusek mosiężnych, większego zużycia pieców, itd. Wszystkie te czynniki można było dopiero przeanalizować i ująć w jakieś dane liczbowe i ramy statystyczne dopiero po wykonaniu szeregu obserwacji i spostrzeżeń, jakie towarzyszą tylko przy masowej produkcji danego asortymentu, jakim były w tym wypadku łuski karabinowe.

W tym temacie brak jest natomiast całkowicie informacji o fakcie czy podczas tych badań rozwojowych rozważano również przeprowadzenie testów z wykonywaniem łusek pistoletowych czy też dla małokalibrowej amunicji sportowej 5,6 mm (oprócz amunicji karabinowej).

Przy okazji tego artykułu warto wspomnieć niejako z kronikarskiego obowiązku o tym, że podczas wdrażania projektu nowej polskiej amunicji w kalibrze 20 mmx140B w roku 1937, pierwsza partia łusek wyprodukowana przez Fabrykę Amunicji w Skarżysku miała być wykonana poprzez toczenie z prętów stalowych. Spowodowane było to pośpiechem, aby jak najszybciej dostarczyć te elementy do Fabryki Karabinów w Warszawie do dalszych testów. Jednak trudno mówić tu w tym przypadku o testowaniu technologii zastępczej w kontekście docelowej produkcji tej amunicji.

Na tym kończę artykuł, jednak osobiście zadaję sobie jeszcze wiele pytań, na które wciąż brak odpowiedzi. Mam nadzieję, że zawarte w nim informacje przyczynią się do dalszej dyskusji w tym temacie i do poszerzenia wiedzy dzięki naszym czytelnikom, którzy być może dysponują dodatkowymi informacjami. <

Piotr J. Bochyński
Odkrywca, hobbysta i pasjonat polskiej historii strzeleckiej.

LITERATURA

ZBIGNIEW GWÓŹDŹ, PIOTR ZARZYCKI; **„Polskie konstrukcje broni strzeleckiej"**; Wydawnictwo Czasopism i Książek Technicznych SIGMA NOT, Spółka z o.o., Warszawa 1993

JAROSŁAW DĄBROWSKI; **„Łuski stalowe Polskiej amunicji karabinowej z okresu międzywojennego"**; Militaria i Fakty 5, 2004, nr 2 (23), s.16-17

GRZEGORZ FRANCZYK; **„Polska amunicja strzelecka 1919-2004"**; Kraków, 2005

INŻ. ST. PŁUŻAŃSKI; **„Przemysł a przyszła wojna"**; Przegląd Techniczny, Tom LXXII, nr 3, 1933

JAN CZOCHRALSKI; **„Metale i ich namiastki w świetle samowystarczalności"** Hutnik, R.IX , zeszyt 7, 1937

PPŁK. W. VORBRODT; **„Techniczne możliwości broni,a zwłaszcza sprzętu artyleryjskiego"** Przegląd Techniczny nr 21, 1933, Tom LXXII

PPŁK. INŻ. Z. WOJNICZ-SIANOŻĘCKi; **„Ośrodki przemysłu wobec przyszłej wojny"**; Przegląd Techniczny nr 3, 1933, Tom LXXII

TADEUSZ ŁUKASZEWSKI; **„Amunicja karabinowa"**. Warszawa: Instytut Badań Materjałów Uzbrojenia, 1933

INŻ. L. SZROJT; **„Żelazne łuski działowe"**; Wiadomości Towarzystwa Wojskowo-Technicznego, nr 2, R.V, 1937 (dodatek do Przeglądu Technicznego)

KPT. INŻ. W. ROBOWSKI, **„Zastosowanie żelaza jako materjału zastępczego na łuski karabinowe oraz możliwości zbytu tego żelaza na rynku prywatnym"**; Przegląd Techniczny nr 21, 1933, Tom LXXII

INŻ. E. ŁODZIŃSKI, **„O żelazie Armco"**; Przegląd Techniczny nr 25, 1937, Tom LXXVI

DR INŻ. A. KRUPKOWSKI; **„ Wpływ przewężenia na wydłużalność próbek przy rozrywaniu"**; Przegląd Mechaniczny, T.I, nr 2, 1935

DR. INŻ. I. FESZCZENKO-CZOPIWSKI, Inż. Metalurg S. Poźniak; **„O stali miękkiej i jej ulepszaniu termicznem"**; Przegląd Techniczny, T.LXIX, nr 44, 1930

DR. INŻ. I. FESZCZENKO-CZOPIWSKI, INŻ.METALURG S. POŹNIAK; **„O stali miękkiej i jej ulepszaniu termicznem – dok."**; Przegląd Techniczny, T.LXIX, nr 44, 1930

INŻ. B. KAMIEŃSKI; **„Nowy sposób wyrobu łusek armatnich stosowany w Niemczech"**; Wiadomości Towarzystwa Wojskowo-Technicznego, T.III, nr 3, 1935

DR. INŻ. WŁ. ŁOSKIEWICZ; **„Zagadnienie mosiądzu i jego namiastek"**; Przegląd Mechaniczny. T. 2, nr 10-11, 1936

INŻ. STANISŁAW HROBONI; **„Zależność własności mechanicznych taśm platerowanych od własności płyt stalowych użytych do ich wyrobu"**; Czasopismo Techniczne. R. 54, nr 17, 1936

INŻ. MARIAN POPIEL; **„Wzgórki na miseczkach z niklomiedzi i sposoby ich uniknięcia"**; Czasopismo Techniczne. R. 54, nr 16, 1936

REKLAMA

www.wykrywacze24.pl

POLECAMY SZEROKI WYBÓR DETEKTORÓW
DLA KAŻDEGO POSZUKIWACZA

JESTEŚMY DYSTRYBUTORAMI MAREK

DORADZAMY...SPRZEDAJEMY...SERWISUJEMY...
tel. 660 797 830, e-mail: El-car@tlen.pl
72-200 Nowogard, ul. 3 Maja 44

CZĘŚĆ 2

BATERIA „VARA”

JACEK JAROSZ

Stanowisko baterii, wchodzącej w skład Wału Atlantyckiego, złożone było z rozbudowanej infrastruktury.

Na uzbrojenie główne baterii „Vara” wchodziły armaty kalibru 380 mm typu SK C/34 (Schnelladekanone, model 1934). Stanowiły one rozwinięcie pochodzących jeszcze z pierwszej wojny światowej dział 380 mm typu SK L/45, które zostały ustawione na pancernikach Cesarskiej Marynarki Wojennej (Kaiserliche Marine) typu „Bayern” („Bayern” i „Baden”) oraz w bateriach artylerii nadbrzeżnej („Deutschland” i „Pommern”) i artylerii lądowej dalekiego zasięgu. Działa baterii „Vara” była prawie takie same jak te, które zostały zamontowane w dwulufowych wieżach na najnowszych i najsilniejszych niemieckich pancernikach typu „Bismarck” („Bismarck” i „Tirpitz”). Należały one do partii armat, które zostały zamówione dla trzeciego i czwartego okrętu tego typu, od których budowy jednak Kriegsmarine odstąpiła. Wkrótce na działa te zwrócił uwagę będący od niedawna „sojusznikiem” III Rzeszy Związek Radziecki. Postanowił on je od Niemców odkupić i wykorzystać na znajdujących się w początkowej fazie budowy najcięższych krążownikach typu „Kronsztad”[1]. Rozpoczęte 11 lutego 1940 roku negocjacje z firmą Friedrich Krupp zakończyły się 30 listopada tego roku podpisaniem umowy na dostarczenie Flocie Czerwonej 12 armat w sześciu wieżach typu Drh LC/34. Pierwsza wieża miała być dostarczona w terminie od 5 października 1941 do 28 lutego 1942, druga – od 5 grudnia 1941 do 31 marca 1942, trzecia – od 5 lutego do 30 kwietnia 1942, czwarta – od 5 maja do 30 listopada 1942, piąta – od 5 czerwca do 31 grudnia 1942, a szósta – od 5 listopada 1942 do 28 marca 1943 roku. Po ataku

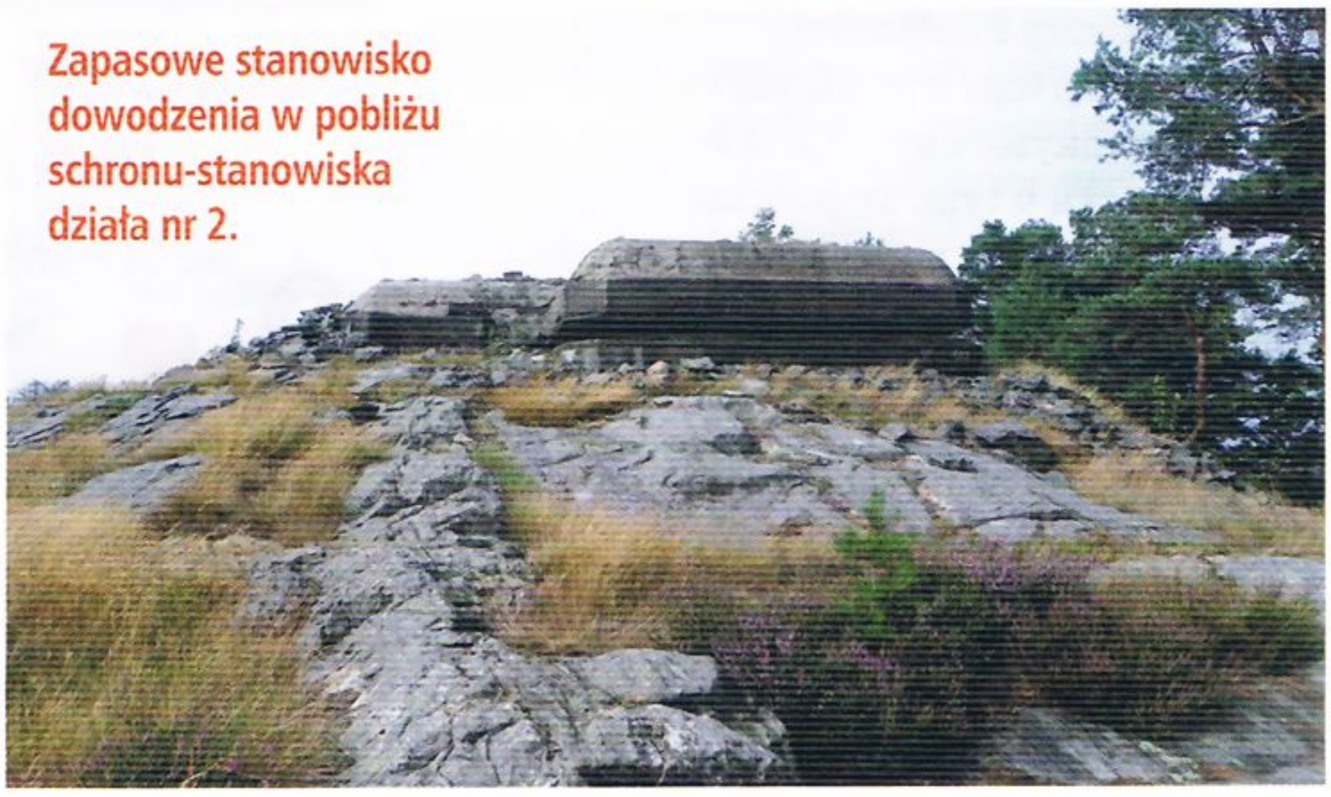

Zapasowe stanowisko dowodzenia w pobliżu schronu-stanowiska działa nr 2.

fot. J.Jarosz

www.odkrywca.pl

Zachowana armata kalibru 380 mm nr 2.

Wehrmachtu na ZSRR z oczywistych względów transakcja ta nie mogła zostać zrealizowana. Wyprodukowane już działa miały teraz stanowić rezerwę dla „Bismarcka" i „Tirpitza", jednak wkrótce postanowiono je wykorzystać w artylerii nadbrzeżnej. Armaty te były nieco zmodyfikowane w stosunku do pierwowzoru, gdyż przystosowane zostały do strzelania pociskami o mniejszej masie, jednak o większej donośności. Był to efekt przeprowadzonych przy pomocy armat kolejowych kalibru 380 mm typu K (E) „Siegfried"[2] eksperymentów.

Działa takie same

Takie same działa wchodziły na uzbrojenie kilku innych niemieckich baterii Wału Atlantyckiego: wybudowanej we Francji baterii „Siegfried" (od 1942: „Todt") oraz znajdujących się w Danii baterii – „Hanstholm II", „Vogelnest" (od 1944: „Tirpitz") MKB 4/MAA 518 i „Bornholm-Süd" MKB?/MAA?. Usytuowana w miejscowości Haringzelles koło Audinghen bateria „Siegfried"/„Todt" na swoim uzbrojeniu miała cztery pojedyncze armaty ustawione w wieżach, które zamontowane zostały w kazamatach typu S 262. Znajdująca się w pobliżu Hanstholmu bateria „Hanstholm II" uzbrojona była w cztery pojedyncze działa w wieżach ustawionych na odkrytych stanowiskach typu S 75/80. Nieukończona, ulokowana w miejscowości Blåvand koło Esbjergu bateria „Vogelnest"/„Tirpitz" na swoim uzbrojeniu miała mieć dwie podwójnie sprzężone armaty w wieżach >>>

>>> na odkrytych stanowiskach typu S 561. Również usytuowana w Dueodde na wyspie Bornholm bateria „Bornholm-Süd" nie została ukończona. Według projektu miała posiadać cztery pojedyncze działa w wieżach na odkrytych stanowiskach typu S 75/80, z których ostatecznie wybudowano jedynie dwa.

Armaty i pociski

Armaty baterii „Vara" zostały wyprodukowane w niemieckim przedsiębiorstwie zbrojeniowym Friedrich Krupp z Essen. Miały następujące numery: 76, 77 i 79 (armata nr 2), natomiast niezamontowane działo nr 1–78. Całkowita masa działa (wieża + laweta + armata) wynosiła 337 t. Masa lufy sięgała 110,7 t, a masa bloku klinowego zamka 2,5 t[3]. Długość armaty z zamkiem wynosiła 19,76 m (L 52), a samej lufy 15,96 m. Średnica komory ładunkowej sięgała 44,6 cm. Na stanowisku odkrytym w poziomie lufa mogła obracać się o 360°, w płaszczyźnie pionowej unosiła się do +52° i obniżała do -2°. Po zainstalowaniu w kazamacie zakres wychylenia lufy na boki miał sięgać 120°. Teoretyczna szybkostrzelność wynosiła jeden wystrzał na 90 sekund przy doświadczonej obsłudze[4]. Odrzut działa sięgał od 82 do 105 cm w zależności od użytego ładunku. Żywotność lufy oceniana była na od 250 do 300 wystrzałów. Wystrzał działa był inicjowany w sposób elektryczny lub mechaniczny.

Bateria wykorzystywała trzy rodzaje pocisków artylerii głównej – przeciwpancerny o masie 800 kg i długości 168 cm typu 38,0 Sprgr L/4,4 m Bdz C/38 Hb, odłamkowo-burzący o masie 800 kg i długości 175 cm typu 38,0 Sprgr L/4,6 m KZ m Hb oraz odłamkowo-burzący o masie 495 kg[5] i długości 167 cm typu 38,0 „Siegfried" L/4,5 m Bdz u KZ m Hb. Te dwa pierwsze określano jako pociski standardowe, trzeci natomiast jako lekkie. Prędkość początkowa pocisku o masie 800 kg wynosiła od 510 do 820 m/s, w zależności od ilości użytego ładunku miotającego, natomiast pocisku o masie 495 kg – od 930 do 1050 m/sek. Maksymalna donośność pocisku o masie 800 kg wynosiła 43 000 m, natomiast pocisku o masie 495 kg – 55 000 m. Maksymalna wysokość, którą mógł osiągnąć pocisk o masie 495 kg po wystrzale przy kącie podniesienia lufy 52° sięgała około 20 000 m, natomiast pocisku 800 kg – 15 000 m. Czas lotu pocisku o masie 800 kg na maksymalną odległość wynosił 103 sek., a o masie 495 kg 120 sek. Pocisk przeciwpancerny o masie 800 kg z dystansu 18 000 m mógł przebić pancerz o grubości 460 mm, z 20 000 m – 420 mm,

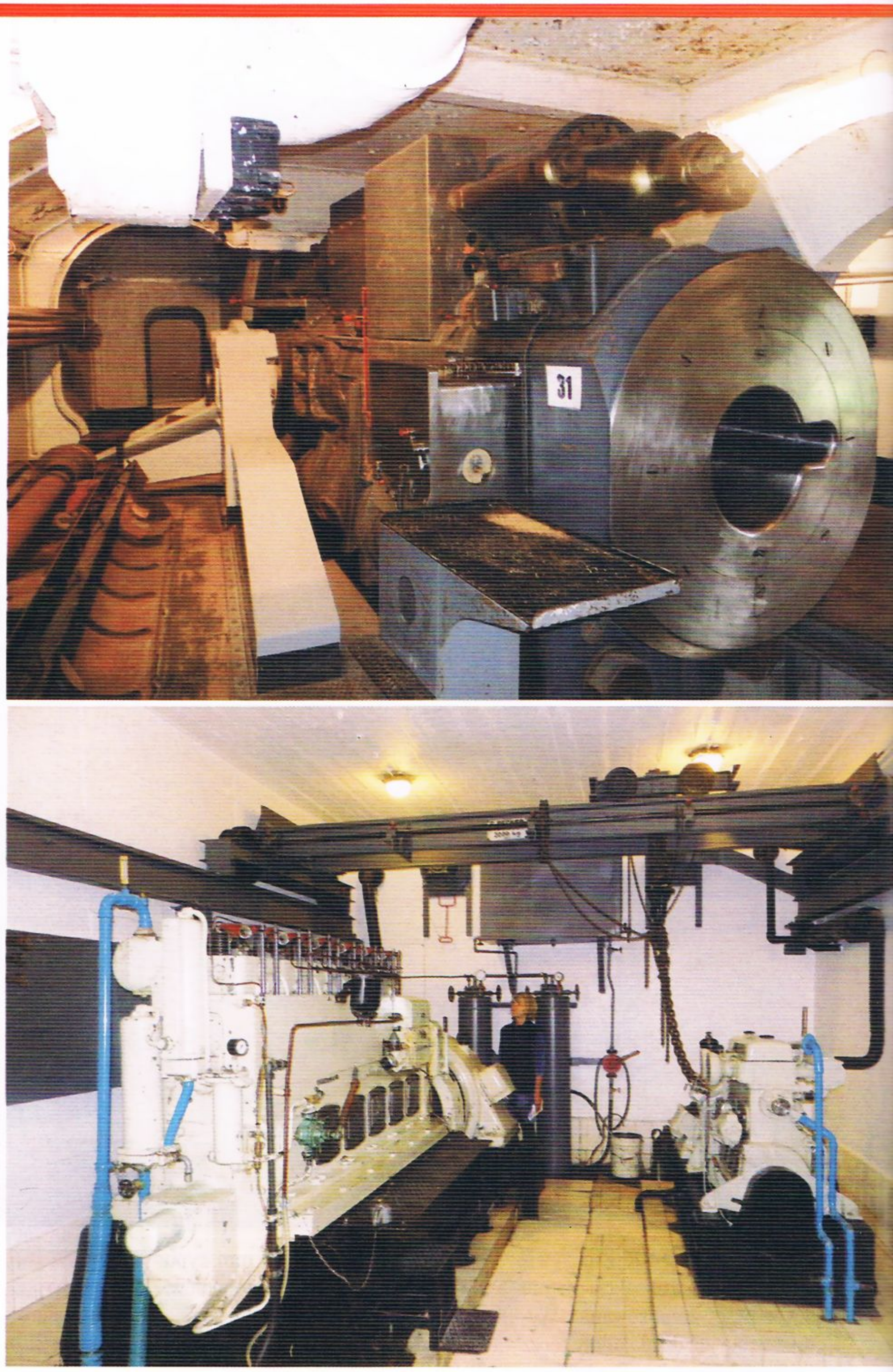

Zamek działa nr 2.

Siłownia w schronie-stanowisku armaty nr 2.

fot. J.Jarosz

www.odkrywca.pl

a z 40 000 m – 218 mm. Pocisk odłamkowo-burzący o masie 800 kg mógł przebić pancerz o grubości 320 mm, a z 40 000 m – 135 mm. Pocisk odłamkowo-burzący o masie 495 kg z dystansu 40 000 m mógł przebić pancerz o grubości 220 mm. Maksymalny rozrzut pocisków dochodził do 35 m. Łuska o masie 97,75 kg zawierała główny ładunek prochowy ważący 114,25 kg. Między ładunkiem głównym a pociskiem lokowano tak zwany ładunek przedni, którego masa była różna w zależności od tego, na jaką odległość planowano pocisk wystrzelić. Maksymalne ładunki przednie przy pociskach 800 kg miały masę 143 kg, a przy pociskach 495 kg – 180 kg[6]. Do strzelań ćwiczebnych używano luf wkładkowych kalibru 127 mm typu Abk. K L/35. Wykorzystywane do nich były pociski o masie 28 kg, prędkości początkowej sięgającej 750 m/sek. i donośności 14 000 m.

Lawety

Działa baterii „Vara" zostały ustawione na lawetach typu C/39 (Bettungsschiessgerüst) o masie 75 t. Lawety te wykorzystane były także w trzech innych bateriach ciężkiej artylerii nadbrzeżnej Wału Atlantyckiego. Były to: wybudowana we Francji bateria „Grossdeutschland"/„Lindemann" (ekshelska „Schleswig-Holstein") oraz znajdujące się w Norwegii baterie – „Nötteröy" MKB 6/MAA 501, „Dietl" MKB 4/MAA 516 i „Trondenes I" MKB 5/MAA 511. Usytuowana w miejscowości Sangatte koło Calais bateria „Grossdeutschland"/„Lindemann" została uzbrojona w trzy pojedyncze armaty kalibru 406 mm typu SK C/34 ustawione w wieżach umiejscowionych w kazamatach typu S 262. Wybudowana w miejscowości Steigen na wyspie Engeløya bateria „Dietl" była uzbrojona w trzy pojedyncze armaty kalibru 406 mm typu SK C/34 w wieżach ustawionych na odkrytych stanowiskach typu S 384. Znajdująca się w Trondenes koło Harstad bateria „Trondenes I" posiadała cztery takie same działa w wieżach ustawionych również na stanowiskach typu S 384. Lawety typu C/39 wykorzystano także w nieukończonej baterii „Nötteröy". Była ona usytuowana w norweskiej miejscowości Hårkollen (koło Nötteröy) i miała być uzbrojona w eksfrancuskie trzy pojedyncze działa kalibru 380 mm typu KM 36/35 (f)[7] w wieżach ustawionych w kazamatach typu S 536.

Wieże

Działa baterii „Vara" zostały zamontowane w wieżach o długości całkowitej sięgającej 19 m, szerokości 7,2 m i wysokości 5,5 m. Długość wieży wraz z lufą wynosiła 27 m. W swojej przedniej części wieże zwężały się do 5,6 m, a ich wysokość zmniejszała się do 4,9 m[8]. Grubość pancerza wieży o masie 150 t dochodziła do 50 mm[9]. Wieże obracały się na centralnym trzpieniu i poziomych łożyskach toczonych.

Kazamata-stanowisko działa nr 1.

Schrony i inne obiekty

Cztery odkryte stanowiska typu S 169 zostały wybudowane jako jedyne obiekty tego typu, natomiast zamontowano na nich tylko trzy działa, czego przyczyną miała być zmiana koncepcji odnośnie konstrukcji ich stanowisk bojowych (planowane zabezpieczenie dział poprzez budowę kazamat). Zostały one wprowadzone do eksploatacji w lutym 1941 roku.

Schrony-stanowiska bojowe baterii były wybudowane z żelbetu, przy czym tam, gdzie się dało, dodatkowo zabezpieczano je kamiennym płaszczem. Całkowita powierzchnia obiektu sięgała około 530 m². Stanowiska były obsypane ziemią i kamieniami, w odróżnieniu od obiektów typu S 75/80 helskiej baterii „Schleswig-Holstein" (późniejsza „Grossdeutschland"/„Lindemann"). Wymiary schronu-stanowiska były następujące: długość całkowita 49,5 m, szerokość 33,2 m, a wysokość około 6 m. Średnica zewnętrzna okrągłego stanowiska działa wynosiła około 28 m, natomiast średnica wewnętrzna sięgała 18 m. Za stanowiskiem armaty znajdowały się ustawione obok siebie cztery pomieszczenia na amunicję (w sumie o masie około 100 t), z czego dwa wewnętrzne na pociski, a dwa zewnętrzne na ładunki miotające.

Za magazynami amunicyjnymi usytuowany był blok pomieszczeń technicznych, między innymi zawierający – siłownię, pomieszczenia wentylatorów i filtrów powietrza, pomieszczenie łączności, pomieszczenia załogi, łaźnie i toalety. Generator prądotwórczy >>>

www.odkrywca.pl

>>> o mocy 196 KM był napędzany 6-cylindrowym silnikiem wysokoprężnym. Zapas paliwa do diesla wynosił 10 000 l. Moc generatora wystarczała do zasilania dwóch sąsiednich stanowisk armat. Obsada stanowiska armaty składała się z 54 szeregowców i podoficerów, których dowódcą był starszy sierżant. W czasie prowadzenia ognia w wieży znajdowało się 19 osób, natomiast dostarczaniem amunicji do wind wieży zajmowało się 10 żołnierzy. Schrony-stanowiska były dobrze zamaskowane przy pomocy sieci maskujących – drutowych i linowych – oraz przy pomocy farbomaskowania.

Solidna żelbetowa kazamata wybudowana na stanowisku działa nr 1 miała strop o grubości 4,5 m oraz ściany o grubości 3,8 m. Wymiary obiektu były następujące: długość 50 m, szerokość 35 m i wysokość 20 m. W jej przedniej części znajdowały się dwa stanowiska dla broni maszynowej będące jedną z odmian klasycznego schronu typu „Tobruk". Podobnie jak stanowiska odkryte, także kazamata była dokładnie zamaskowana.

Transport

Do każdego stanowiska bojowego dochodziły tory kolejki wąskotorowej, którymi przy pomocy specjalnych wagoników dostarczano pociski i ładunki miotające z dwóch schronów amunicyjnych typu S 174, które znajdowały się w odległości 500–600 m za stanowiskami bojowymi. Wydawałoby się, że odległość ta nie jest wystarczająca, jednak między stanowiskami armat i schronami amunicyjnymi znajdowało się wzniesienie o wysokości około 8 m i szerokości około 50 m, które miało stanowić barierę bezpieczeństwa. Schrony typu S 174 wprowadzono do eksploatacji w lutym 1940 roku. Wymiary obiektu były następujące: długość 44 m (całkowita 52 m) i szerokość 40 m. Po dwa takie same schrony amunicyjne posiadały baterie – „Schleswig-Holstein" i „Hanstholm II".

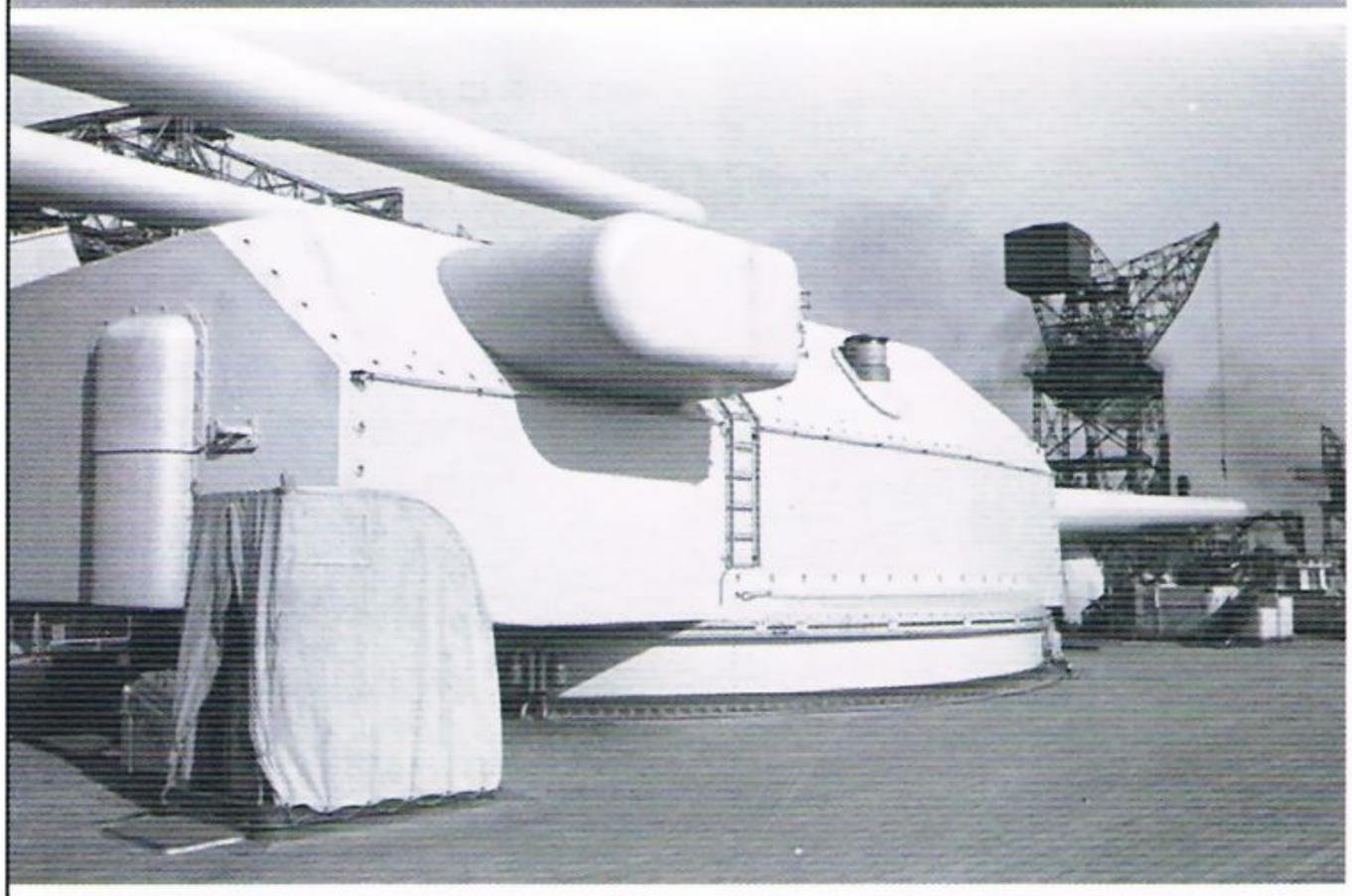

Pancerniki typu „Bismarck" były wyposażone w niemal identyczne działa 380 mm, jak te z baterii „Vara".

Stanowisko dowodzenia i dalmierz

Główne stanowisko dowodzenia baterii zostało wybudowane około trzy kilometry na południe od baterii w rejonie miejscowość Skålevik (Gråheia) na wyspie Flakkerøy. Schron typu S 414 ma długość 25,6 m i szerokość 15,1 m. Obiekty tego typu zostały wprowadzone do służby w kwietniu 1942 roku. Trójpoziomowy obiekt, do budowy którego użyto około 2000 m³ betonu, był jednym z największych tego rodzaju schronów na Wale Atlantyckim. W sumie wybudowano ich siedem, w tym dwa w Norwegii – na Flakkerøy i nieukończony koło Stavangeru. Dane z dalocelowników spływały do centrali kierowania ogniem, skąd po przeliczeniu i skalkulowaniu wychodziły do stanowisk ogniowych wypracowane dane do strzelania. W centrali kierowania ognia wykorzystywane były urządzenia – przeliczniki i kalkulatory artyleryjskie typów: M/36 (LBKG – Lang Basis Klein Gerät C/36), M/31 (Feuerleittsch, Seitentisch C/39 mit Rechentisch und Abstandsuhr C/31), M/37 (Ballistischer Korektor C/37), M/30 (Parallax-Umrechner C/30) i M/40 (Observations-Umrechner C/40). W pobliżu miejscowości Flakkerøy na tej samej wyspie ustawiono dwukondygnacyjny schron dalmierza typu S 100 SK. Obiekt został wybudowany na wzgórzu Høyfjellet o wysokości 58 m n.p.m. Schrony tego typu weszły do służby w 1941 roku. Na obiekcie o długości 28,6 m i szerokości 20,6 m znajdował się stereoskopowy dalmierz artyleryjski o bazie 12-metrowej oraz kopuła obserwacyjna. Bateria „Vara", podobnie jak bliźniacza „Hanstholm II", miała schron w wersji z cieńszymi ścianami w stosunku do pozostałych obiektów tego typu, które wchodziły w skład baterii – „Grossdeutschland"/„Lindemann", „Dietl" i „Trondenes I". Na początku 1945 roku w skład systemu kierowania ogniem wszedł radar typu FuMo 15.

Osłona przeciwlotnicza

Osłonę przeciwlotniczą baterii zapewniały armaty kalibru 88 mm oraz działa 40- i 20-milimetrowe, >>>

zdjęcia: Bundesarchiv wg licencji Wikimedia Commons

www.odkrywca.pl

IDENTYCZNE LUB BARDZO PODOBNE UZBROJENIE ORAZ INFRASTRUKTURA DO BATERII „VARA" W INNYCH LOKALIZACJACH

1 Armaty kalibru 380 mm typu SK C/34, w które była wyposażona bateria „Vara" wchodziły na uzbrojenie kilku innych niemieckich baterii Wału Atlantyckiego.

2 Działa baterii „Vara" zostały ustawione na lawetach typu C/39 (Bettungsschiessgerüst) o masie 75 t. Lawety te wykorzystane były także w trzech innych bateriach ciężkiej artylerii nadbrzeżnej Wału Atlantyckiego.

3 Schrony typu S 174 wprowadzono do eksploatacji w lutym 1940 roku. Po dwa takie same schrony amunicyjne posiadały baterie – „Schleswig-Holstein" (Hel) i „Hanstholm II".

4 Essen – Armaty baterii „Vara" zostały wyprodukowane w niemieckim przedsiębiorstwie zbrojeniowym Friedrich Krupp z Essen.

Działa baterii „Vara" była prawie takie same jak te, które zostały zamontowane w dwulufowych wieżach na najnowszych i najsilniejszych niemieckich pancernikach typu „Bismarck" („Bismarck" i „Tirpitz") – zdjęcia na poprzedniej stronie

rys. opracowanie red. wg tekstu J.Jarosz

REKLAMA

Autoryzowane punkty sprzedaży:

MAXX - Radomsko
EL-CAR - Nowogard
Restyling - Łódź
GREEN Camo - Lublin

M@RS

www.Mars-MD.pl

...najlepsze cewki

>>> przy czym każde z nich zostało ustawione na żelbetowym stanowisku. Tworzące baterię 303/III cztery pojedyncze działa kalibru 88 mm typu Flak 37 o donośności poziomej 14 800 m i pionowej 10 000 m były usytuowane w południowo-zachodniej części baterii i miały zapewnić zwalczanie celów na większych wysokościach. Ustawiono je na znajdującym się na wysokości 72 m n.p.m. wzgórzu Møvikknatten. Pomiędzy ich stanowiskami znajdował się schron kierowania ogniem z dalmierzem o bazie czterometrowej, a tuż za nimi dwa schrony amunicyjne.

Nieprzyjacielskie samoloty nadlatujące na niskim pułapie miały zwalczać trzy pojedyncze działa kalibru 40 mm szwedzkiego Boforsa o donośności około 4500 m oraz dziewięć pojedynczych działek kalibru 20 mm o donośności około 2000 m – duńskiego Madsena i szwajcarskiego Oerlikona. Działa kalibru 40 mm ustawione zostały w częściach baterii – południowej, wschodniej i centralnej. Trzy działa kalibru 20 mm stały w pobliżu baterii armat kalibru 88 mm. Pozostałych sześć dział ustawiono w innych newralgicznych miejscach na obrzeżach baterii.

Od strony wybrzeża

Na uzbrojenie baterii wchodziły także dwie ekspolskie, zdobyte przez Wehrmacht we wrześniu 1939 roku, armaty kalibru 76 mm typu FK M 97 (p) na lawetach kołowych o donośności 11 000 m, które miały być wykorzystywane w razie potrzeby do obrony baterii od strony lądu. We wschodniej części baterii, przy końcu głównej drogi dojazdowej znajdowały się dwa schrony uzbrojone w eksczechosłowackie armaty przeciwpancerne kalibru 47 mm Škoda. Od północy baterii broniły dwa schrony bojowe uzbrojone w broń maszynową. Były to obiekty typów – R 105 b i R 620. Ten drugi już po wojnie, podczas budowy tunelu na wyspę Flakkerøy został zasypany, jednak w 2009 roku odnaleziono go i odkopano. W ich pobliżu znajdowały się także dwa „Tobruki" – jeden typu Rs 206 z moździerzem kalibru 50 mm oraz jeden typu Rs 58 uzbrojony w broń maszynową.

W sumie na obrzeżach baterii od strony lądu i od strony morza baterii broniło ponad 20 schronów typu Rs 58. Front lądowy baterii na swoim uzbrojeniu miał także trzy moździerze kalibru 81 mm, 25 eksfrancuskich i eksnorweskich karabinów maszynowych, 27 niemieckich i eksduńskich karabinów maszynowych oraz 8 średnich i 50 lekkich miotaczy ognia. Jak widać, uzbrojenie baterii miało prawdziwie „międzynarodowy" charakter (działa – niemieckie, polskie, szwajcarskie, szwedzkie i duńskie oraz karabiny maszynowe – niemieckie, francuskie, duńskie i norweskie).

Schrony przeciwlotnicze i obszar

Na terenie baterii „Vara" znajdowało się 12 dużych, o długości 30 m, połączonych okopami ze stanowiskami bojowymi schronów przeciwlotniczych. Miały one po dwa wejścia. Załoga baterii do swojej dyspozycji miała także kilka mniejszych schronów przeciwlotniczych. W odległości 56 m na południe od stanowiska armaty nr 2 wybudowany został jednopoziomowy schron zapasowego stanowiska dowodzenia. Także w pobliżu stanowiska nr 2 ustawiono schron sygnałowy, pełniący również funkcję siłowni. Ponadto na terenie baterii wybudowano zbiornik na wodę o pojemności około 450 000 l. W zachodniej części baterii na wzgórzu Møvikknatten usytuowano stanowisko zamontowanego na czterokołowym podwoziu reflektora o średnicy 150 cm,

Schron-stanowisko działa nr 4.

Wewnątrz obiektu.

fot. J.Jarosz

który miał pomagać podczas prowadzenia ognia w nocy. W użyciu znajdowało się ponadto kilka reflektorów o średnicy 60 cm. Na terenie baterii znajdowały się także obiekty socjalne – 15 baraków dla oficerów i żołnierzy, szpital i stołówka oraz boisko sportowe wraz z niezbędną infrastrukturą. Pod koniec wojny w rejonie baterii ustawiono dwie wykonane z drewna i sklejki makiety armat, które miały na siebie ściągnąć uwagę nieprzyjaciela.

Całkowity obszar zajmowany przez baterię „Vara" wynosił około 90 hektarów. Rozciągał się z północy na południe na odległość około 1,6 km, a ze wschodu na zachód na około 1 km. Załoga baterii składała się z około 600 ludzi, z czego 450 należących do Kriegsmarine stanowiło jej obsługę, a 150 z wojsk lądowych miało ją chronić. <

Jacek Jarosz
Nauczyciel. Specjalista w zakresie marynistyki, badacz historii statków, miłośnik historii i fortyfikacji.

PRZYPISY

[1] Były to okręty „Kronsztad" i „Sewastopol". Według pierwszych planów jednostki te miały zostać uzbrojone w trzy potrójnie sprzężone armaty kalibru 254 mm, później kaliber został zmieniony na 305 mm. W trzeciej wersji ich uzbrojenie główne miało składać się z trzech podwójnie sprzężonych armat kalibru 380 mm typu SK C/34. Dwie pierwsze wersje zawierały się w projekcie „69", natomiast trzecia w projekcie „69 i".

[2] Były to przystosowane do podstawy kolejowej działa morskie typu SK C/34, także początkowo stanowiące rezerwę dla pancerników typu „Bismarck". Dwie takie armaty o nazwach własnych – „Scharnhorst" i „Gneisenau" tworzyły 698. Baterię Artylerii Kolejowej (698. Eisenbahn-Batterie).

[3] Według wcześniejszych danych masa lufy wraz z zamkiem miała wynosić 105 300 kg (Bateria Hanstholm II).

[4] Według Mur de l`Atlantique en Norvège. I - Le Sud et l`Ouest szybkostrzelność miała wynosić jeden wystrzał na minutę, natomiast według artykułu Bateria Vara w Kristiansand – jedynie jeden wystrzał na 5-6 minut.

[5] Zwykle masa tego pocisku zaokrąglana jest do 500 kg.

[6] Według "Mur de l`Atlantique en Norvège. I - Le Sud et l`Ouest" używane były ładunki o masach – 133 kg, 211 kg i 266 kg. Autor pracy „Les combats de la Libération du Pas-de-Calais" masę standardowego ładunku głównego szacuje na 110 kg, a ładunku przedniego na 101 kg.

[7] Były to działa 380 mm/45 Modéle 1935, które produkowano dla najnowszych francuskich pancerników typu „Richelieu" („Richelieu" i „Jean Bart").

[8] Według „Mur de l`Atlantique en Norvège. I - Le Sud et l`Ouest" szerokość wieży miała wynosić od 4,5 do 8 m, natomiast wysokość – 6 m.

[9] Autor pracy „Mur de l`Atlantique en Norvège. I - Le Sud et l`Ouest" grubość pancerza wieży określa na 40 mm.

Śródtytuły, zdjęcia ze s. 66, infografika ze s. 67, układ artykułu – redakcja czasopisma „Odkrywca".

ROZMIESZCZENIE OBIEKTÓW BATERII „VARA"

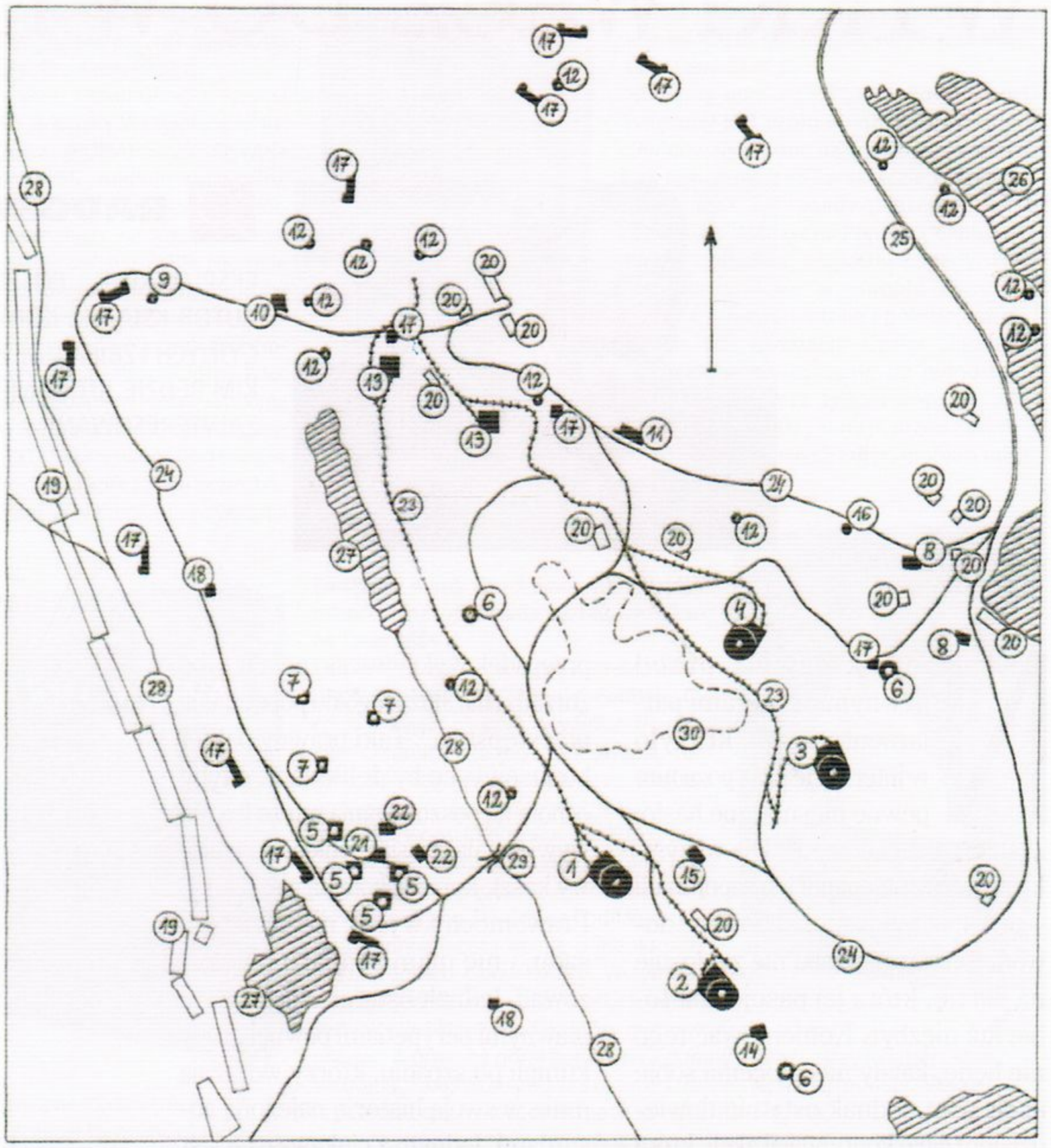

rys. J.Jarosz wg Siegfried. Kanonen på Møvik

1 Stanowisko działa kalibru 380 mm nr 1 (kazamata)
2 Stanowisko działa kalibru 380 mm nr 2 (zachowana armata)
3 Stanowisko działa kalibru 380 mm nr 3
4 Stanowisko działa kalibru 380 mm nr 4
5 Stanowisko działa przeciwlotniczego kalibru 88 mm
6 Stanowisko działa przeciwlotniczego kalibru 40 mm
7 Stanowisko działka przeciwlotniczego kalibru 20 mm
8 Schron działa przeciwpancernego kalibru 47 mm
9 Schron typu Rs 206 dla moździerza kalibru 50 mm
10 Schron typu R 105 dla broni maszynowej
11 Schron typu R 620 dla broni maszynowej
12 Schron typu Rs 58 dla broni maszynowej
13 Schron amunicyjny typu S 174
14 Schron zapasowego stanowiska kierowania ogniem
15 Schron sygnałowy-maszynownia
16 Stacja wodna
17 Schron przeciwlotniczy
18 Stanowisko reflektora
19 Pole minowe
20 Baraki
21 Stanowisko kierowania ogniem przeciwlotniczych dział kalibru 88 mm
22 Schron amunicyjny baterii przeciwlotniczej kalibru 88 mm
23 Tor kolejki wąskotorowej
24 Droga wewnętrzna baterii
25 Droga dojazdowa do baterii
26 Wody zatoki
27 Jezioro
28 Ciek wodny
29 Mostek
30 Wzniesienie – garb przeciwpodmuchowy

www.odkrywca.pl

WYKRYWACZ DO WYJAŚNIENIA

RADOSŁAW BICZAK

EKSPLORATOR, POSZUKIWACZ, PODRÓŻNIK, AUTOR KSIĄŻEK. KOPANIE ROWÓW MELIORACYJNYCH I ZBIERANIE ZŁOMU NIE SĄ MU OBCE. KIM BĘDZIE JUTRO NIE WIE NIKT, NAWET SAM ZAINTERESOWANY.

Nie tak dawno, przed pewnymi wyborami parlamentarnymi, krążyło w internecie oraz poza nim pewne niesmaczne hasło: „zabierz babci dowód". Dla wszystkich, którzy przegapili lub zapomnieli – przekaz był jasny: schowasz dowód, to starsza osoba nie zagłosuje na partię, która jej pasuje, ale tobie już niezbyt. Komentować tego nie będę, każdy niech ocenia sobie akcję sam. Jednak ostatnio dowiedziałem się o kontynuacji akcji, która przeszła wprawdzie metamorfozę i zaczęła uderzać w poszukiwaczy. Próżno szukać jej na portalach społecznościowych, ale hasło powinno brzmieć: „zabierz poszukiwaczowi wykrywacz".

Niestety, nie jest to działanie prowadzone przez rozgoryczone żony czy dziewczyny poszukiwaczy, którym zbrzydło, że ich luby co weekend znika gdzieś ze swoją piszczałką. Sprawa jest poważniejsza, ponieważ na pomysł wpadły tzw. „Służby". Jak się okazuje wykrywacz można zatrzymać niemal każdemu, pomimo że na posiadanie piszczałki w Polsce żadnych zgód nie potrzeba. Do tej pory słyszałem o sytuacjach, gdzie któryś z poszukiwaczy, któremu przed sądem udowodniono lub sam się przyznał do poszukiwań bez wymaganych zezwoleń, oprócz innego wyroku dostawał w promocji przepadek wykrywacza metalu, jako „urządzenia służącego do popełniania przestępstwa". Taki prawny pakiet bonusowy, co by delikwent, gdyby ochota na poszukiwania mu ze łba nie wywietrzała, musiał ponieść dodatkowy koszt, kupując kolejną piszczałkę. Prawomocny wyrok niezawisłego sądu, i nie mam zamiaru polemizować. Jednak ostatnio zająłem się prawnymi perypetiami pewnej grupy kumpli po szpadlu, którzy wdrażają mnie w swoją historię najeżoną absurdami. Jednym z ciekawszych jest aspekt zatrzymania wykrywacza do „wyjaśnienia". Gość, którego rzecz dotyczy, podobnie jak pozostali, miał pewnego dnia odwiedziny o poranku. Nie była to jednak wizyta kurtuazyjna, tylko robocza, która miała na celu ustalenie, czy delikwent chodzi z wykrywaczem metalu i jakież to zabytki dzięki niemu pozyskał. Do pewnej konsternacji doszło, gdy okazało się, że żadnych zabytków nie ma, są za to fragmenty meteorytów i piszczałka, którymi zostały namierzone. Meteoryty wizytujących nie interesowały, natomiast wykrywacz metalu już tak. Dla dobra śledztwa został więc zatrzymany, dzięki czemu istnieje duże prawdopodobieństwo, że podejrzany nie będzie go używał do popełniania innych przestępstw. Jednak diabeł tradycyjnie tkwi w szczegółach. Rzecz cała miała miejsce rok temu. Sądy są zarzucone sprawami i nie wiadomo kiedy odbędzie się rozprawa, na której niezawisły sąd orzeknie o winie lub jej braku. Jakim dowodem w sprawie może być zatrzymany wykrywacz? Ktoś będzie udowadniał, że oprócz tworów pozaziemskich może wskazywać również wyroby rąk ludzkich leżące w trawie albo przykryte ziemią? Rozumiem zatrzymanie zabytków archeologicznych nieznanego pochodzenia jako dowodów, podobnie z przedmiotami posiadanymi wbrew ustawie o broni i amunicji. Z wszystkim się zgadzam, ale piszczałka? Gdzież się podziewa „domniemanie niewinności", które jasno mówi, że: „oskarżonego uważa się za niewinnego, dopóki wina jego nie zostanie udowodniona i stwierdzona prawomocnym wyrokiem". W tym przypadku nic się takiego nie wydarzyło, a wykrywacz od ponad roku leży w depozycie. Ciekawe, czy ktoś wydłubał z niego baterie, żeby nie wylały. Ciekawe w jakim stanie zostanie zwrócony i czy do czegoś jeszcze będzie się nadawał. Czemu nie zatrzymano szpadla – może technika poszła już tak do przodu, że podobnie jak w balistyce można określić precyzyjnie, że dany pocisk został wystrzelony z konkretnego egzemplarza broni, tak w przypadku szpadla można stwierdzić, że to tym, a nie żadnym innym rozkopano dane stanowisko archeologiczne? Konkluzja miłośnika meteorytów jest gorzka lecz logiczna – jeżeli szukacie, to lepiej nie trzymajcie wykrywacza metali w domu!

www.odkrywca.pl

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Iwan Kowtun, Dmitrij Żukow „29 Dywizja Grenadierów SS Kaminski", opr. miękka, str. 366, wyd. Replika. Cena: 40,90 zł.

Brygada gen. Kaminskiego, znana także jako Rosyjska Wyzwoleńcza Armia Ludowa (RONA) i 29. Dywizja Grenadierów SS, zajmuje szczególne miejsce pośród kolaboracyjnych for-macji powstałych na okupowanym przez nazistów terenie ZSRR. Niewiele z dotychczasowych opracowań można nazwać pełnymi, obiektywnymi i rzetelnymi analizami dostępnych dziś źródeł. Autorzy piszą: „Postawiliśmy więc siebie przed zadaniem – mak-symalnie obiektywnie przedstawić historię formowania i działalności RONA, począwszy od stworzenia pododdziałów Volkswehr – „milicji ludowej" – w gminie łokockiej, a kończąc na uczestnictwie pułku zbiorczego 29. Dywizji Grenadierów SS w tłumieniu powstania warszawskiego".

Janusz Ledwoch „436 Firefly", seria: Tank Power, vol. CXLIX, opr. miękka, str. 56, wyd. Militaria. Cena: 33,60 zł.

Niniejszy numer serii „Tank Power" poświęcony jest czołgom Sherman Firefly. Znajdowały się one na wyposażeniu pułków pancernych PSZ w składzie 1. dywizji pancernej i 2. brygady pancernej walczącej we Włoszech. Ponadto czołgów „Firefly" używały jednostki kanadyjskie i czechosłowackie w Europie Zachodniej oraz nowozelandzkie i południoafrykańskie we Włoszech. Czołgi „Firefly" zostały także dostarczone do jednostek amerykańskich, lecz tylko kompania „C" z 555. batalionu otrzymała je przed zakończeniem wojny. Publikacja zawiera wiele unikatowych zdjęć, grafik, a także wiele danych technicznych.

Józef Jaklicz „A więc wojna!", opr. miękka, str. 288, wyd. Bellona. Cena: 31,40 zł.

"Kampania wrześniowa 1939 roku w Polsce" (dzieło będące znaczną częścią prezentowanej publikacji) pióra Józefa Jaklicza to studium pisane na uchodźstwie, bez dostępu do akt źródłowych, w oparciu o wła-sną pamięć, z myślą o potrzebie zabrania głosu w obronie racji twórców polskiego planu wojny obronnej. Wspomnienia Jaklicza przynoszą nam porcję wnikliwych spostrzeżeń z okresu jego służby w Sztabie Generalnym. Ale czytając je, pamiętajmy, iż nie stanowią ani opracowania tego najważniejszego okresu w wojskowej karierze ich autora, ani też nie są pamiętnikiem-sprawozdaniem z całego życia. Mają charakter opowieści o polskiej kampanii obronnej we wrześniu 1939 r.

Bartłomiej Kuraś, Paweł Smoleński „Krzyżyk niespodziany", opr. twarda, str. 140, wyd. Czarne. Cena: 38,90 zł.

Kenkarty z literą „G" (od „Goralenvolk") przyjęło około 20% ludności Podhala. Ci, co je przyjęli, wierzyli w wielkie Niemcy albo obietnice lepszego traktowania, inni brali, bo brali wszyscy w wiosce. Niektórym góralska kenkarta nie przeszkadzała w aktywności konspiracyjnej: ukrywali Żydów i tatrzańskich kurierów, sami nosili bibułę albo chodzili z meldunkami na słowacką stronę. Do dziś na Podhalu trudno o jednoznaczną opinię o ideologach i przywódcach Goralenvolku. Wstyd naznaczył jednak nazwiska wielkich rodów. Jest jak niechciany spadek, który mimo wszystko trzeba przyjąć. A przecież góral honorowy i dumny, wierny ojczyźnie tatrzański rozbójnik, zdrajca i kolaborant to awers i rewers tej samej monety. Ale krzyżyk niespodziany to jednak nie to samo co hakenkreuz.

"Nadleśnictwo Żołędowo" mapa turystyczna, skala 1:30 000, opr. miękka, str. 2, wyd. Eko-Kapio. Cena: 8,49 zł

Mapa swoim zasięgiem obejmuje obszar od Świekatowa na północy do bydgoskiego lotniska im. F. Chopina na południu. Równoleżnikowo rozciąga się zaś od wschodnich rogatek Nakła nad Notecią na zachodzie aż za Dąbrowę Chełmińską na wschodzie. Mapa jest dwustronna – jedna strona to mapa płd-zach. części Nadleśnictwa Żołędowo w skali 1:30 000, druga zaś obejmuje mapę części płn-wsch. w skali 1:50 000, a także interesujący opis dotyczący Ndl. Żołędowo oraz największych atrakcji znajdujących się na jego terenie. Na mapie umieszczono także liczne ciekawostki turystyczno-krajoznawcze np. bunkry umocnień Przedmościa Bydgoskiego z 1939 r. oraz oczywiście aktualne i weryfikowane przebiegi szlaków i tras turystycznych.

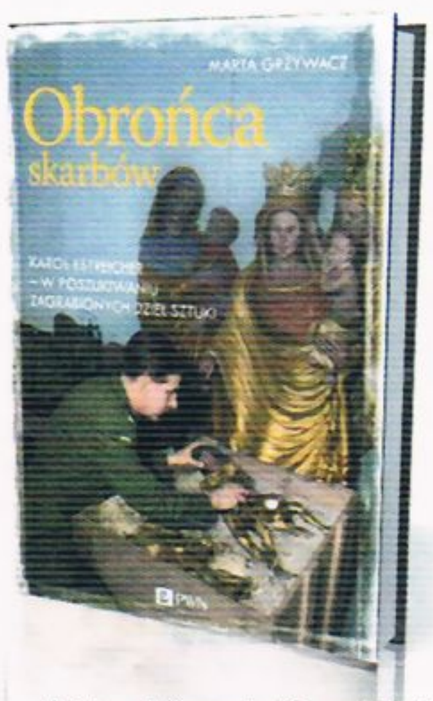

Marta Grzywacz „Obrońca skarbów Karol Estreicher – w poszukiwaniu zagrabionych dzieł sztuki", opr. twarda, str. 304, wyd. PWN. Cena: 44,90 zł.

Tuż przed 1 września 1939 roku w kościele Mariackim w Krakowie trwa gorączkowe pakowanie. Karol Estreicher, błyskotliwy historyk sztuki, przygotowuje do wywiezienia i ukrycia ołtarz Wita Stwosza. Z Wawelu w stronę Rumunii wyrusza konwój z arrasami Zygmunta Augusta. Do wielkiej ewakuacji dzieł sztuki przygotowuje się cała Europa. Wkrótce do podbitych krajów wkroczy armia wykształconych złodziei – historyków sztuki, architektów i muzealników – na usługach Hitlera. Będą plądrować muzea, kościoły i zbiory prywatne. W największej w historii grabieży zabytków wezmą udział prominentni funkcjonariusze Rzeszy. Karol Estreicher, pełen wyrzutów sumienia, że tylko ułatwił wrogowi wywózkę zabytku, nie spocznie, dopóki nie odnajdzie ołtarza i nie sprowadzi go z powrotem do Polski.

Znajdź nas na
www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

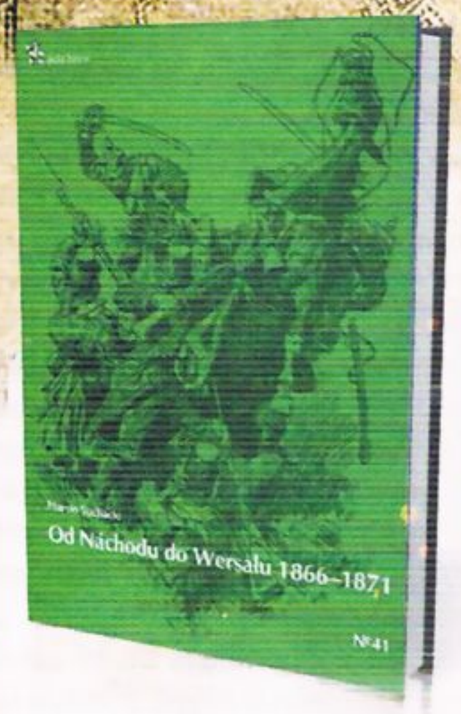

Marcin Suchacki „Od Nachodu do Wersalu 1866–1871", opr. miękka, str. 72, wyd. Inforteditions. Cena: 21,90 zł.

Fragment: „Wsparci ogniem artyleryjskim żołnierze 25 batalionu strzelców wdarli się do Wenzelsberga, zajmując otoczony solidnym murem cmentarz ewangelicki i pobliskie sady owocowe. Z naprzeciwka nadchodzili już jednak Westfalczycy z 37 regimentu fizylierów i Wielkopolanie z Pięćdziesiątki Ósemki, wsparci przez półtora kompanii własnych jegrów, w zielonych uniformach trudnych do dostrzeżenie pośród okolicznych zarośli. Co ważniejsze jednak, obok jegrów przybyły także dwie baterie dział pod majorem Meisznerem. 12 armat pruskich w krótkim czasie stłamsiło ogień Austriaków, mogących wystawić tylko połowę tych luf co przeciwnik".

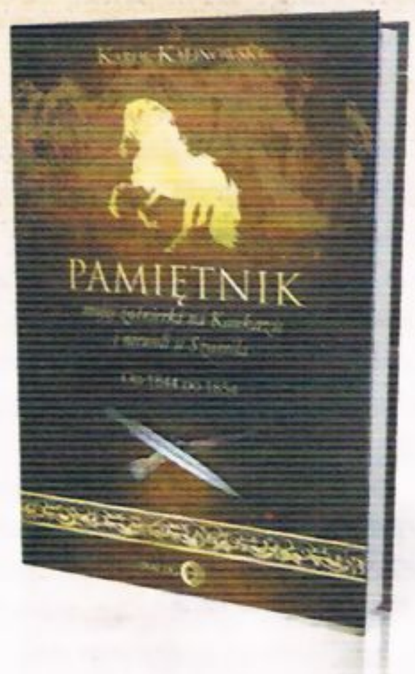

Karol Kalinowski „Pamiętnik mojej żołnierki na Kaukazie i niewoli u Szamila Od 1844 do 1854", opr. miękka, str. 322, wyd. Dialog. Cena: 33,30 zł.

Życie autora to gotowy scenariusz filmu – urodzony w 1821 r. koło Augustowa przyjeżdża po nauki do Warszawy, lecz temperament sprawia, że zostaje aresztowany i skazany na zesłanie do stacjonującego na Kaukazie wojska. 15 grudnia 1844 r. wyrusza w grupie zesłańców – pieszo – w 2500-kilometrową wędrówkę, której celem ma być forteca Wniezapnaja. Porwany przez niepodległych górali, trafia jako niewolnik najpierw do Czeczenów, potem do Andiów, i na powrót do Czeczenów. W Wedeno Karol Kalinowski przyjmuje islam i staje się wyzwoleńcem Szamila. Tam też zakochuje się i zaczyna życie wolnego człowieka wśród kaukaskich górali. Po śmierci wybranki serca postanawia jednak uciec do wojska rosyjskiego, widząc w tym jedyną szansę na powrót do ukochanej ojczyzny. Do Polski wraca w 1858 roku na podstawie manifestu koronacyjnego cara Aleksandra II.

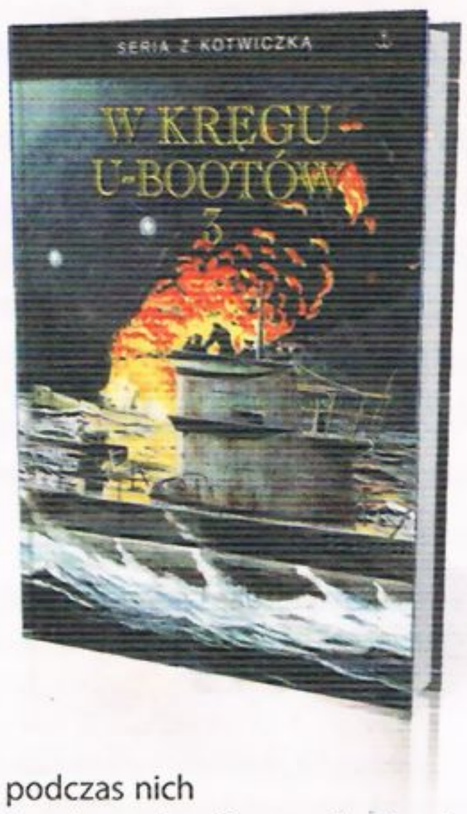

G. Lassen, A. Brandi, E.- F. Kenntrat „W kręgu U-Bootów 3", opr. twarda, str. 216, wyd. Katmar. Cena: 37,30 zł.

Zbeletryzowana historia trzech dowódców U-bootów, których łączą trzy rzeczy: byli wybitnymi dowódcami, osiągającymi niewiarygodne sukcesy, zostali odznaczeni Krzyżem Rycerskim i udało im się przeżyć wojnę. Kenntrat i Brandi nie dali się zabić na 10 patrolach, co było ewenementem, bo działali w latach 1942-1944, a więc wtedy, gdy przewaga aliantów w wojnie przeciw U-bootom była już znaczna, a warunki do przeżycia znacznie trudniejsze niż na początku wojny. Lassen podczas jedynie 4 patroli osiągnął niebywałe sukcesy, torpedując podczas nich aż 31 statków aliantów, z których 24 posłał na dno, osiągając wynik zatopień ponad 150 000 ton.

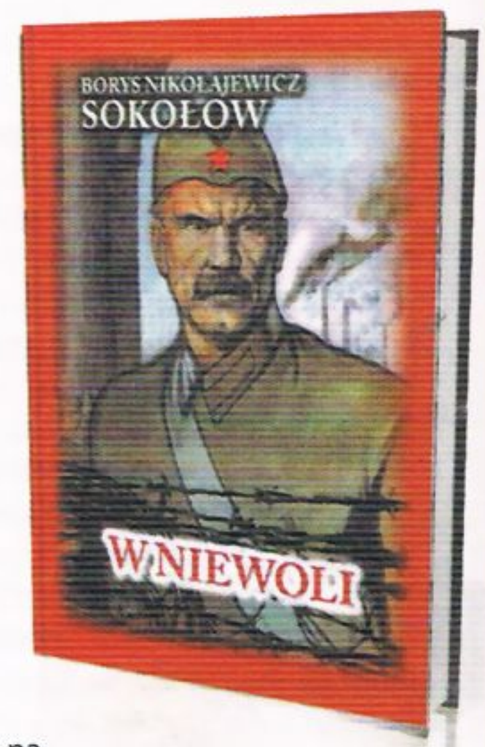

Borys Sokołow „W niewoli", opr. twarda, str. 336, wyd. Katmar. Cena: 37,30 zł.

Autobiograficzna książka Borysa Sokołowa to obraz losów „maleńkiej ludzkiej molekuły w gigantycznej wojennej zawierusze". Wyobrażenia oficera rezerwy szybko weryfikuje niełatwe zadanie, jakim jest dowodzenie baterią artylerii na drogach odwrotu 1941 roku i walki na przedpolach Leningradu, gdzie we wszechobecnym bałaganie nikt nie wie nawet, jak wygląda wróg i gdzie się znajduje. Przyjdzie mu poznać niemieckie obozy jenieckie, pracować na polach i w kopalniach, patrzeć na bombardowane miasta Rzeszy i walczyć o przetrwanie.

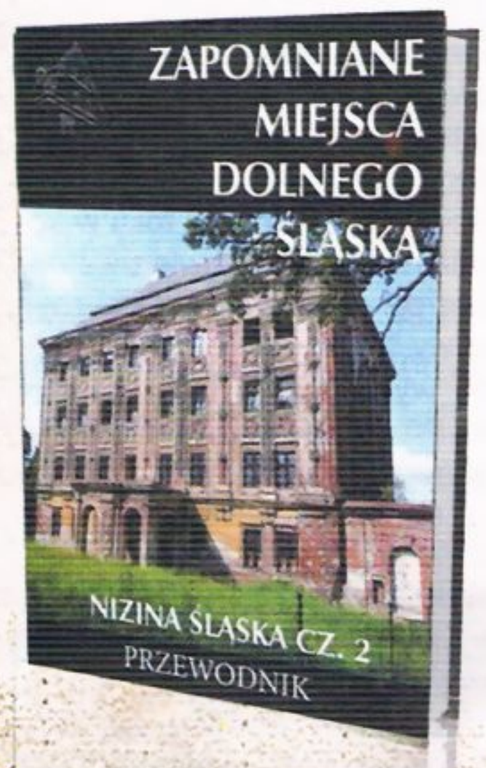

Jakub Jagiełło „Zapomniane miejsca Dolnego Śląska. Nizina Śląska" cz. 2, opr. miękka, str. 144, wyd. Ciekawe Miejsca. Cena: 39,99 zł.

Na Dolnym Śląsku ilość zrujnowanych zabytków jest wprost zatrważająca. To już 4. tom dedykowany temu regionowi – w planach jeszcze jeden – i zarazem drugi poświęcony Nizinie Śląskiej. Przewodnik poprowadzi Czytelnika do miejsc, których „się nie zwiedza" i „się nie opisuje". Zrujnowane pałace, zamki i dwory, budynki fabryczne, opuszczone kościoły, cmentarze ewangelickie, fortyfikacje, bunkry Armii Radzieckiej, dziwne pomniki, zabytki techniki. 114 opuszczonych miejsc na Dolnym Śląsku między Głogowem a Oleśnicą na prawym brzegu Odry.

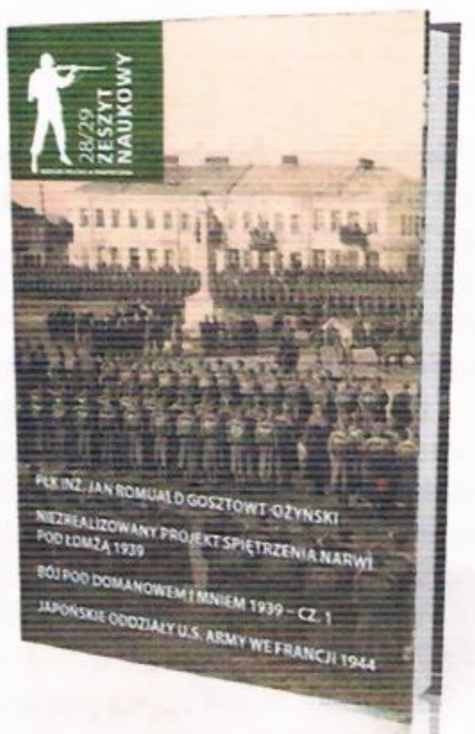

„Zeszyt Naukowy Muzeum Wojska w Białymstoku" t.28/29, 2016, opr. miękka, str. 212, wyd. Muzeum Wojska w Białymstoku. Cena: 42 zł.

W podwójnym (28/29) numerze Zeszytu Naukowego Muzeum Wojska w Białymstoku znalazły się m.in. następujące artykuły: Pułkownik Inżynier Jan Romuald Gosztowt-Ożyński (1887–1965); Wojsko w Wilnie w czasie pokoju (1922–1939); Niezrealizowany projekt spiętrzenia Narwi od Łomżą w 1939 r.; Bój pod Domanowem i Mniem 13 września 1939 r., cz. 1: Preludium; „Japońskie" jednostki armii Stanów Zjednoczonych 442. pułkowa grupa bojowa w kampanii francuskiej, październik 1944 – marzec 1945 r.; Ppor. Stanisław Grabowski ps. „Wiarus" (1921–1952). Post Scriptum; Miecze ze zbiorów Muzeum Wojska w Białymstoku. Próba charakterystyki; Dwa źródła do historii Mazowieckiej Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii im. gen. Józefa Bema w Zambrowie.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

RUTUS
DETEKTORY METALI

Z nami się odnajdziesz

Alter71

- Płynne przestrajanie częstotliwości (4,4 - 18,4 kHz)
- 8 szybkości reakcji
- Nowatorskie przedstawienie identyfikacji obiektu
- Całkowicie automatyczne strojenie do gruntu
- Maskowanie niepożądanych sygnałów
- Praca statyczna, dynamiczna i jednoczesna
- Pin-point
- 7 programów fabrycznych
- Możliwość tworzenia własnych dźwięków
- Lekka, rewelacyjnie wyważona konstrukcja
- Duży, czytelny wyświetlacz graficzny
- Wbudowany cyfrowy nadajnik audio
- Duże zasięgi

RUTUS
www.rutus.com.pl
tel. 58 679 33 14
601 284 371

Odkryj nowe możliwości

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

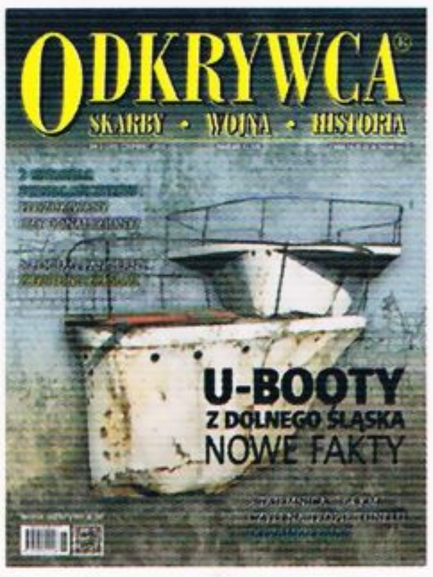

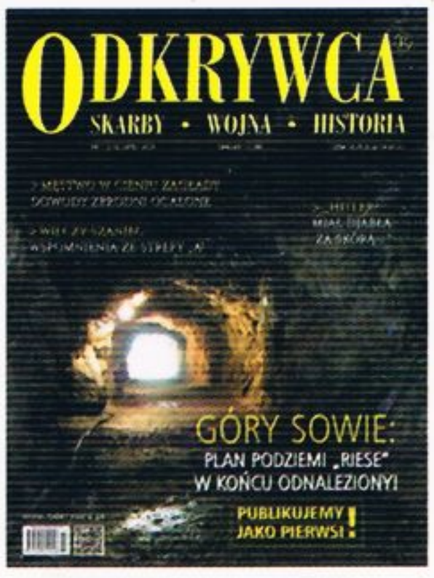

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancją:

- ► stałej, niższej ceny,
- ► szybkiej dostawy pod wskazany adres,
- ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem http://instytut.odkrywca.pl

► lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:

Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin
Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW
PL98249000050000452061532533

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane imienne i adresowe oraz informację, od którego numeru ma się rozpocząć prenumerata.. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:

- ► krajowa roczna – **147** zł; półroczna – **73,50** zł
- ► zagraniczna półroczna: **123,90** zł (list zwykły); **141,90** zł (list priorytetowy).
- ► Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK:

listownie na adres: Redakcja „Odkrywca", ul. Kaszubska 4,
50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty,
telefonicznie 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga do nabycia numery archiwalne
– rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
– rok 2001 nr od 3/27 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
– roczniki 2002 do 2009 – cena 60 zł za jeden rocznik
– roczniki 2010 i 2011 – cena 84 zł za jeden rocznik
– rocznik 2012 – cena 96 zł
– rocznik 2013 – cena 118 zł
– rocznik 2014 – cena 120 zł
Cena razem z kosztami wysyłki w Polsce.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

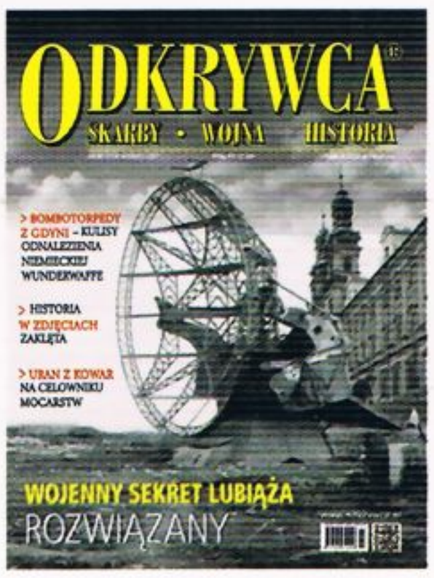

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71